

ANTONI MARCZYŃSKI

WYSPA  
NIEZNANA

III



ANTONI MARCZYŃSKI

# KRÓLOWA OTHE

III część „Wyspy nieznanej”

OFICYNA FILMOWA „GALICJA”  
KRAKÓW 1992

Okladkę projektował:  
WŁADYŚŁAW SZYSZKO

© Copyright by Oficyna Filmowa „Galicja”, Kraków 1991

ISBN 83-85251-13-8

OF „Galicja”, Kraków, ul. Rakowicka 11

Wydanie 1.

Rzeszowskie Zakłady Graficzne

Rzeszów ul. pik. Lisa-Kuli 19

Zam: 453/91

## Rozdział I

### **BAAL ŻĄDA OFIARY**

- Nie dam!... Nie dam!... Precz, zbóje!... Ratunku!...
- Milcz, bezbożna!
- Zabij mnie, łotrze! Mnie!... Dziecka nie dam!
- Hej!... Przytrzymajcie tę lwicę rozżartą.
- Oooo!... Bogini!... Ześlij trąd na tych zbirów. Moje dziecko!... Moja słodka dziecina!... Oooo!...

Dwaj żołnierze wykręcili w tył ręce krzyczącej kobiety, odciągnęli ją przemocą w głąb izby i połą chlamidy zatkali jej usta.

– A to małe szczenię tu się gdzieś ukryło – warknął dzieciętnik, przyklękając przy łożu. Po chwili wyciągnął za nogę pobladłego chłopczynę, który nie ośmielił się stawiać najmniejszego oporu... Natomiast matka dwoiła rozpaczliwe wysiłki. Rzuciła się na ziemię, zadarła nogi w górę i kopała nimi żołdaków, miotając się przy tym jak wielka ryba, ciśnięta na piasek wybrzeża przez rybaka... Muskularni halabardnicy mieli niemało roboty, nim zdołali rozwścieczoną kobietę zepchnąć do piwnicy i tam ją zamknąć.

Przed bramą stał wóz, zaprzężony w cztery konie i otoczony setką wojowników. Na wozie znajdowało się już kilkoro dzieci, sami chłopcy w wieku od trzech lat do ośmiu. Popłakiwali z cicha, rzucając wylężnione spojrzenia na marsowe oblicza żołnierzy.

Gdzieś wyleciały drzwi z głośnym trzaskiem, gdzieś przeszył powietrze rozdzierający krzyk kobiety, zabrzmiały odgłosy głośnej sprzeczki mężczyzn, potem metaliczny szczęk oręża i szloch... spazmatyczny szloch.

Z uśpionych domków wypadały na ulice garstki żołnierzy. Żaden nie wracał z próżnymi rękami. Wkrótce wóz się zapełnił tak, że miejsca już dla nowych ofiar zabrakło. Wówczas brodaty setnik skinął trzciniową laseczką. Woźnica zamachnął się; długi bat, opisawszy kolisko nad pochylonymi głowami uśpionych rumaków, trzasnął rozgłośnie. Konie przysiadły na zadach, szarpnęły ostro i wielki wehikuły ruszył z miejsca. Stukając okutymi kołami o wyboisty bruk ulicy, posuwał się wśród przekleństw, złorzeczeń i płaczu w kierunku Placu Dwustu Kolumn.

Żołnierze z eskorty korzystając z tego, że srogi przywódca jechał konno przodem, przed kolumną, zaczęli gwarzyć półgłosem między sobą.

- Żal patrzeć na te dzieciśka – mruknął jeden.
- Mnie bardziej żal matek... Czy wiecie, ta w domku, przed którym rosną trzy figowce, to moja siostra.
- Więc własnego siostrzeńca wieziesz na ofiarę.
- Ha... cóż robić – westchnął... – Rozkaz, to rozkaz.
- Byleby to tylko pomogło.
- Musi pomóc – wtrącił dziesiątnik. – Kapłani Baala zapewniają, że gdy bóg otrzyma należne ofiary, góra ognia natychmiast zgaśnie, a tam gdzie strumienie lawy zniszczyły

gaje oliwne, gleba będzie wielokroć urodzajniejsza.

– Oby tak było, jak mówicie.

– Ja tam kapłanom nie wierzę po staremu – rzekł śmiało młody żołnierz. – Mnie mówił jeden, że oni chcą w ten sposób grozę wśród ludu szerzyć, zwolenników pozyskać i znowu dorwać się władzy, którą im jeszcze Olbrzyny wydarły.

Drugi dziesiątnik, przysłuchujący się rozmowie od chwili, pochwycił śmiałka za ramię.

– Słuchaj młokosie – rzekł bardzo ostro. – Natychmiast wymień mi imię zuchwalca, który takie brednie o bogobojnych sługach Baala rozsiewa. Natychmiast, czy słyszysz?... No.

– Mogę powiedzieć... owszem – odparł tamten.

– Więc kto?

– Olbrzym, imieniem Henryk, który jest małżonkiem złotowłosej Eli.

– On?... No, no. Nadto jest zadufany ten przybysz. Nadto liczy na łaskę królewską. – Potem dodał szeptem, którego nikt nie mógł dosłyszeć – a panowaniu rozpustnej Othe też koniec przyjdzie niebawem.

Ponury żołnierz, co rodzonej siostrze musiał wydrzeć jedyne dziecko i wiózł je na ofiarę dla Baala, zgrzytnął zębami i warknął:

– Czemuż to nie kazano nam zajechać pod dom Olbrzyma? Czy jego szczeniak jest czymś lepszym od naszych biednych synków? Czemu go oszczędzono?

Dziesiątnik, który stawał otwarcie w obronie sług Baala, uderzył się dłonią w czoło.

– Dobrze, żeś mi przypomniał – rzekł. – Prawda. Toż on ma dzieci.

– Dwoje... Synek ma siedem lat, córeczka piąty rok zaczęła.

Ja wiem dobrze, bo jestem jego sąsiadem... Ale nie mogę nań narzekać. Oby wszyscy sąsiedzi tacy byli, jak Henryk Olbrzym – wtrącił inny żołnierz.

– Ciszej tam chłopcy – upominał drugi dziesiętnik. – Nasz brodacz przystanął.

Rzeczywiście brodaty setnik, który jadąc kłusa oddalił się od maszerującej kolumny, stał teraz pośrodku Placu Dwustu Kolumn, zapatrzonej w stronę wulkanu.

– Góra ognia nie odpoczywa ani w nocy – rzucił ktoś z pierwszego szeregu.

Wydostawszy się z Ulicy Palm Kokosowych na obszerny plac przed świątynią Aszery, „Opiekunki Miasta”, ujrzeli żołnierze odległy stożek wulkanu, który im dotychczas gmachy wąskich ulic przysłaniały. Ujrzeli go więc i mimowolnie zwolnili kroku, bo widok to był przepiękny.

Ćwierć nieba płonęło żywym ogniem. Od tej łuny noc była widna jak dzień niemal, ale owa jasność w niczym złotych blasków słońca nie przypominała. Takie refleksy rzuca tylko rydwan wschodzącej jutrzeńki, lecz jego światło jest stokroć słabsze, stokroć mniej czerwone. Łuna wisząca nad Tyrem miała barwę ciemnej purpury i szczerze darzyła nią całą rozległą wyspę. Więc spokojne jezioro nad którym odbywały się rokrocznie wielkie igrzyska ludowe wyglądało jak morze krwi. Więc królewski szkarłat spowił białe miasto, marmurową świątynię Aszery, pałac królowej, pałace dostojników, domy bogatych mieszczan, chaty pospólstwa, alabastrowe kolumny, wybrukowane place, ulice. Więc jakby w krwawej poźodze tonęły cudne ogrody, olbrzymi park królowej, winnice, gaje pomarańczowe, gaje cytryn, oliwek, granatów, a ponad głowy pospólstwa i arystokracji świata roślinnego wystrzelały wspaniałe pióropusze dumnych palm i dziwiły się

czemu wachlarze ich liści zamiast zwykłej barwy szmaragdów, mają kolor purpury...

A w dali szalał wulkan. Niekiedy wypowiadał walkę niebiosom. Wówczas ryczał straszliwie, rzucał piorun za piorunem i z gorejącej paszczy krateru pluł w niebo milionem rozżarzonych do białości głazów i kamieni. A podpaliwszy obłoki zwracał swą złość ku drżącej od ustawicznych erupcji ziemi. Wtedy rzygał lawą, wstrząsając się chwilami w posadach, jak w napadzie pijackiej czkawki. Potworny strumień płynnej masy wytryskał z krateru, spływał po ostrej pochyłości stożka zrazu szybko, potem coraz wolniej, coraz leniwiej, rozszerzał się do rozmiarów rzeki, czynił coraz potężniejszą wyrwę w gajach pomarańczowych, w winnicach, które niby wielka pełeryna pokrywały cały grzbiet potężnej góry... niszczył i palił wszystko co napotkał na drodze, z wyjątkiem skał, lub wzniesień terenu, które omijał i wijąc się jak bajeczny pyton, staczał się w dolinę sąsiadującą z Nowym Tyrem.

– Straszne – szepnął najstarszy z żołnierzy, wzdrygając się, jakby śmierć zobaczył. – Za moich lat góra ognia już dwa razy przemawiała, ale nigdy jeszcze tak długo, jak tym razem.

– Czwarty dzień – dorzucił dziesiątnik, a jego kolega, ten co w obronie sług Baalowych stawał, zerknął w bok i mruknął cichuteńko.

– I w taki straszny czas Othe bawi się dalej.

Wszystkie okna pałacu królewskiego były otwarte na oścież. Dolatywały stamtąd dźwięki cytr, lutni, fletów, dzwonków, piszczałek, a w przerwach dobiegały kwiki podpiętych kobiet, śmiechy mężczyzn, klaskanie w dłonie i metaliczne dźwięczenie pucharów. Niekiedy trzasnęły drzwi, w pośpiechu zamykane, zagasło światło w dwóch lub trzech oknach komnaty, a w blaskach zdmuchiwanym świec, widać było



sylwetki obnażonej niewiasty i niecierpliwego biesiadnika, jak podbiegali od jednego świecznika do drugiego, by przyspieszyć moment nastania upragnionych ciemności... A inni nie krepowali się światłem.

– Rozpusta! – rzekł głośno dziesiętnik, zapominając o ostrożności i ze wstrętem odwrócił głowę.

– Cóż tedy dziwnego, że bóg ognia płonie świętym gniewem – rozległ się dźwięczny, niski głos jakiegoś męża.

Wszyscy spojrzeli w tę stronę. Na środku Placu Dwustu Kolumn, u stóp wysokiego pomnika Mścicielki stał człowiek średniego wzrostu i ręką wskazywał na okna pałacu królewskiego...

– To jakiś kapłan – rzekł stary wojownik, poznając po szkarłatnej todze i szpiczastym nakryciu głowy, sługę Baalowego.

– Poznają go – dodał młody żołnierz. – To Ulam, cioteczny brat Sofonizby.

– Naród ją czci pod świętym imieniem Mścicielki... Powinieneś o tym pamiętać, bezbożny młokosie.

Ostra przygana dziesiętnika, deklarującego się wyraźnie po stronie stanu kapłańskiego, nie bardzo zmieszała młodzieńca... Wzruszył lekko ramionami i przystał zgodnie: – Niech będzie Mścicielki – mruknął.

Ale głośne słowa Ulama posłyszał także tłum nieszczęśliwych matek, sióstr, ojców, którzy szli tuż za kolumną, by przez plecy żołnierzy, którzy kordon utworzyli, obrzucać pożegnalnymi spojrzeniami dzieci, na zagładę wiezione. I wnet posypały się stamtąd gniewne okrzyki.

– Im synów nie zabrano.

– Kiedy my łzy lejemy, oni się bawią wesoło!

– A za ich rozpustę my płacimy życiem naszych niewinnych dzieci... My bogów nie obrażamy. My nie ściągniemy

na kraj pomsty Baala. Ale my... tylko my, musimy teraz pokutować!

- Dokąd to będzie?
- Inaczej dawniej bywało, kiedy żył szlachetny Hamilkar.
- Dziś nie masz go, kiedy dni klęski nadeszły.
- O bogini, ukarż tych, co go struli, biedaka.

Po tym śmiałym okrzyku, nastąpiła chwila ciszy. O tajemniczej śmierci Hamilkara, syna Egota, bajano od czasu sprawy sądowej, tylko cichaczem, w najściślejszym gronie, ale nikt nie poważał się wypowiedzieć głośno takich słów, jakie teraz padły.

Brodaty setnik zmarszczył się groźnie. Dwom dziesiątkom żołnierzy polecił eskortować wóz z dziećmi aż na miejsce przeznaczenia, a sam, sformowawszy w wyciągniętą linię osiemdziesięciu pozostałych wojowników, ruszył na tłumy.

- Rozpędzić mi to bydło! – ryknął na całe gardło.

Ale pospólstwo nie szukało guzów. Rozbiegło się jak duże stado gołębi, kiedy nań jastrząb od góry uderzył, lecz uciekając na wszystkie strony, wznosiło mściwe okrzyki pod adresem królowej i jej dworu. Nie upłynęło ani tyle czasu ile potrzebuje zużyć leciwy mężczyzna, aby przebyć odległość dwóch strzałów z łuku, kiedy rozległy Plac Dwustu Kolumn był pusty, jak wymieciony. Mężowie, kobiety, starcy i wyrostki rozbiegli się po domach, a wszystkim dźwięczały w uszach ostatnie słowa kapłana Ulama, który zawołał donośnie, kiedy żołnierze zaczęli rozpędzać ludzką gromadę.

- Za długie lata bezbożności, zapomnienia, bóg mści się teraz... Za krew przez Olbrzymów i dla Olbrzymów przelaną, bóg karze was teraz... Góra ognia nie umilknie wprzód, póki go nie prześlągacie, póki nie naprawicie zła jakie wyrządzono

i zła, jakie się dalej dzieje. Baal żąda ofiary! Baal żąda wielkiej ofiary! To mówię wam ja, jego sługa i kapłan.

W jednym z okien wspaniałego pałacu zajaśniała szata niewieścia. Królowa Othe, zwabiona wrzawą porzuciła uczestników biesiady i zdziwionymi spojrzzeniami obrzucała Plac Dwustu Kolumn...

## Rozdział II

### KARA I NAGRODA

Działo się to tej samej nocy, kiedy setka halabardników wywlokła z uśpionych chat najuboższych Tyreńczyków trzydziestu trzech nieletnich chłopców i zawiozła ich do pałacu Nitara, najwyższego sędziego państwa...

Stojący na uboczu domek znakomitego historyka Salmona pogrążył się już dawno w ciemnościach i ciszy nocnej. Sam sędziwy dziej opis chrapał, aż się rozlegało, na płaskim dachu swego domostwa, jako że lubiał nawet w czasie snu przebywać na świeżym powietrzu. Na piętrze spała jego małżonka, trzech synów i dwie służebne. Tylko jedyna córka, uroczą Atossa nie zmrużyła oka, lecz czuwała na schodach, aby się ktoś z domowników nie ocknął i nie przydybał kochanka, siedzącego w pracowni ojca...

Ilekoć rodzic chrapnął donośniej, ilekoć ktoś westchnął, lub jęknął przez sen, zrywała się, drżąc na całym ciele. Chwilami ogarniała ją nieprzeparta ochota, by zejść na dół i wyprosić umiłowanego za drzwi. Poszłaby z nim chętnie do ogrodu, jak co noc bywało, przyzwoliłaby mu na pieszczoty, jak się

to już nieraz zdarzyło, byleby nie szperał po papirusach, nie czytał tego, co mądry rodzic w ciągu mozolnych godzin pracy powypisywał...

Lecz nie! Tego uczynić nie może. Przecież kochanek przysiągł jej uroczyście, że kieruje nim tylko ciekawość, że nikomu ani słowem nie piśnie, iż zna treść wielkiego dzieła Salmona. A tak przy tym wymownie w oczy spoglądał, tak przepalał dziewczynę gorącymi spojrzeniami, tak ją tulił do siebie, że nie mogła odmówić... Przystąpiła... Więc nie może teraz łamać danego słowa, nie może mu przeszkadzać w czytaniu, lecz jak przyrzekła, musi stać na straży, by nikt ciekawego intruza nie zaskoczył.

A kiedy wierna kochanka czuwała nad bezpieczeństwem gorącego wielbiciela dzieł Salmonowych, on sam pochylony nad rozwiniętym zwojem papirusu, czytał szybko, łapczywie:

„Roku 2215 od założenia miasta, a roku 2 od przybycia na wyspę naszą szczepu Olbrzymów, które to zdarzenie nową epokę w naszych dziejach zaczyna, onego pamiętnego roku przytrafiły się następujące ważne wypadki, które gwoli nauce i przestrodze potomności zapisać należy:

Othe, niewierna małżonka Syfaksa, która męża i kraj zdradziwszy, w moc wrogów go podała, poznawszy siłę wojsk powstańczych przeszła szybko na ich stronę, własną dłonią zabiła jednego z Olbrzymów i swymi sztukami usidliła mężnego Hamilkara, syna Egota. Tenże przez lud cały królem okrzyknięty został i na swą zgubę, Othe jawnie poślubił.

Syfax, dawny małżonek Othe był ułaskawion, lecz wzgardziwszy łaską złej żony, pozostał w Zatoce Pereł, gdzie trudni się połowem ryb i polipów.

Henryk Olbrzym za wstawiennictwem teścia swego Tobiasza także był ułaskawion, lecz za karę wszelkich godności

pozbawion i od sprawowania urzędów był odsunięty. Zamieszkał wraz z swą małżonką Eli-złotowłosą za miastem, koło wodociągu”.

Czytający mężczyzna skurczył na znak zniecierpliwienia swą twarz, podobną do pyszczka gryzonia i rozwinąwszy duży kawał papirusu, zaczął czytać od nowego ustępu:

„Roku 2216 od założenia miasta a roku 3 itd...

W tym roku obchodzono uroczyscie dwa święta. Pierwszym z nich były narodziny syna Othe, któremu przez wzgląd na domniemanego ojca nadano imię Hamilkar... Atoli wielu wiarogodnych obywateli sądzi, że dziecię spłodzone jest przez Raesa, syna Sycheusa.

Drugim świętem, w którym wziął udział cały naród, było wybudowanie pomnika na Placu Dwustu Kolumn na cześć Sofonizby Hannonowej, której Mścicielki imię przydano.

Nitar objął urząd najwyższego sędziego oraz przewodniczy Najwyższej Radzie, jaka królewskim nakazem przywrócona została.

Urodzaje wielkie były w tym roku”...

Człowiek o twarzy gryzonia znów przeskoczył z dwa łokcie rulonu...

„Roku 2217 od założenia miasta, a... itd.

W tym roku wielkie nieszczęście spadło na kraj nasz. Ryccerski Hamilkar, mądry i sprawiedliwy władca, pierwszy król Nowego Tyru z dynastii Egot-Barkasów, zakończył życie w zaraniu lat męskich, ku bezmiernej żalości całego narodu.

Trudno dociec co było istotną przyczyną przedwczesnej śmierci ukochanego władcy. Najznakomitszy lekarz, Olbrzym Tobiasz, był wówczas złożony niemocą i nie mógł przybyć do łoża umierającego króla. Leczył go tedy Boabas, który niegdyś za trucicielstwo do kamieniołomów zesłany został, lecz za

panowania Olbrzyma Hansa wolność odzyskał.

Według oświadczenia Boabasa, król Hamilkar zmarł skutkiem zatrucia się grzybami, którą to potrawę zmarły lubił bardzo.

Wśród ludu panuje jednak przekonanie, że Hamilkar został otruty przez Raesa. Pogłoski te narobiły takiej wrzawy, że Othe widziała się zmuszoną polecić Nitarowi, iżby wytoczył sprawę posądzonemu. Aliści świadkowie nie zdołali dowieść winy Raesowi i za oszczerstwo ponieśli surową karę przez ucięcie prawicy, wyrwanie języka i zesłanie do kamieniołomów.

W kopalni diamentów znaleziono dwie miary olbrzymich kamieni i złożono je w skarbcu królewskim”...

– To mnie mało obchodzi – mruknął „gryzoń”, odwijając rulon papirusu skwapliwie... – O!... Tu jest coś ciekawszego!...

„Roku 2218 od założenia miasta, a 5 od... itd.

Stała się rzecz straszna. Othe mianowała Raesa suffetą i pozwoliła mu zamieszkać w swoim pałacu, czyniąc go publicznie swym kochankiem. Jego młodziotka małżonka, imieniem Lorissa pchnęła się nożem, a wyzdrowiawszy została nierządnicą.

Othe chciała by jej faworyta wybrano królem, lecz sprzeciwił się temu szlachetny Nitar oraz reszta dostojnych członków Rady. Wtedy nie pytając nikogo o zdanie, zamianowała go suffetą. A przecież suffeta jest niczym innym jak niekoronowanym władcą państwa. Suffetów miała Kartagina, nasza pierwotna ojczyzna, skąd praojcowie nasi wywędrowali przed 22 stuleciami i założyli Nowy Tyr, lecz od tego czasu tylko przez pierwsze trzy wieki rządzili nami suffetowie i były to czasy najgorsze w historii naszego państwa. Dziewiętnaście

stuleci trwały rządy arcykapłanów Astoreth, rządy błogosławione, sławne, mądre, aż dzięki Olbrzymom pochwyciła ich ster istota najbardziej niegodna, Othe, obecna królowa.

Późno jesienią tegoż roku zmarł Tobiasz-lekarz”.

Niepowołany czytelnik dzieła historyka Salmona, zatarł ręce na znak zadowolenia. Potem rozwinął pospiesznie cały rulon aż do końca i zaczął czytać początek ostatniego ustępu...

Roku 2224 od założenia miasta, a 11 od... itd.

Nie zaszło nic ważnego, nic godnego zapisania w tej mojej kronice. Wszystko to samo co już było, co ciągnie się od kilku lat nieprzerwanie... Serce mi ból ściska serdeczny, lecz obowiązek nakazuje spisywać bezstronnie to wszystko, na co patrzę moje smutne oczy...

Lud jęczy pod ciężarem coraz to nowych danin, a dwór szaleje. Takich podatków nie płacono nigdy, nawet wtedy gdy arcykapłan Emnoch XII rozpoczął budowę świątyni Astoreth. Ale kiedy tamte pieniądze służyły na cel zbożny, te idą w całości na ucztę i rozpustę królowej i jej otoczenia.

Nitar zrzekł się godności przewodniczącego Najwyższej Rady i odsunął się od dworu, poprzestając na urzędzie najwyższego sędziego.

Raes, widząc że królowa, dla której porzucił swą uroczą małżonkę, drwi z niego i zadaje się nawet z prostymi żołdakami, rozpił się z rozpaczy. Chciał opuścić pałac, lecz nie pozwolono mu na to.

Drugim suffetą zamianowany został Boabas, lekarz nadworny. Wątpliwym jest, czy Boabas dostąpił tego zaszczytu drogą przez alkowę królowej. Jest na to zbyt stary i nazbyt szpetny. Raczej należy przychylić się do zdania tych ludzi, którzy sądzą, że przysłużył się władczyni przez zesłanie do Kotliny Powolnej Śmierci tych wszystkich, którzy sarkali na złe rządy Othe.

Ta niesłychana zbrodnia obciąża najwięcej sumienie niegodziwej królowej i zasługuje na to, iżby ją dokładniej opisać dla pożytku potomności, dla przestrogi i nauki, że rządy królów, królowych czy suffetów, najgorsze są ze wszystkich form rządów.

Oto w jaki sposób pozbywała się królowa swych przeciwników:

Dowiedziawszy się, że ktoś jest jej niechętny, posyłała swego powiernika (a tych ma wielu). Wysłany powracał do pałacu i donosił, że rozmawiając z danym osobnikiem, zauważył u niego na rękach, czy na twarzy plamy, jakie przy trądzie występują.

Othe rozkazywała wówczas odprowadzić podejrzanego o chorobę do najwyższego lekarza, celem zbadania. Boabas wiedział już co to znaczy. Nie spojrzawszy nawet na nieszczęsną ofiarę wystawiał świadectwo, że u badanego zauważył objawy trądu, że wobec tego należy go bezzwłocznie odprowadzić do Kotliny Powolnej Śmierci, aby innych mieszkańców nie zarażał.

Takim okrutnym sposobem pozbyła się Othe sędziwego Hazdrubala, zacnego Magona i setki innych co najlepszych obywateli.

Zimne okrucieństwo i mściwość tej przewrotnej kobiety jest bez granic. Kto jej się naraził, wypisał na siebie wyrok śmierci...

To przeświadczenie właśnie jest powodem, dlaczego ja, Salmon, syn Hannibala piszę niniejsze roczniki na dwóch papyrusach. Jeden z nich zawiera kłamstwa, pochwały dla rządów królowej, a drugi, ten właśnie, jest zwierciadłem czystej prawdy. Kiedy ona umrze, tamten kłamliwy rękopis zniszczę własnymi rękoma, a ten złożę dla użytku potomnych...

Smutne to jest, że ja, historyk, kronikarz, muszę się uciekać



do takich wybiegów, lecz mam żonę, trzech synów i Atosę, córę umiłowaną i dla nich chcę żyć, by kiedyś dać świadectwo prawdzie...”

– To najzupełniej wystarczy – rzekł „Gryzoń”, powstając od stołu. Zwinął długi pas zapisanego papirusu w tubkę, rozejrzał się na wszystkie strony i jakby zapominając o kochance, która niecierpliwie czekała na schodach, dopadł drzwi wiodących na ulicę.

Atossa trwała na swym posterunku długo... bardzo długo... Wreszcie i jej cierpliwość się wyczerpała. Zeszła po stopniach ostrożnie, wystrzegając się, by któryś z nich nie zaskrzypiał i pchnęła drzwi do pracowni. Stała jak wryta... Wielka izba była pusta. Kochanek znikł bez śladu, a uchylone drzwi od ulicy wskazywały, którądy uszedł... bez pożegnania.

Złe przeczucia ścisnęły serce lekkomyślnej dziewczyny.

Coś jej mówiło, coś jej w ucho szeptało, że nieszczęście wyniknie z tych dzisiejszych odwiedzin kochanka.

– Czyżby chciał ukraść dzieło ojcowskie? – rzekła półgłosem do siebie.

Przerażony wzrok skierowała na olbrzymi stół, gdzie leżały przyrządy do pisania i gdzie ojciec zazwyczaj pracował. W migotliwym świetle kaganka zoczyła długi rękopis przyszpilony do płyty stołowej... Odetchnęła... Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Więc może on wyszedł do ogrodu i czeka na nią tam, gdzie zawsze?

Atossa wybiegła z domu. Pospieszyła do winem obrośniętej altany, gdzie ją rozmarzoną ów nieznanym mężczyzną po raz pierwszy zaskoczył, gdzie w ową noc księżycową pierwsze z nim wymieniła pocałunki. Lecz tym razem altana była próżna, a zamiast srebrnej poświaty miesiąca, szkarłatna luna przez wulkan na niebie rozpalona rzucała krwawe, złowrogie refleksy.

Jakiś dreszcz wstrząsnął młodym ciałem dziewczyny. Szczelniej otuliła się chlamidą i z głową na piersi zwieszoną powróciła do domu. Cichuteńko zasunęła kołowrotek przy drzwiach wejściowych, ostrożnie wyszła na piętro i rzuciła się na swoje posłanie... Lecz sen nie przychodził, choć powieki ciążyły ołowiem.

I pierwsza zerwała się na równe nogi, kiedy dwie godziny później rozległo się głośnie kołatanie do drzwi.

– Co to? Co to? – dopytywały zbudzone niewiasty.

– Kto tam stuka po nocy? – huknął Salmon, pochylając się przez balustradę, jaka płaski dach dokoła otaczała.

– W imieniu najmiłościwszej królowej. Otwórzcie.

Gruby bas żołnierza przeraził wszystkich. Musiało zajść coś niezwykłego, skoro Othe wzywała nadwornego dziejopisa do pałacu o tak spóźnionej porze. Nie wróżyło to w każdym razie nic dobrego...

Salmon narzucił na siebie pierwsze z brzegu płaszczysko i zbiegł na dół skwapliwie, aby drzwi otworzyć.

– A ty, po co tutaj?! – mruknął, widząc, że Atossa biegnie w jego ślady.

Do izby wkroczył gruby dziesiętnik wraz z kilkoma żołnierzami.

– Ty jesteś Salmon, kronikarz królowej? – zagadnął ostro.

– Jam jest Salmon – brzmiała odpowiedź.

– Królowa nasza najmiłościwsza wzywa cię, Salmonie.

– Przywdzieję więc szaty odświętne.

– Nie ma czasu... Królowa czeka.

Spoza pleców żołnierzy wysunął się jakiś człowiek, którego twarz okrywała czarna zasłona...

– Z polecenia najmiłościwszej królowej – zaczął nosowym głosem – masz przynieść z sobą swoją kronikę.

Salmon drgnął silnie. Mimowolnie rzucił badawcze spojrzenie w kierunku głównej ściany, gdzie na drewnianych półkach leżały całe stopy zwiniętych w rulon papirusów.

Uspokoił się od razu. Pewnym krokiem podszedł do stołu, powyciągał gwoźdźki którymi wielki zwój papirusu był przyspilony i począł go zwijać w tubę.

– Jestem gotów – rzekł po chwili.

– Czy zabrałeś kronikę? – dopytywał ciekawie mąż z osłoniętą twarzą.

Salmon nie zdążył odpowiedzieć, gdyż w tym momencie wypadła z sąsiedniej izby Atossa i jak burza runęła na zamaskowanego przybysza. Ale ów nie czekał spotkania. Wskoczył pospiesznie za plecy szeregu żołdaków, a szepnąwszy dzieśnikowi jakieś słowa, wybiegł na ulicę.

Mieszkańcy sąsiednich domków spieszyli do okien, zbudzeni głośnym szlochem niewieścim. Poznali natychmiast wyniosłą sylwetkę powszechnie lubianego historyka i nie mogli pojąć czemu otacza go garść zbrojnych halabardników, czemu wiodą go z domu w późną noc i czemu piękna Atossa, idąc z tyłu za szczupłym orszakiem, zawodzi tak rozpaczliwie.

Królowa przyjęła Salmona w jednej z skrzydłowych komnat swego pałacu. Uważny dziejopis zobaczył natychmiast przeźrocyste peplon niewieście, podarte snadź rękoma niecierpliwego kochanka. Peplon zwisało z oblanej winem kanapki, jakiej używają biesiadnicy, leżący przy stole... Tu i ówdzie walały się okruchy rozbitych kryształów; w kącie leżał miecz oficerski, przy nim trzcina z złoconą gałką, która jest oznaką rangi tysięcznika, obok puchar, dalej kwiaty rozsypane w nieładzie... Nic nie uszło oka Salmona...

Sama władczyni wyglądała także znacznie gorzej niż ongiś, za czasów panowania Olbrzymów. Oczy jej były podkrążone sinymi obwódkami, a od zewnętrznej strony oka ku skroni biegły zmarszczki łatwo widoczne. Cera twarzy była niezdrowo blada, jakby zielonkawa, być może, że skutkiem odbłasków szmaragdowej amplii. Długie palce drżały nerwowo i bawiły się maleńkim fletem, który spoczywał na kolanach... Lecz mimo wszystko Othe zawsze jeszcze była piękną, a lekkie przytycie zaakcentowało rysunek jej boskich ramion i piersi.

Przybywającego dziejopisa przyjęła nader łaskawie. Uśmiechnęła się przyjaźnie i raczyła go dopuścić do zaszczytu ucałowania dłoni. Salmon poczuł, że drżące palce pachną na równi winem, jak wonnymi olejkami; zauważył przy tej sposobności, że powyżej przegubu widnieje ślad świeżego ukąszenia i dobrze sobie te dwa fakty w pamięci zanotował.

– Przyniosłeś swą kronikę? – spytała po dłuższej chwili uciążliwego milczenia.

– Przyniosłem jako rozkazałaś, najmiłociwsza królowo...

– To dobrze... Pewnieś gniewny, że ci sen przerwałam.

– O każdej porze jestem na twoje, królowo, usługi – odparł układnie.

– Ale zmęczony jesteś? Nie przecz.

– Zapewne, miłociwa królowo... Praca historyka nie łatwym jest chlebem. Trzeba każdą zasłyszaną wiadomość cieżić cierpliwie, by nagą prawdę od fałszu oddzielić, trzeba...

– Toś dobrze powiedział – przerwała mu. – Więc daruj mi, że ci przerwałam zasłużony spoczynek, którego miałeś dotychczas tak niewiele. A należy ci się... Słusznie ci się należy... Odpoczniesz sobie...

Salmon drgnął niespokojnie. Jakaś obłudna nuta zawibrowała w pozornie szczerym głosie królowej. Nie stało jednak czasu na refleksje, gdyż z ust władczyni padł nieoczekiwany rozkaz.

– Przeczytaj mi, co napisałeś o zeszłym roku. Rada posłucham.

Odchrząknął nieco i rozwinąwszy trzymany w rękach rulon, czytał pewnym głosem:

„Roku 2224 od założenia miasta, a 11 od...”

– To możesz opuścić – przerwała mu z gestem zniecierpliwienia.

– Dobrze, o najmiłościwsza. Opuszczam:

„Już wczesną wiosną, gdy tylko pora deszczowa przeminęła, z polecenia mądrej władczyni, królowej Othe I rozpoczęto budowę nowego zbiornika w parku pałacowym. Zbiornik ten zdobić będą cztery fontanny, wyrzucające wodę na taką wysokość jak żadna z dotychczasowych.

Biorąc pod uwagę, że bohaterski Raes, syn Sycheusa nie może podolać ciężarowi włożonych nań obowiązków, mianowała mądra władczyni drugiego suffetę w osobie najznakomitszego lekarza Boabasa.

Zasługi tego męża są olbrzymie, albowiem on to właśnie odkrył trąd u kilku obywateli i przez szybkie odłączenie ich od reszty mieszkańców, nie dopuścił do rozszerzenia się przekłętą zarazy. Toteż nie można dosyć nachwalić wyboru mądrej władczyni...”

– Toś bardzo dobrze napisał – rzekła Othe, przeszywając wzrokiem trochę zmieszanego pochwałą Salmona.

– Przeczytaj mi teraz ustęp końcowy.

– Dobrze, najmiłościwsza królowo – odparł z źle ukrywaną radością. Cieszył się niezmiernie, że denerwująca bądź co bądź lektura ma się ku szczęśliwemu końcowi.

Odetchnąwszy, czytał dalej:

„Jeśli tedy rzucimy okiem na przeszło dziesięcioletnie rządy królowej Othe, musimy przyznać, że nawet 19 wieków trwające rządy arcykapłanów nie wydały takich owoców, nie przysporzyły krajowi takich monumentalnych gmachów, nie wzbogaciły skarbu takimi dochodami, jak błogosławione panowanie Othe, którą też darzy powszechna miłość całego narodu, wszystkich warstw i stanów”.

– Dość – powiedziała i kłaśnięciem w dłoń przywołała dwie służebne dziewczyny. Poleciała im przynieść wszelkie przybory do pisania.

I chwilę później siedział zdumiony nad wyraz Salmon przy stole, czekając zapowiedzianego dyktanda.

– Pisz teraz słowo za słowem, co ode mnie usłyszysz.

– Dobrze, najmiłościvsza królowo.

– Zaczynaj tedy... „Wielki żal przejmuję moje serce, że zły stan zdrowia nie pozwoli mi na dalsze spisywanie dziejów mego kraju, gdyż prawdziwą radość odczuwałem, przedstawiając w tym rękopisie zgodnie z prawdą, historię panowania wielkiej królowej...” Napisałeś? – spytała...

– Na... pi... sa... łem – wyjąkał.

– Więc pisz dalej! „Doszły mnie wieści, że źli ludzie, przekupieni przez kapłanów Baala przedstawiają królową w najgorszym świetle i w tym duchu czynią jakoweś zapiski... To wszystko kłamstwo! Ja, Salmon, syn Hannibala, zaprzeczam temu i zeznam, że szczerą prawdę zawiera jedynie tylko ta kronika, którą sam, dobrowolnie bez niczyjego przymusu... bez niczyjego przymusu! – powtórzyła z wielkim naciskiem... – spisywałem”.

– Już?

– Już, najmiłość...

– Jeszcze trochę! „Czuję zbliżającą się chorobę, być może śmierć. W oczach mam krwawe płyty, koła, gwiazdy... ręce mi drżą jak w zimnicy... Pora mi kończyć tę pracę. Jutro udam się do znakomitego Boobasa, aby mi leki zapisał stosownie...”

– Zapisał... sto... sowne – wybełkotał, powtarzając ostatnie słowa dyktanda królowej.

– Zaraz skończę... Pisz! „Mam przecucie, że już nie powrócę do mej umiłowanej pracy. Nie wiem, komu najmiłościwsza królowa zleci mą spuściznę. W każdym razie polecam surowo memu następcy, by nie zważając na złe języki oszczerców, pisał dalszy ciąg kroniki w duchu prawdy, jako ja ją pisałem”. Skończyłeś?

Skinął głową potakująco, bo głosu nie mógł dobyć z zaschniętej krtani.

– Więc podpisz wyraźnie.

Spełnił rozkaz posłusznie.

Othe odebrała kronikę, zwinęła ją jak należy i przyglądając się pobladłej twarzy pisarza, wykrzyknęła z dobrze udanym przerażeniem:

– Trąd! Widzę plamy na twarzy. Hej! Służba!

Do sali wbiegły dwie służebne, a po chwili garść żołnierzy, z pobliskiej wartowni przywołana naprędce.

– Nie dotykajcie go – wołała – odstepcie. On ma trąd!

– Ooo! Bogini oddal zarazę od tego domu – wrzasnęły przestraszone dziewczyny.

Salmon zachwiał się na nogach. Zrozumiał w jednej chwili straszne niebezpieczeństwo i nie mniej straszliwą komedię, jaką chciano z nim odegrać, ale przeświadczenie o własnej bezsilności złamało go, jak cyklon łamie młodą palmę, której nasienie padło z dala od lasu i której pień zgrubieć nie zdążył.

– To... niepraw... da! – jęknął. – To fałsz! Ja jestem zdrowy najzupełniej.

– Jakże to? – zdziwiła się Othe... – Dopiero przed chwilą czytałeś mi zakończenie swej kroniki, czytałeś mi, że jesteś bardzo chory, że musisz iść do Boabasa. Prosiłeś mnie, bym raczyła wyznaczyć zastępcę, który za ciebie będzie kronikę pisał. Może zaprzeczysz? – zasyczała, podchodząc bliżej i wpijając sztylety swych morderczych spojrzeń w obezwładnioną ofiarę. A ujrawszy w jego oczach jakiś błysk rozpaczliwej determinacji, wyjęła z fałd swej chlamidy wielki zwój papirusu i podsunęła go pod sam nos Salmona. – A to znasz? – spytała, mrużąc oczy z wyrazem niesłuchanej złości. Była to kronika wykradziona przez „Gryzonia”.

Dziejopis zatoczył się jak pijany i padł na kolana.

– Łaski, królowo!... Litości!... Nie dla mnie... Dla moich dzieci!... Dla żony!...

– Czego ten chce ode mnie? – spytała, zwracając się w stronę czekających żołnierzy.

– Łaski!... Zlitowania!... Oooch... – jęczał złamany człowiek; potem runął na twarz i jął czołem uderzać o twarde marmur posadzki.

W takiej właśnie chwili wkroczył do sali przywołany suffeta Boabas. Ujrawszy wijącego się mężczyznę, puścił w ruch swoje długie ręce i począł wołać na całe gardło, jakby się paliło:

– To trędowaty!... Trędowaty!... Poznaję chorobę z daleka... O? Nie może ustać na nogach?... To źle! To bardzo źle! Zawołać tu moich ludzi. Niech przyjdą z noszami. Zaraz wypiszę świadectwa. Królowo, witam cię. Wybacz, że pierwsze słowa jemu poświęciłem, ale kierował mną lęk o twoją świętą osobę. Trąd jest zaraźliwy. Przerażająco zaraźliwy. Nawet oddech przenosi ducha zarazy.



– O bogini ratuj!... – zakrzyknęła Othe, trąc sobie rękę gwałtownie. Więc powiadasz, że nawet oddech. Nie! Ja myśleć o tym nie chcę. Ja mu podałam dłoń do ucałowania.

– O zgrozo!... Lecz nie lękaj się królowo. Mam wywar znakomity, który zaciera wszelkie ślady zarazy.

Salmon zerwał się na równe nogi.

– Masz, o najdostojniejszy? Daj mi tego wywaru! Cały majątek ci oddam – błagał, składając ręce i idąc powoli w stronę lekarza.

– Precz ode mnie! Precz, głupi człowieku. Mój wywar pomaga tylko w początkach choroby. Ty już gniesz. Obejrzyj swoją twarz, nieszczęsny.

Salmon przystanął. Objął dłońmi głowę i myślał długo. Z wolna oczy jego zaczęły mętnieć, błyszczeć i rzucać jakby nieprzytomne spojrzenia. Nagle wybuchnął hałaśliwym śmiechem.

– Oszalał, czy co? – mruknął Boabas, chowając się przeznornie za szerokie plecy dziesiętnika.

W drzwiach stanęła sylwetka niewieścia.

– Dido! – zawołała królowa. – Jakież mi wieści przynosisz?

Dido, zwana za swych młodych lat „Śmieszka”, była poślubiona Magonowi, który niegdyś sędzią był najwyższym, a później jako rzekomo trędowaty został zesłany do Kotliny Powolnej Śmierci. Dido wycierpiała bardzo wiele za czasów panowania Olbrzymów. Była niewolnicą Eryka, później Mullera, aż wreszcie rzuciła się w wir szaleństw dworu i stała się powiernicą królowej... Stanąwszy teraz na progu komnaty, obrzuciła wszystkich przelotnym, obojętnym spojrzeniem i odpowiadając na pytanie swej przyjaciółki, rzekła:

– Królowo, dwoje ludzi żąda widzenia się z tobą. Mówią, że ważne nowiny przynoszą.

– Cóż to za jedni?

– Atossa, córka Salmona, dziejopisa.

– Bogini! Moja córka najdroższa! Moje dziecko! – ryknął nadworny historyk, któremu na dźwięk znajomego imienia od razu powróciła przytomność.

Zjadliwy uśmiech wykrzywił piękne usteczka królowej... Przybliżyła się do rozpaczającego skazańca i szepnęła mu w ucho:

– Dowiedz się nim zginiesz w Kotlinie Powolnej Śmierci, że wydała cię własna córka... Rozumiesz? Mój szpieg był jej kochankiem. Wpuściła go do twej pracowni, gdzie znalazł ten cenny rękopis, łotrze!...

– Łziesz, źmijo! – wrzasnął Salmon, rzucając się całym ciałem naprzód. Jego włochate ręce z palcami rozpostartymi na kształt sępich szponów zawisły na chwilę ponad płomieniami włosów Othe. Ale w tej samej chwili pochwyciły go żelazne kleszcze czterech łap wprawnych zbirów. Kiedy go wyprowadzono z sali, Othe spojrzała za nim jakby współczując i rzekła tak, aby wszyscy posłyszeć mogli:

– Biedny człowiek, Żal mi go bardzo, ale sami widzieliście jak wielkie choroba poczyniła postępy. – Potem zwracając się do Didony, dodała głosem zupełnie opanowanym, spokojnym, jakby nic w ogóle nie zaszło:

– Atossa niechaj się zgłosi do Boabasa. Ten jej wytłumaczy, że niebezpieczeństwo zarażenia się, nie pozwala na czułe pożegnania... Ale mówiłaś coś, że dwoje ludzi prosi o chwilę rozmowy. Kim jest ten drugi?

– Młody żołnierz, halabardnik.

– Ładny? – spytała znacznie ciszej, podchodząc do przyjaciółki.

- Hi, hi, hi... Nawet bardzo.
- Więc przyprowadź go do mnie – poleciła i skinieniem ręki odprawiła wszystkich obecnych. Pozostawszy sama, poszła do srebrnej blachy, która zastępowała zwierciadło i przeglądając się długo, poprawiała sobie włosy i fałdy drogocennej szaty.

W przyległej sali zadudniły ciężkie chodaki żołnierskie. Sprężystym krokiem wszedł młody wojak, zbliżył się na sześć łokci do królowej i stanął na bacność, trzasnąwszy obcasami podkutych butów tak głośno, że ów łoskot rozniósł się echem po całej wielkiej sali. Było to powitanie wcale nie ceremonialne, lecz młody żołdak, nieświadom obyczajów na dworze panujących postąpił tak, jak go w koszarach wyuczono, a uczono tam wedle pruskiej musztry, zaprowadzonej jeszcze przed 11 laty, przez Hansa Olbrzyma.

Królowa uśmiechnęła się kącikami ukarminowanych usteczek. Oddaliwszy rozweseloną Dido, spytała łaskawie przybyłego, w jakim celu prosi o chwilę audiencji o tak niezwyklej porze.

- Melduję posłusznie, że spisek się jakiś gotuje na panią królową – odparł, przykładając wyprostowaną dłoń do daszku hełmu.

Othe zmarszczyła się groźnie. Poleciła, by opowiedział jej wszystko co wie o rzekomym spisku i kto doń należy.

Opowiadanie wypadło dość blado. Żołnierz nadmienił, że w jego secinie coraz częściej odzywają się głosy niezadowolenia z rządów królowej, że dwóch dziesiętników występuje otwarcie za kapłanami Baala, że wybuch wulkanu przedstawia się jako objaw zemsty boga ognia za rozpustę szalejącą na dworze, że wreszcie dzisiejszej nocy, kapłan imieniem Ulam otwarcie to mówił na Placu Dwustu Kolumn.

- Tu? Przed oknami mego pałacu? – syknęła przez zęby.
- Tak jest, pani królowo.
- Hm... No dobrze... Co wiesz jeszcze?
- Melduję posłusznie, że nic więcej nie wiem.
- Jakże ci na imię?
- Milkar.

Othe skrzywiła się mimowolnie. Więc ten ładny chłopak, wpatrzony w nią, jak w tęczę, ma na imię Hamilkar, bo wszakże „Milkar” to tylko zdrobnienie. Zamajaczyła jej w wyobraźni wykrzywiona konwulsjami twarz Hamilkara, syna Egota, tego Hamilkara, którego... – Nie! Nie ja! To Raes uczynił! – zawołała prawie głośno i obiema dłońmi ścisnęła sobie głowę.

Żołnierz stał wyprostowany jak struna. Z bezmiernym zdumieniem spoglądał na królową, nie rozumiejąc przyczyn zmiany jej zachowania się.

– Słuchaj – przemówiła wreszcie... – Dlaczego z tym tutaj przyszedłeś?

– Bo nienawidzę kapłanów i... – zawahał się, umilkł.

– Mów śmiało... Wszystko masz powiedzieć, kiedy królowa każe.

– Ja... ja chciałem... – jąkał się jeszcze, a potem wzięwszy na odwagę, wyrecytował jednym tchem: – Chciałem choć raz z bliska zobaczyć panią królową. Widziałem was... – poprawił szybko – panią na paradach wojskowych. I nie wiem co mi się stało, ale powiedziałem sobie, że muszę się przekonać, czy...

– Czy?

Żołnierz urwał po raz wtóry, ale z jego spojrzeń, pełnych zachwyty wyczytała to, czego usta wypowiedzieć nie śmiały i wyjęczyła go z czarującym uśmiechem: – Chciałeś się przekonać,

czy królowa jest naprawdę tak piękna, jak o tym mówią wśród ludu. I jakże? Spodobałam ci się?

Milkar nie mógł głosu wydobyć. Skinął tylko głową, a jego oczy znów dopowiedziały resztę.

Othe bawiła się świetnie. Zarzucała młodego wojownika litaniami pytań, dotyczących jej oczu, jej włosów płomiennych, jej postawy, nóg, rąk, a potem szat, komnaty, pałacu, wprawiając egzaminowanego w coraz większe zakłopotanie. Nagle spoważniała.

– Jakiej oczekujesz nagrody za to, coś uczynił? – spytała.

Milkar otworzył usta, lecz natychmiast uderzył się w nie dłonią i poczerwieniał po uszy.

– Nie bądźże taki nieśmiały. Więc o co prosisz?

– Żebym... żebym mógł być przydzielony do gwardii pałacowej.

– Oooo! Dlaczegoż to? Żle ci przy halabardnikach?

– Żle nie jest, ale chciałbym... być blisko pani królowej.

Othe patrzyła uważnie przez wąskie szparki powiek.. I nie dostrzegła żadnego cienia obłudy w oczach wyprężonego wojaka. Te siwe, stalowe źrenice spoglądały prosto, uczciwie. Lecz jeszcze niedowierzała. Jeszcze miała wątpliwości.

– Słuchaj – rzekła – i zanim odpowiesz, namyśl się dobrze. Od tego może zależeć twoja przyszłość... Chcąc cię wynagrodzić za wierność i odwagę, zamierzam cię mianować... setnikiem.

– Setnikiem! – powtórzył, pojąc się dźwiękiem tego słowa. – Mnie setnikiem mianować? O królowo... dzięki ci!

– Będziesz przywódcą setki halabardników, która pilnuje więźniów w kamieniołomach. Tam pozostaniesz oczywiście.

W miarę jak mówiła, rozpromieniony wzrok żołnierza gasł szybko, a wyprostowana sylwetka pochyliła się i zgarbiła niezgrabnie.

– W gwardii są wszystkie miejsca starszyny obsadzone. Gdybyś chciał tutaj pozostać, musiałbyś być tylko prostym żołnierzem, jak dotychczas jesteś. Nie masz więc wyboru. Łaski setnika nie zdobywa się tak łatwo. Inni na to latami czekać muszą – kusiła. – Więc wybierasz to pierwsze. Prawda?

Żołnierz potrząsnął głową przecząco.

– Wybieram to drugie, pani królowo – odparł spokojnie.

Othe zdziwiła się mimo wszystko. Ten młokos odrzucał lekkomyślnie propozycję nie do pogardzenia nawet dla dziesiętnika, a co dopiero dla prostego szeregowca. Nie zlakomił się na rangę oficerską, na stanowisko setnika, który był przecież nieledwie panem życia i śmierci w swoim oddziale.

– Więc naprawdę wolisz tutaj pozostać? – spytała jeszcze.

– Byle przy gwardii pałacowej – zastrzegł się przezornie.

Królowa zaklaskała w dłonie. Wchodzącej służebnej poleciła przywołać przywódcę pałacowej gwardii.

Po chwili stanął w progu tęgi oficer, w błyszczącej zbroi gwardzisty. W rękę trzymał bambusową laseczkę ozdobioną złożoną gałką, co jest odznaką rangi tysięcznika.

– Shiramie, oddaję pod twoją opiekę i komendę tego oto młodzieńca. Poucz go o zwyczajach, jakie panują w pałacu – rzekła Othe.

– Stanie się jak rozkazałaś, miłościwa królowo.

– Milkarze, oto twój zwierzchnik. Idź z nim i bądź mu posłuszny we wszystkim.

Młody gwardzista obserwował uważnie zachowanie się swego nowego komendanta i wcale udatnie złożył taki sam ukłon jak tamten. Byli już przy drzwiach, kiedy zabrzmiał głos królowej:

– Shiramie, trzeba by go jutro wystawić na próbę. Po przeglądzie wojska zgłosisz się do mnie po rozkazy.

– Rzekłaś, miłościwa królowo...

Ciężkie kroki zadudniły w przyległej komnacie, oddalały się, cichły, aż umilkły zupełnie.

Othe przechadzała się czas jakiś, przemierzając nerwowo wielką salę wzdłuż i w poprzek. Wreszcie znużona wędrówką, a może szaleństwami pierwszych godzin tej nocy, usiadła przy niskim stole. Wpadł jej w oczy zwój papirusu, owa kronika, wykradziona Salmonowi przez chytrego wywiadowcę. Zmarszczyła się gniewnie i syknęła przez zaciśnięte zęby:

– Ten już nie będzie na mnie czekał... O bogini!... Sami wrogowie dokoła... Łaszą się, schlebiają mi, a truciznę noszą w zanadrzu, przekłęci obłudnicy. Nikomu wierzyć nie można. Nikomu! Bo i któż? – zastanowiła się, a potem zaczęła przebiegać myślą imiona tych, po których miała prawo wierności oczekiwać: – Boabas? Nie? Jemu fałsz z oczu patrzy. Gdyby mi nie był potrzebny, dawno bym się od niego uwolniła na zawsze. Miałabym spokój. Raes, to człowiek skończony. Poza winem świata nie widzi. A dawniej szalał za mną. Dla mnie ważył się na wszystko; na zbrodnię nawet... Shiram także niepewny. Sądził, że zajmie miejsce Hamilkara lub Raesa. Głupiec! Cóż z tego, że mu się raz oddałam? Czy on jeden był moim wybranem? Dawniej czołgał się u moich stóp, a kiedy mu wstępu do mych komnat wzbroniłam zgrzytnął zębami i odszedł bez słowa. Teraz nie może na mnie patrzeć.

Królowa westchnęła głęboko. Nie było nikogo. Nikogo

dość pewnego, na którego pomoc można by liczyć bezwzględnie w czasie zarysowującego się coraz wyraźniej konfliktu z kapłanami Baala. Nagle ożywiła się.

– Mam! – zawołała prawie na głos – Ten patrzy mi w oczy, niby wierny pies. Nie ma wygórowanych ambicji. Jest na to może za głupi. Kocha się we mnie... To widać z jego spojrzeń. A przy tym jest młody, piękny... i bardzo dobrze zbudowany!

Tu przeciągnęła się ruchem leniwej kotki i przymrużyła oczy, by lepiej sobie w wyobraźni odtworzyć postać nowego wybrańca.

– Tak będzie – rzekła, uderzając piąstką w płytę stołu. – Należy mu się słuszna nagroda za przywiązanie i za to, że kocha. Tak, mój urodziwy Milkarze... Królowa karze bez litości zdrajców, jak obłudny Salmon-dziejopis... lecz słodką nagrodę potrafi dać wiernemu żołnierzowi. Sam tego jutro doświadczysz.

Klasnęła w dłonie, a kiedy weszły służebne, poleciła im przygotować kąpiel w malachitowym basenie.

### Rozdział III

## W PODZIEMIACH ŚWIĄTYNI

Delikatny, ledwie dosłyszalny szmer zakłócił grobową ciszę. Potem rozległ się charakterystyczny szelest, jaki powoduje tarcie o siebie dwóch małych kamyczków o chropowatej powierzchni. Małeńkie złote iskierki zamigotały wśród nieprzebitych ciemności, lecz szybko zgasły... Znów szmer, szurganie pocieranych kamieni, znów lśniąco iskierki i słaby odgłos dmuchania.



– Czyżby hubka zawilgotniała? – mruknął jakiś męski głos.

Lecz wytrwałe usiłowania uwieńczył pomyślny skutek.

Święty ogień, niebiosom ongiś przez ludzi wykradziony, dał się znowu ujarzmić człowiekowi, dał się wykrzesać z martwego krzemienia i zapłonął jasnym płomieniem.

Potem przeniesiony na smolne łuczywo, począł rozwidniać ciemności, pożerając swą strawę chciwie i skwiercząc z mściwej radości. Przerażone mroki pierzchły w nieładzie przed jego zwycięskimi blaskami, przykucnęły obok załamań murów, pod ścianami, w pustych niszach, koło posągu, przy wylotach dwóch niskich ganków, znacząc swą obecność czarnymi plamami cienia na kamiennych płytach posadzki.

Z podniesioną nad głową pochodnią, obszedł śmiały intruz całą pieczarę dokoła. Wreszcie przystanął obok olbrzymiego posągu, którego szczyt niemal dotykał wysokiego sklepienia ośmiobocznej jaskini. W drgającym świetle łuczywa ukazało się potwornie uśmiechnięte, potwornie brzydkie oblicze Baala-Uzdrowiciela.

Człowiek z pochodnią wsunął się w wąską szczelinę pomiędzy mur podziemnej świątyni, a tylną ściankę olbrzymiej figury. Wyszukał szybko dobrze znany sobie punkcik, nacisnął go szpicem jakiegoś ostrego przedmiotu i co prędzej odskoczył w bok. Rozległ się metaliczny jęk przyrdzewiałej sprężyny. Z małej szparki wyskoczył nóż długi jak kosa żniwiarza, wykonał sierpowy zamach i natychmiast skrył się w swym otworze. Gdyby ów człowiek nie był obznajmiony z niebezpiecznym mechanizmem posągu, ostrze noża byłoby go ścięło niczym kat najwprawniejszy, gdyż nóż-kosa posuwał się równoległe do podłogi, a na wysokości szyi normalnego człowieka.

Śmiałek skrzywił swe brzydkie usta w szerokim uśmiechu. Czym prędzej odszukał drugi guziczek, równie niewidoczny i maleńki jak pierwszy. Pogrzebał coś przy nim i oto część tylnej ścianki zapadła się jakby w posadzkę, odsłaniając wąskie, kręte schodki, biegnące w górę spiralnie. Posąg Baala był wewnątrz wydrążony i stanowił doskonałą kryjówkę, zdolną pomieścić nie jednego, ale pięciu dobrze zbudowanych mężczyzn. Wówczas odważny przybysz zgasił pochodnię, wślizgnął się do wnętrza wygodnego schowka i przez pociągnięcie odpowiedniej dźwigni, drzwiczki za sobą zasunął. I znów gęste mroki wypełzły spod ściany, z nisz głębokich, z załamania murów, obejmując podziemną świątynię w wyłączne posiadanie.

Tak przeszła godzina, a może i więcej.

Wreszcie w jednym z ganków zamigotało bardzo odległe światelko. Podskakiwało miarowo w górę i na dół świadcząc wymownie, że człowiek, który je niesie, silnie chroma. Kuter-noga dowlókl się z dużym, jak na jego kalectwo pośpiechem, do pieczary, podszedł do jednego z ośmiu pylonów, wspiął się nie bez wysiłku i zapalił przygotowane snadz uprzednio paliwo. Niebawem osiem potężnych pochodni oświecało czerwonymi blaskami wnętrze podziemnej świątyni Baala.

W głębi ciemnego ganku, skąd nadszedł sługa kapłański znowu zajaśniało światelko... jedno, drugie... trzecie... potem cztery naraz i znów po jednym w mniejszych lub większych odstępach. Sznur postaci w szpiczastych kapeluszach i togach szkarłatnych zbliżał się szybko w stronę miejsca schadzki. Dochodząc do świątyni gasili swe pochodnie i składali je na marmurowej płycie. Ich postacie, wydłużone przez wysokie a stożkowate nakrycia głowy, rzucały fantastyczne plamy cienia.

Na środek wystąpił człowiek słusznego wzrostu, odziany w wspaniałą purpurową togę, suto dzierganą złotem. Kiedy podniósł dłoń w górę, ustał natychmiast przyciszony gwar rozmów i głęboka cisza zapanowała wśród zebranych.

– Bracia-rycerze niechaj staną z dobytym orężem przy wejściach, aby zdrajca nie uszedł kary, jeśli jest taki pomiędzy nami – zabrzmiał głos starczy, trzęsący się nieco, lecz silny.

Czterech zamaskowanych spiskowców ustawiło się parami przy obu wylotach ganku. Cztery dwusieczne miecze, spod fałd luźnych szat wydobyte, zamigotały jasnym blaskiem.

– Wszyscy odsłonią oblicza. Brat-mściciel sprawdzi, czy nie ma wśród nas zdrajcy.

Na tę komendę wszyscy ustawili się w jeden rząd, przodem do posągu Baala i odrzucili czarne chusty z dziurami na oczy. Chusty te były przyczepione do runda kapeluszy. Jakiś ogromny drab wystąpił z szeregu i podchodząc do każdego z uczestników zebrania, przyglądał mu się z bliska badawczo.

– Hazdrubal-łysy, Ulam-mówca, Hanno-młodszy, Sycheus-lekarz, Sycheus-garbaty, Emnoch-ostrowidz – mówił półgłosem, poznając poszczególnych kapłanów i takim sposobem wymienił całą litanię imion, aż doszedł do ostatniego... Ukończywszy swe zajęcie, zbliżył się do sędziwego męża, który stał u stóp posągu i uczyniwszy należyty pokłon, wygłosił wyuczoną dobrze formułkę.

– Sami wtajemniczeni członkowie... Nie masz zdrajcy ni szpiega między nami, dostojny arcykapłanie.

– Ręczysz za to głową?

– Ręczę moją głową.

– Tedy możemy rozpocząć obrady... Zasiądźcie, bracia.

Spiskowcy zajęli miejsca na kamiennych ławach, które biegły w kilku równoległych rzędach półkołem, a frontem do posągu. Sam arcykapłan zasiadł na tronie wznoszącym się pośrodku wolnej przestrzeni, jaka dzieliła pierwszą ławę od ołtarza Baala.

– Niechaj wstanie Hazdrubal-łysy. Do niego pierwsze słowo należy.

Wezwany dźwignął się z ławy i zaczął przemawiać.

W krótkich, treściwych zdaniach zdawał sprawę z długiej podróży, jaką odbył po wszystkich wsiach kraju.

– Nie pominąłem żadnej osady w stepach, czy wśród winnic położonej. Przemierzyłem wzdłuż i wszerz całą puszcę, zaglądając do każdej chaty, czy to łowcy grubego zwierzaka, czy ptasznika, czy bartnika, czy zbieracza ziół lekarskich. Byłem w kopalni diamentów przy „Kotlinie Powolnej Śmierci”, w kamieniołomach i wszędzie. Potem, idąc wzdłuż brzegu morskiego, wzdłuż pasma urwistych gór, jakie naszą wyspę zewsząd otaczają, odwiedziłem wszystkie cztery osady rybackie... A zatem byłem, wszędzie i wszędzie słyszałem tylko jeden płacz, jedno narzekanie na nadmierne daniny, na gwałty rozpasanego żołdactwa, na niesprawiedliwe wyroki setników, którzy przywłaszczają sobie władzę sądom przynależną...

Mówca umilkł na chwilę, gdyż gdzieś, jakby spoza ściany, rozległ się stłumiony jęk.

- Czy mnie słuch myli? – spytał głośno.
- Jakiś jęk posłyszałem – wtrącił Sycheus-garbaty.
- Ja także.
- I ja...
- Co to być mogło?

Nadsluchiwali dobrą chwilę, lecz tajemniczy głos nie powtórzył się więcej. Więc Hazdrubal-łysy opowiadał w dalszym

ciągu o nadużyciach żołdaków królowej, o niezadowoleniu ludności, niezadowoleniu, które formy jawnego szemrania przybierać zaczyna. A kiedy doszedł do miejsca, jak z szczytu wysokiej skały patrzył w głąb straszliwej „Kotliny Powolnej Śmierci”, jak poznał sędziwego Hazdribala-starszego, bezrękiego Magona i wielu, wielu innych najzacieńszych obywateli, dzięki fałszywemu świadectwu zausznika Boabasa między rzeczywiście trędowatych zesłanych... głos mu się załamał i łza niemieńska w oku stanęła.

Zewsząd rozległy się głośnie okrzyki, które święte oburzenie z ust zaciśniętych wyrwało, a krewki Ulam zerwał się jak ranny tygrys i krzyknął na cały głos:

– Dopokąd tego będzie? Jak długo jeszcze będziem cierpieć rządy tej rozpustnej zbrodniarki? Przyzwól mi jeno, o najdostojniejszy, a tą dłonią przetnę nić jej podłego życia... Jeno przyzwól!

– Przyzwól mu, dostojny arcykapłanie. Przyzwól! – zabrzmiało kilka głosów.

Nastała chwila ciszy. Wszyscy oczekiwali odpowiedzi najwyższego dostojnika stanu kapłańskiego.

Lecz on milczał. Przymknął znużone wiekiem oczy, głowę zwiesił posępnie na piersi i milczał uparcie.

Gdzieś coś zaszemrało tak delikatnie, że chyba nikt nie dosłyszał. Gdyby wszystkie spojrzenia nie zawisły na ustach starca, gdyby choć jedne źrenice patrzyły na oblicze groźnego boga płomieni, zobaczyłyby, że wylupiate gałki oczne posągu drgnęły i na dwa palce w dół obsunęły się, ukazując wąskie szpary czarnych oczodołów.... Ale wszyscy czekali przecież odpowiedzi arcykapłana i ku niemu mieli skierowany wzrok.

– Nie przyzwalam – odparł wreszcie najdostojniejszy. –

Nie przystoi słudze Baala kalać rąk krwią ludzką, choćby ta krew należała nawet do takiej nierządnicy, jak Othe.

– Jak to! – zawołał zapalczywy Ulam. – Czyliż nie zabijamy ludzi, sprawując nasze święte ofiary?

– Nie zabijamy ich, młodzieńcze. Ich zabija ON! – tu suchy, drżący palec starca wskazał na posąg, którego wielkie oczy drgnęły w tym momencie po raz wtóry i zamarły w bezruchu.

Emnoch-ostrowidz, który taki przydomek otrzymał dzięki niezwyklej wprost bystrości wzroku, przetarł sobie kułakami zdumione oczy, lecz nie rzekł ni słowa.

Arcykapłan znowu zabrał głos:

– Teraz przemówi Sycheus-lekarsz. Doniósł mi, że ważne przynosi nowiny.

Wymieniony potakiwał głową, a otrzymawszy prawo głosu, zerwał się szybko z swej ławy.

– O najdostojniejszy i wy bracia, słuchajcie! Wargi mnie pieką, by wam zwiastować wieść, wieść radosną, jakiej żaden z was nie oczekiwał z pewnością... Wieść ta...

– Mówże już, bracie – przerwał mu niecierpliwy zawsze kapłan Ulam.

– Otóż posłuchajcie. Pewnego dnia przybył do mnie młody rybak z pismem od Syfafa.

– Od Syfafa?

– Od małżonka Othe?

– Tak jest...

– I cóż?... Żyje?... Trzyma się w zdrowiu? – padały pytania.

Arcykapłan wznosił rękę, a na ten znak uciszyło się od razu:

– Nie przerywajcie mu – powiedział spokojnie, lecz stanowczo.

– Więc – ciągnął Sycheus-lekarz – otrzymałem pismo Syfaxa, w którym on wzywa mnie, jako lekarza, bym natychmiast przybył do chorego.

– Więc zachorzał? – wyrwał się Ulam i umilkł natychmiast, wspomniawszy rozkaz arcykapłana.

– Syfax pisał jeszcze, że nie wzywa żadnego ze znachorów, bo to są sami truciciele i tylko we mnie wierzy po dawnemu. Zatem wybrałem się czym prędzej, dotarłem do „Zatoki Perel”, a potem idąc szczytami wzgórz, do chaty Syfaxa... I zdumiałem się bardzo, ujrawszy go w najlepszym zdrowiu, dźwigającego na plecach ogromne narzędzie polan, które własną ręką na ogień narąbał... „Chorym jest kto inny” rzekł, zgadując treść mych pytających spojrzeń... „Ktoś, na kim mi bardzo zależy, kogo muszę przy życiu utrzymać”. Skinąłem głową i poleciłem się zaprowadzić do chorego. Wówczas Syfax ujął mnie za rękę, „To niemożliwe. Ja ci dokładnie opiszę przebieg choroby, a ty dasz mi leki... Dobrze ci za to zapłacę. Znalazłem takie perły, jakich nie ma nawet w skarbcu mej niewiernej małżonki”.

Sycheus-lekarz odpoczął chwilkę i tak dalej ciągnął:

– Po długich sporach musiałem przystać. Syfax opowiedział mi, że ów człowiek był przed laty raniony pociskiem z grzmiących rur Olbrzymów. Kula przeszła mu przez piersi na wylot, a wpływ krwi spowodował wielkie wycieńczenie. „Znalazłem ją... go”... poprawił się szybko... Uważcie, bracia! Syfax w ciągu gorączkowej rozmowy pomylił się i powiedział najpierw „ją”, a potem się poprawił. Nie uszło też mego oka jego wielkie zmieszanie. Udawałem jednak, że się niczego nie domyślam, że nie zauważyłem jego omyłki. „Znalazłem go”, mówił Syfax dalej... „nad brzegiem morza, nieprzytomnego, bez ducha. Zaniósłem go do pobliskiego lasu”. Nie będę

wszystkiego opowiadał, bo trwałoby to nazbyt długo. Otóż, bracia, Syfax zaopiekował się gorliwie rannym, wyleczył go po długich miesiącach i zatrzymał w swej chacie, którą sam zbudował. Ale rana po straszliwym pocisku dawała znać o sobie. Ów człowiek chorzał, kiedy nadeszła pora deszczowa, kasłał, pluł krwią obficie i wychudł jak szczapa. Potem przyszło polepszenie. Chory jakby wyzdrowiał. Pomagał Syfaxowi w pracy, warzył strawę. Uważcie bracia: warzył strawę, co przecież do niewieścich zajęć należy.

– Mów krócej – przerwał arcykapłan – Wiele jeszcze spraw mamy do omówienia.

– Dobrze, o najdostojniejszy. Otóż przyrzekłem wtedy Syfaxowi, że przyrzadzę potrzebne zioła, lecz ciekawość mnie paliła ujrzeć tego chorego, czy też chorą, jak słusznie mniemałem. I kiedy noc nadeszła, a Syfax zmorzony usypiającym wywarem jaki mu podałem, zasnął jak zabity, zwlokłem się z posłania i zacząłem poszukiwania.

Wreszcie znalazłem drzwi od izby, która nie posiadała żadnego okna. Uchyliwszy je, posłyszałem niespokojny oddech śpiącego człowieka. W izbie tej płonąła lampka oliwna. W jej blaskach ujrzałem na tapczanie jakąś postać, a przybliżywszy się ostrożnie, ujrzałem twarz... I słuchajcie bracia.. To była twarz Sofonizby, córki kapłana Hannona.

– Co?!!! Czyśmy dobrze słyszeli?

– Moja siostra żyje?! – wrzasnął Ulam.

– Żyje Mścicielka?... Żyje?!

– A myśmy jej pomnik wystawili na Placu Dwustu Kolumn.

Władcza dłoń arcykapłana musiała znowu uciszać wrzawę.

Sycheus-lekarz kończył swą opowieść tymi słowy:

– Długi czas patrzyłem, nie wierząc oczom... Ale ja ci



przecież znał tę Sofo kruczowłosą od dziecka małego, znałem ją, kiedy z mężnymi powstańcami gotowała kres panowania wrogich najeźdźców... Patrzałem długo, jako rzekłem, a nazajutrz, udając, że nic nie wiem, spytałem Syfaksa, czy chory ma dość światła słonecznego tam gdzie leży i dosyć świeżego powietrza. „Czemu pytasz?” – zagadnął podejrzliwie... „Bo to najważniejsze lekarstwo dla takiego, co kasła i krew swą wypluwa”, odparłem. „Dobrze” rzucił krótko... Jeszcze dwa dni tam bawiłem, jeszcze dwa razy zachodziłem do izby, gdzie leżała ona. Wiedziałem, że się nie zbudzi, bo w pokarmach, jakie jej nosił Syfaks była dawka nasennego wywaru. Więc stwierdziłem naocznie i głową swoją ręczę, że Sofo Hannona żyje i ukrywa się w chacie Syfaksa! Najdostojniejszy, ja skończyłem...

Wargi paliły wszystkich, by zarzucić mówcę pytaniami, by roztrząsać szczegóły tak nieoczekiwanej nowiny, lecz wszczępiona karność nie pozwalała na zabranie głosu komukolwiek, zanim się sędziwy arcykapłan nie wypowie. Ów zaś milczał długo, ważył coś w myśli, aż wreszcie zaczął mówić, zwracając się do Sycheusa-lekarza:

– Chcę ci wierzyć, bracie... Chcę, zaiste. Ale budzą się w moim sercu wątpliwości... Bo uważ tylko: Tobiasz, lekarz, jedyny szlachetny człowiek z przeklętego szczepu Olbrzymów zeznał publicznie, że Sofo Hannona, ugodzona pociskiem z huczącej rury, zanurzyła się w nurty morskie i więcej nie wypłynęła. Razem z Tobiaszem był wówczas na szczytach gór nadbrzeżnych zięć jego, Henryk Olbrzym, małżonek Elizotowłosej. On także zeznał pod przysięgą, że Mścicielka zginęła. Ty, Sycheusie powiadasz, że według słów Syfaksa, fale wyrzuciły ciało rannego, a więc jej ciało, na brzeg morski. Przyjmijmy to za prawdę. Lecz jakoż jest możliwe, by człowiek

mógł przez 10 lat ukrywać swą obecność na wyspie i to człowiek tak powszechnie znany, taką miłością i szacunkiem otoczony, jak Mścicielka? To mi chciej wyjaśnić.

– Tak, tak. Najdostojniejszy dobrze mówi. Wyjaśnij to, Sycheusie – zabrzmiał zgodny chór kilku głosów.

Sycheus-lekarz znowu podniósł się z ławy:

– Wszelako to jest możliwe – odparł pewnym głosem. – Nad Zatoką Perel nikt dzisiaj nie mieszka, prócz Syfaksa. Do najbliższej osady rybackiej trzeba iść dobre pół dnia i trzeba iść żołnierskim krokiem. Droga wiodąca od wąwozu przy „Białej Bramie” do zewnętrznego pasma wzgórz tak zarosła bambusami, że nigdy bym nie był tam zaszedł, gdyby nie młody rybak, który był mi przewodnikiem. A przecież dawniej prowadziła tam szeroka droga, przecież dawniej zwożono tamtędy sterty olbrzymich drzew, z których Olbrzymy swą potężną nawę zbudowały... Więc jest to możliwe, że w ciągu długich lat dziesięciu nikt nie zajrzał nad Zatokę Perel i że obecność kobiety, ukrytej w chacie Syfaksa, mogła dla wszystkich pozostać tajemnicą... Aż dopiero...

Mówca umilkł, gdyż ponownie rozległ się bolesny jęk, tylko znacznie głośniejszy niż pierwszym razem...

– To stamtąd – odezwał się jeden z dwóch braci-rycerzy, stojących na warcie u wylotu korytarza, który łączył podziemną świątynię Baala z podziemiami olbrzymiego chramu Astoreth.

– Zbadać przyczynę – rzekł arcykapłan spokojnie.

– Czy mogę im towarzyszyć? – spytał Ulam.

Najdostojniejszy skinął głową przyzwalająco, wobec czego Ulam przyłączył się do małej ekspedycji. Trzech mężczyzn, uzbrojonych w miecze i pochodnie ruszyło w głąb mrocznego ganku.

Przewodniczący zebrania nie chciał tracić czasu.

– Zanim się zastanowimy – zaczął – jakie dla nas mogą wyniknąć korzyści z zmartwychwstania Mścicielki, chcę się dowiedzieć, czego możemy oczekiwać od góry ognia.

Na te słowa podniósł się z swego miejsca garbaty karzełek i zaczął mówić piskliwym, dziecinnym głosem:

– Pracuję niezmordowanie, o najdostojniejszy. Dziś dotarłem tak wysoko, że szarozielonkawę kłęby złego powietrza pełzały u moich stóp. Badałem lawę, jaką góra ognia dzisiaj wypływała, nawet dzisiejszego wieczora liczyłem drgania mego bębna, na który wysypałem ziarenka maku i... stwierdziłem, że góra ognia nie zaśnie przed upływem co najmniej dwóch albo trzech dni.

– To źle – mruknął arcykapłan, trąc kościstą dłonią czoło, na którym troski przeliczne bruzdy wyorały. – To niedobrze. Przedtem mówiłeś inaczej. Obliczałeś, że do jutra wieczora będzie koniec. Na jutro więc wyznaczyłem święto ofiary trzydziestu trzech chłopiąt. To co miało się na naszą korzyść obrócić, może się obrócić na niekorzyść. Lud zacznie sarkać, gdy po złożeniu ofiary góra ognia nie zamilknie natychmiast. Ludzie Othe nie omieszkają z tego bicza na nas ukręcić. Hm... hm... hm.

Sycheus-garbaty rozłożył ręce na znak, że jest zupełnie bezsilny wobec kaprysów wulkanu. Przygnębienie malowało się na obliczach wielu członków tajemnego zebrania.

Jedynie Hanno-młodszy perorował coś półgłosem, zwracając się do najbliższych sąsiadów.

– Hannonie... Masz jakąś myśl zdrową? – zagadnął arcykapłan, który pomimo zmartwienia, bacznie obserwował każdego z podwładnych.

– Mam, o najdostojniejszy... Skoro ofiary na inny dzień odwlec nie można, należy lud z góry uprzedzić, że pożądanego skutku ona nie odniesie. A nie odniesie dlatego, że bóg nasz

żąda znacznie większej ofiary, że to objawił ci, o najdostojniejszy w czasie dzisiejszej modlitwy.

– I cóż z tego? Tylko większe sarkanie wyniknie, jeśli zażądamy dalszych ofiar, jeżeli nowe rzesze chłopiąt wyrwiemy z objąć pomstujących matek.

– Ja nie mówiłem, że ofiary mają być liczniejsze, lecz większe.

– Jakże to?

– Mam na myśli synka Othe i Hamilkara, a właściwie Rasesa.

Zapanowała chwila ciszy tak bezwzględnej, że słyhać było syk pochodni i odległe kroki powracającego pędem Ulama. Emnoch-ostrowidz, zapatrzony wciąż w gałki oczne posągu, mógłby przysiąc, że słyszał leciuteńki szelest gdzieś wysoko, jakby w pobliżu głowy pozłacanego Baala.

– I ty sądzisz, że ona wydałaby nam syna na ofiarę?

Hanno uśmiechnął się chytrze:

– Albo by dała, albo nie, o najdostojniejszy – odparł. – Rozważmy jedno i drugie. Jeśli nie da, łatwo nam będzie nienawiść ludu podsycić do najwyższych granic. Jak to! Więcej inne matki straciły swoje dzieci, pierwszy wybuch góry ognia spowodował śmierć wielu mieszkańców, osiadłych wśród winnic, a Othe, królowa, która przykładem poświęcenia służyć ludowi powinna, nie chce bogu ofiarować swego bękartą?

– A co będzie jeśli da, lecz góra ognia grzmieć będzie w dalszym ciągu? Czy znów powiemy, że ofiar zbyt mało? A co będzie jeśli Othe nie wyda nam, synka, a góra ognia ucichnie sama od siebie? Nie, nie, Hannonie... Więcej szkody niż pożytku może z twej rady wyniknąć.

– Pozwól, o najdostojniejszy, że w całości mój plan wyłożę.

– Mów.

– Ja uważam, że należy nie tylko lud podburzyć w tym kierunku, by żądał synka królowej na ofiarę, ale należy również udać się do Othe i poradzić jej, by oszczędzając własne dziecko, inne nam w zamian wydała... Czy mnie rozumiecie? Chłopcy na ofiarę przeznaczeni zbliżają się do ołtarza z opaską na twarzy, według odwiecznego zwyczaju... Nikt tedy nie pozna, że podstawiony chłopiec jest synem królowej.

– I jaka z tego korzyść?

– Ta, że Othe będzie zdana na naszą łaskę. Niech tylko góra ognia nie zamilknie natychmiast, przyjdzie nieurodzaj, powódź czy inne klęski, zdradzimy tajemnicę... Wy tłumaczymy ludowi, że Othe oszukała boga, że Baal mści się za to na biednych mieszkańcach Tyru.

– To jest myśl przednia, tylko niezbyt jasno ją... – dalsze słowa arcykapłana przerwał okrzyk Ulama, który wpadł w tym momencie jak burza do świątyni i zaczął wołać głośno:

– O najdostojniejszy! Jesteśmy śledzeni. Szpieg Othe gdzieś się tutaj ukrywa.

– Co?... Jak?... Szpieg Othe?... Gdzie?... To niemożliwe!... – padały zmieszane okrzyki.

Arcykapłan nakazał ciszę...

– Mów za porządkiem – rzekł swoim zwyczajem.

– Jak wiecie – zaczął Ulam zdyszany głosem: – w gan-ku łączącym obie świątynie znajduje się zapadnia, aby nikt niewtajemniczony nie dotarł tutaj bezkarnie...

– Wiemy, wiemy.

– Otóż idąc z braćmi-rycerzami w kierunku skąd dobywały się jęki, dostrzegliśmy w świetle pochodni, że drewniana ręka umocowana na ścianie obok ruchomej podłogi, wskazuje palcami na dół.

- Co jest znakiem, że ktoś się złapał!...
- Tak... Podnieśliśmy tedy wieko i ujrzeliśmy jęczącą kobietę.
- Kobietę? Więc ta kobieta jest owym szpiegiem?
- Może to sama Othe? – wyrwał się ktoś z młodszych.
- Ależ nie... Kobietą, która się złapała, jest Atossa, córka Salmona-dziejopisa. Powiedziała mi, że szła krok w krok za człowiekiem, który wydał jej ojca. Człowiek ten jest szpiegiem Othe. Musi być wtajemniczony, gdyż jakimś sposobem przebył bezpiecznie zapadnię. Atossa idąc za nim w pewnej odległości, a nic o ruchomej podłodze nie wiedząc, runęła do wnętrza i zwichnęła sobie nogę... o, niosą ją właśnie. Zasłońcie oblicza.

Jakoż po chwili nadeszło dwóch braci-rycerzy. Pod ramiona prowadzili, a raczej nieśli młodą dziewczynę.

– Tu ją dawajcie – rozkazał najdosłojniejszy, zakrywając twarz czarną zasłoną.

Atossa spoglądała dokoła przerażonymi oczami. Widok kapłanów, którzy zdołali już przybrać swe oblicza w niesamowite domina z dziurami na oczy i usta, widok obnażonych mieczów w dłoniach braci-rycerzy, olbrzymi posąg Baala, spowity w dymach pochodni, ponury wygląd podziemnej świątyni, która raczej jaskinię niż święty chram przypominała, wszystko to napawało biedną dziewczynę takim lękiem, że nawet o dojmującym bólu w nodze zapomniała... Nie mogąc ustać, osunęła się i w pokornej postawie leżała u stóp tronu arcykapłana. Na żądanie opowiedziała szczegółowo, co ją skłoniło do skradania się w miejsca niedostępne dla zwykłych śmiertelników. Ze skruczą wyznała, że własna jej lekkomyślność spowodowała nieszczęście, jakie spotkało ukochanego rodzica.

– Kiedy Boabas wzbronił mi z nim widzenia, kiedy dowiedziałam się, że biedny mój ojciec ma być za kilka dni wywieziony do Kotliny Powolnej Śmierci, pojęłam, że pozostała mi tylko zemsta... – mówiła i w zalęknionych jej oczach zamigotały mściwe blaski. – Czekałam przed pałacem królowej, dopóki on nie wyjdzie... Czekałam długo, mimo głodu, pragnienia i upału, który mi bardzo dokuczył... Wreszcie... Zmierzch zaczął zapadać, kiedy on wysunął się z bocznej bramy. Wałęsał się przez chwilę tu i tam, aż wreszcie skierował swe kroki w stronę chramu Aszery, opiekunki miasta. Byłam mu cieniem. Szłam za nim nieustannie, a niełatwa to była sprawa. On jest bardzo ostrożny i nieufny. Na każdym narożniku przystaje, czeka, rozgląda się podejrzliwie.

Bardzo szczegółowo opisywała Atossa przebieg skradania się w mrocznej świątyni Astoreth, kiedy sylwetka szpiega zniknęła z oczu co chwila.

– On tu jest na pewno! – zawołała, kończąc swe opowiadanie. W głosie jej dźwięczała taka pewność, stanowczość, że arcykapłan polecił braciom-rycerzom przeszukać każdy zakątek niezbyt zresztą wielkiej świątyni. Co młodsi kapłani wyszli z ław i dopomagali w poszukiwaniach. Zagląдали w każdą niszę, w każde zagłębienie muru, za filary, za posąg Baalowy, pod ławy... zapuszczali się w oba korytarze, lecz na próżno. Poza wtajemniczonymi członkami zebrania i poza córą Salmonową nie było żadnego intruza w podziemiach.

Wśród ogólnego podniecenia jeden Emnoch-ostrowidz zachował spokój niezachwiany. Przesiadł się tylko bliżej nieco i niby to patrząc na arcykapłana, obserwował uważnie oblicze posągu, a kiedy po dłuższej chwili cierpliwego oczekiwania wybałuszone oczy Baala obsunęły, się na palec, skoczył jak zraniony tygrys i podbiegł do najdostojniejszego.

– Odkryłem kryjówkę szpiega – zasyczał. – Wskażę ją, lecz niechaj wpierw młodszy opuszczą świątynię.

– Gdzież on tkwi nareszcie – dziwił się arcykapłan, spoglądając dokoła i szukając wzrokiem skrytki, która mogłaby pomieścić człowieka, a zarazem nie należeć do rzędu tych wszystkich kryjówek, do jakich zaglądali bracia-rycerze... Nie... Takiej skrytki nie było... na pierwszy rzut oka.

– On siedzi we wnętrzu posągu – szepnął Emnoch cichutko.

Arcykapłan powstrzymał wysiłkiem woli okrzyk zdumienia i zgrozy. Teraz zrozumiał, dlaczego Emnoch domagał się usunięcia młodszych ze świątyni. Tylko garść najstarszych kapłanów wiedziała o tym, że posąg Baala jest wydrążony i wewnątrz mieści schowek, w którym kilku mężów może się ukryć wygodnie. Dzięki temu schowkowi, posąg mrugał oczami, poruszał potężną ręką, ba, nawet przemawiał w razie potrzeby, w czasie uroczystego obrzędu przyjmowania nowych członków w poczet uprzywilejowanego stanu kapłańskiego. Ale w jaki sposób mógł tę tajemnicę przeniknąć ktoś nie należący do szczupłego grona wybranych, w dodatku człowiek świecki, szpieg znenawidzonej Othe, tego sędziwy sługa Baala nie potrafił pojąć. Drżącymi wargami wydał rozkaz, by, za wyjątkiem Emnocha, obu Sycheusów oraz Hazdrubala-lysego, wszyscy inni udali się w głąb korytarza i by w pobliżu zapadni czekali na dalsze rozkazy. Kiedy wyszli i ścisnęło echo ich kroków, zszedł ze stopni swego tronu.

Ruszył szybko w stronę posągu, lecz Emnoch pochwycił go łagodnie za skraj szaty.

– Ostrożnie, o najdostojniejszy... – rzekł: – On może być uzbrojony w grzmiącą rurę lub może tam ich być kilku.



- Słusznie mówisz.
- Trzeba go odurzyć kadzidłem kapłanek Astoreth.
- Masz przy sobie?
- Ja nie, ale Sycheus-garbaty ma z pewnością. Prawda, Sycheusie?

Zagadnięty skinął głową. Spomiędzy fałd luźnej szaty do-  
był jakieś małe zawiniątko i podał je towarzyszowi. Razem  
podeszli do posągu. Arcykapłan obejrzał szczegółowo boczną  
część podstawy i po jakiejś chwili odnalazł płytkę, nie większą  
jak dłoń ludzka. Płytką tą dała się odciągnąć w tył, ukazując  
czarny, głęboki otwór.

– Posłuchajmy – rzekł, przykładając ucho do otworu. –  
Nie – dodał niebawem. – Nic nie słyszę. Tam nikogo nie ma,  
Emnochu. Musiało ci się przywidzieć.

– Więc spróbujmy kadzidła.

To rzekłszy nasypał na ruchomą blaszkę dużą szczyptę  
brunatnych kulek, a garbusek przysunął do nich przyniesioną  
pochodnię. Kuleczki zaczęły natychmiast skwierczeć, smażyć  
się, wydając z siebie obfite kłęby dymu, który przypominał  
trochę zapach spalonych konopi. Za pomocą sztyletu odciął  
Emnoch nieco łuczywa z pochodni i wsunął blaszkę, wraz z  
znajdującym się na niej maleńkim stosem, w głąb otworu.

Nadsluchiwali teraz podwójnie uważnie. Zrazu nic, cisza  
zupełna. Potem gdzieś, jakby za ścianą zakasłał ktoś raz, dru-  
gi, trzeci. Połączony kadłub posągu wydał metaliczny dźwięk.  
Coś się tam szamotało rozpaczliwie we wnętrzu bożka. Nagle  
stojący przed frontem posągu Sycheus-lekarz oraz Hazdrubał-  
łysy wydali głośny okrzyk zdumienia. Gałki oczne Baala ucie-  
kły w dół, a z pustych oczodołów trysnęły dwie strugi białego  
dymu. Potem jedna z nich się przerwała, jak nożem ucięta, w  
ocznym otworze pokazało się coś, niby czerwony strzęp mięsa,

jakby język i wypelzały stamtąd słowa zduszone, chrapliwe...

– Tchu! Duszę się! Tchu!

Jeszcze chwila wściekłego szamotania się, następnie głuchy łoskot staczającego się po schodkach ciała i cisza.

– Ma dosyć – zdecydował garbusek.

– Pozwól o najdostojniejszy, że otworzę drzwiczki.

– Otwieraj, Emnochu, lecz pamiętaj o kosach.

Kiedy po otwarciu doskonale zamaskowanego wieka wyciągnięto na zewnątrz bezwładne ciało szpiega, wszystkie głowy pochyliły się nad jego twarzą.

– Nie znam go – mruknął arcykapłan.

Emnoch-ostrowidz tarł sobie dłonią czoło.

– Ja sobie tę szpiczastą czaszkę skądś przypominam... – mówił jakby do siebie. – Gdzież ja go już widywałem? Zaraz... Zaraz.

– Czy nie należał on do sług kapłanek Astoreth? – dorzucił Hazdrubal-łysy.

– Prawda... Tak, tak. Słusznie mówisz, bracie. Tam go widywałem... ale to już bardzo dawno temu. Nie spamiętałbym zapewne przeciętnego oblicza, lecz tego „Gryzonia” nie sposób zapomnieć.

Rzeczywiście dolna część twarzy zemdlonego człowieka dziwnie przypominała wysunięty silnie ku przodowi, szpiczasty pyszczyk gryzonia.

– Zwiążcie go dobrze, a ty, Emnochu, przywołaj resztę oczekujących braci i córkę Salmonową – rozkazał arcykapłan.

Jakiś czas potem ocucony wodą więzień otworzył oczy. Zdziwionymi spojrzzeniami obrzucił liczne grono zamaskowanych postaci, szkarłatne togi złotymi szlakami obwiedzone, lawy kamienne, pylony, pochodnie, tron arcykapłana, a wreszcie olbrzymi posąg Baala. Tu wzrok jego zatrzymał się dłużej.

Czoło pokryło się licznymi zmarszczkami; snadź więzień usiłował sobie coś przypomnieć. Nagle w jego oczach odmalował się paniczny lęk, przerażenie, graniczące z obłędem. Zrozumiał... Zrozumiał wszystko, a przede wszystkim to, że żadna moc nie wyrwie go z mściwych szponów sług Baala. I rzecz dziwna: świadomość, że umrze, że zginie wśród wyszukanych, najokrutniej szych męczarni mniej jego umysł zaprzętała w tej chwili od poczucia bezsilności, od przeświadczenia, że tak ważnych nowin, jak wieść o odnalezieniu Mścicielki (dawno uważanej za zmarłą), jak wieść o spisku kapłanów na życie jedynego synka Othe... że tych ważnych nowin nie będzie mógł donieść królowej, że ciężko zapracowana kiesa złota przepadnie bezpowrotnie. Więc wyraz lęku ustąpił szybko miejsca śmiertelnej nienawiści i oczy związanego szpiega zaczęły gorączkowo szukać tej, która go wydała.

– Atosso wystąp – rzekł arcykapłan.

Spozza pleców mężczyzn, odzianych w szkarłatne togi, wysunęła się biała sylwetka niewieścia. Idąc, utykała silnie i dwóch braci-rycerzy podtrzymywało ją pod pachy. A kiedy zbliżyła się do stojącego w więzach jeńca, świeża jej twarzyczka skrzywiła się w tak ohydny grymasie, że wyglądała jak gęba starej wiedźmy.

– Poznajesz go, Atosso? – spytał najdostojniejszy.

– Poznają... Tak... Poznają tego psa! – rzuciła gwałtownie i mierząc wyciągniętym palcem w piersi szpiega, ciągnęła dalej głosem syczącym, stłumionym od hamowanej wściekłości: – On napadł mnie w ową noc księżycową w naszym ogrodzie i odurzył mnie deszczem gorących pocałunków... On, szepcząc mi co noc o swej wielkiej miłości usidlił mnie, głupią dziewczynę, opętał, omotał jak pajak swą

ofiara... On, kłamiąc, że chce poznać dzieła mego wielkiego rodzica, uprosił mnie, abym go wpuściła do naszego domu wczorajszej nocy... On, dla garści złota wykradł ojcowe papi-rusy i nieszczęsnego rodzica na śmierć między trędotowymi wydał... On szydził ze mnie, kiedy łkając od serdecznego bólu, wlokłam się za oddziałem żołdaków, aż do bramy pałacu... On zakradł się w te tutaj podziemia, aby was z kolei zgubić, kapłani... Po szatach poznaję, że do stanu kapłańskiego przyna-leżycie... Oto macie w rękach tego szpiega, łotra nad łotrami, psa, szakala, węża chytrego. Pomścijcie moją hańbę i śmierć mego rodzica, bo wiem, że z Kotliny Powolnej Śmierci nie ma powrotu. Więc pomścijcie... lub lepiej mnie zemstę pozostaw-cie. Już ja mu z nawiązką zapłacę!

Arcykapłan obserwował grę twarzy Atossy i wyczytał w niej wyrok nieubłaganej śmierci dla szpiega. A oczy „Gryzo-nia” miały nie mniejszą nienawiść. „Gdyby sztylety ich spoj-rzeń mogły ranić, oboje nie żyliby od dawna”, pomyślał, a głośno rzekł te słowa:

– Stanie się według twego życzenia, Atosso. Wiem, że nikt mu lepszej zemsty nie obmyśli, niż ty właśnie. Jego życie do ciebie należy, lecz jego kościec do nas... Bracia-rycerze! Wpuście żelazne haki z kółkami do ściany u wylotu tego korytarza. Tam mi łotra przywiązać... Tam jego szkielet bę-dzie sterczał przez wieki, na postrach innym śmiałkom. Ula-mie! Dobierz sobie dwóch ludzi i odprowadź tę biedną dziew-czynę do najwyższej kapłanki Astoreth. Powiedz, że ja ją przysyłam. To wystarczy. A my, bracia – dodał, zwracając się do reszty zebranych – będziemy nadal toczyć obrady.

– Jak to, o najdostojniejszy! – zdziwił się Hazdrubal-tysy.  
– Tu, przy nim? W obecności szpiega Othe mamy się nara-dzać?

– Właśnie w jego obecności! Niechaj zrozumie, że umarł dla świata, że nie uważamy go za coś więcej od martwego muru, skoro ważymy się mówić przy nim wszystko... Niech wie, że przestał istnieć. Niechaj zda sobie sprawę z tego, że jest obecnie tylko kupą mięsa i kości, a niebawem tylko kości zeń pozostaną... Bracia, mówcie głośno, żeby on każde słowo mógł usłyszeć. Przeświadczenie, iż zasłyszanych wieści nie będzie mógł sprzedać za złoto, będzie dlań męką najsrozszą...

Mądry arcykapłan umiał widocznie czytać w sercach ludzkich, bo jak najtrafniej osądził, co szpiega najbardziej zaboli.

I z rozkrzyżowanymi ramionami, przywiązany do kółek żelaznych, musiał wywiadowca królowej asystować naradzie kapłanów, musiał słuchać przemówień, chytrych wywodów, podstępnych planów, które wszystkie zmierzały do jednego celu... do jak najrychlejszego obalenia Othe, do zesłania jej oraz jej zauszników do przeklętej Kotliny Powolnej Śmierci... musiał słuchać i był najzupełniej bezsilny.

## Rozdział IV

### DZIWNE SNY

Hamilkar ziewnął od ucha do ucha i kułakami zaczął sobie przecierać zaspane oczy. Spojrzał dokoła ze zdumieniem. Znajdował się w jakiejś przestronnej sali, której sufit i górną część ścian zdobiły liczne malowidła. Poniżej zwisały aż do marmurowej posadzki bezcenne makaty. Sprzętów nie było tu żadnych, ani lamp oliwnych, ani trójnożnych pylonów. Poprzez gęstą tkaninę, zawieszoną ponad jednym oknem i spływającą aż do podłogi, wdzierały się skąpe smugi niepewnego,

wyszarzałego światła. Gdyby nie jasna struga blasków słonecznych, jakie wpadały przez szeroko otwarte drzwi z sąsiedniej izby, byłoby tutaj prawie ciemno.

Hamilkar dźwignął się na łokciu. Jego obnażone ramię otarło się o jedwabiste włosy lśniącego futra, jakie okrywało miękkie puchy pościelenia. To dotknięcie było miłe, przyjemne i skłoniło oczy do skierowania swych spojrzeń w tę stronę. I zdziwiony wzrok naliczył pięć podłużnych, czerwonych pręg, ciągnących się od potężnego węzła mięśni na ramieniu, poprzez kolano łokcia, aż do przegubu dłoni.

– Ostre miała pazurki – mruknął z uśmiechem i nagle stwierdził z beźmiernym zdumieniem: – Więc to jednak nie był żaden sen! Więc ja rzeczywiście tej nocy... Nie!... To przecież niemożliwe.

Usiadł na pościeli i natężając umysł, zaczął sobie przypominać w chronologicznym porządku przebieg zdarzeń ostatniej nocy, co do których nie posiadał absolutnej pewności, czy miały miejsce rzeczywiście, czy były tylko wytworem wyobraźni, która w czasie snu nie zna żadnych granic pomiędzy wypadkami codziennego życia, a tym, co nazywamy niemożliwością.

Więc najpierw dzień wczorajszy, pierwszy dzień pobytu w pałacu królewskim. Z polecenia mrukliwego Shirama otrzymał młody żołnierz błyszczącą i wspaniałą zbroję gwardzisty. Potem dostał się w ręce suchego, gderliwego oficera, który przez pół dnia trąbił mu w uszy jak należy przemawiać do najmiłościwszej królowej, jak do najdostojniejszego Boabasa, lub Raesa, a jak znów do dostojnego Shirama czy innych oficerów, jakie przed kim należy składać ukłony, co mówić, a czego nie mówić, jak stać, siadać, jeść; słowem wpał w niezbyt

cierpliwego ucznia pierwsze zasady etykiety dworskiej.

Po południu wzięły młodzieńca w obroty trzy pary służących. Kiedy wyszedł z basenu pełnego ciepłej, pachnącej wody, zaniesiono go na marmurowy stół, okryty pękiem futer i rozpoczął się masaż. Potem zajęły się nim trzy służebne niewiasty. Dwie przykłękły na małych poduszkach, rozkładając przed sobą zgrabne pudełeczka, pełne jakichś flakoników, błyszczących nożyków, farb i pachnidła. A kiedy owe dwie zajęte były przycinaniem, powlekaniem różowym lakierem i polerowaniem jego paznokci, trzecia trefiła jego twarde włosy w jakieś misterne pukle.

Osobny etap stanowiło dobieranie odpowiednich sandałów, z pięknymi klamrami, oraz miękkich, jedwabistych szat, jakie należało ubrać pod paradną zbroję.

Kiedy wyświeżony, ubrany wspaniale, uczesany, zaróżowiony od silnego masażu spojrział w przyniesione przez służbę metalowe zwierciadło, cofnął się zdumiony i po dłuższej chwili dopiero zdołał powiedzieć:

– Jak to?... Więc to ja jestem? Ja, Hamilkar?

– Ty jesteś, zaiste – rzekł wzgardliwie Shiram, który wszedł do sali, nie wiedząc kiedy. Zmierzył od stóp do głowy zmieszanego gwardzistę, a zwracając się do służebnych niewiast, dodał głośno: – Nielada z was mistrzyni, żeście z tego kołkowatego drągała tak foremną lalę zrobiły.

Słowa te ubodły niezmiernie młodzieńca i w żaden sposób nie mógł pojąć, dlaczego dowódca pałacowej gwardii okazuje mu jawną niechęć na każdym kroku.

Pod wieczór wezwano go przed oblicze monarchini. Poszedł z bijącym sercem, powtarzając w pamięci wyuczone zasady ceremoniału dworskiego. Nie stawał już „na baczność”

według musztry Hansa Olbrzyma, nie mówił: „pani królowo”, nie popełnił żadnej z wczorajszych niezgrabności, ale czuł się onieśmielony, niepewny w swej nowej skórze. Lecz Othe była dlań nader łaskawą. Lustrowała go uważnymi spojrzeniami i wzrok jej wyrażał coraz to większe zadowolenie, a nawet zachwyty. Swoim zwyczajem zarzuciła go gradem pytań, aż wreszcie, przechodząc w ton żartobliwy, pogroziła mu swym długim, cienkim paluszkiem.

– Bałamut z ciebie, mości gwardzisto – rzekła, przechylając figlarnie główkę, uginającą się niemal pod ciężkim brzemieniem ognistych włosów. – Zaledwie dzień jesteś w pałacu, a już rozkochałeś w sobie najpiękniejszą z moich dam dworskich. Wyznała mi to w sekrecie.

Hamilkar zrobił minę dość głupią. Nie rozumiał stanowczo o co chodzi.

– Teraz udajesz świętoszka – ciągnęła Othe – tacyście wszyscy. No, no. Nie gniewam się wcale, przeciwnie, pochwalam. Miłość to największy skarb w tym nędznym życiu, młodzińcze. Więc skoro podobacie się sobie wzajemnie, to kochajcie się póki tchu w piersiach.,

– Najmiłościwsza królowo – przerwał śmiało. – Ja naprawdę nie wiem nic o żadnej damie. Prócz służebnych, nie widziałem żadnej niewiasty, a choćbym widział... to...

– To co?...

– Tobym jej nie pokochał.

– Dlaczego? Czy twe serce już wybrało jakąś dziewczynę? Mów bez obawy. Królowa rada słucha zwierzeń swych wiernych obrońców.

– Nie mam swojej dziewczyny, najmiłościwsza królowo i nie chcę żadnej damy dworskiej.

Błysk żywego zainteresowania zamigotał w oczach królowej.



– Jakże to? – spytała po chwili. – Czyżby twoje serce było nieczułe na wdzięki urodziwych niewiast? Czy twoje serce nie potrafi nikogo ukochać? W tak młodym wieku? Nie! W to nie uwierzę.

Hamilkar zarumienił się jak piwonia. Pochylił nieco głowę i w tej pozycji stał długo, zmieszany do ostatnich granic. Nie posłyszał nawet, jak, ani kiedy królowa zstąpiła z swego tronu i podeszła doń blisko. Drgnął dopiero wtedy, gdy posłyszał jej cichy szept.

– Ty kochasz kogoś. Czytam to w twoich oczach, Milkarze.

Nie śmiał podnieść powiek. Wierzył święcie, że ona czyta w jego źrenicach, że w takim razie wie kogo on kocha miłością przeogromną, miłością, którą hodował od dawna w swym sercu.

Uczuł na swej dłoni dotknięcie jej atlasowych palców. Posłyszał znowu szept... rozkaz rzucony szeptem:

– Kogo miłujesz? Powiedz! Królowa ci nakazuje!

Kolana się pod nim ugięły. Zrozumiał, że jeszcze jedno, dwa, trzy przyspieszone tchnienia płuc i runie jak długi do stóp Othe, przytuli głowę do jej smukłych nóg i zawoła na całe gardło: – Ciebie jedyną miłuję! O tobie śniłem, będąc chłopcem jeszcze. O tobie marzyłem, trzymając wartę na murach Tyru i tęskne spojrzenia słałem ku wyniosłym basztom twego pałacu. – Lecz równocześnie uświadomił sobie, że za te słowa zuchwałę trzeba by nałożyć głowę. Myśl o śmierci nie przerażała go bynajmniej, ale straszliwym lękiem napawała go myśl inna... że nigdy by już nie zobaczył królowej. Więc opanował wzruszenie i, siłąc się na jak najchytrzejszą odpowiedź, rzekł krótko:

– Pragnę tylko służyć mej królowej... Innych uczuć nie masz w moim sercu.

Othe zmarszczyła brwi lekko.

– Bardzo to pięknie, mój młody żołnierzu – odparła. – Gdyby jednak owa dama, o której mówiłam, chciała ci coś powiedzieć... lub... gdyby nawet od ciebie czegoś żądała, pamiętaj, że obowiązkiem rycerza jest być wobec niewiast grzecznym i układowym. Takie zwyczaje u mnie panują na dworze. Shiram powinien cię być tego nauczyć. Tylko w jednym wypadku wolno ci być nieposłusznym tak wobec pięknych kobiet, jak i wobec swych zwierzchników. Czy wiesz kiedy?

– Wiem, o najmiłociwsza królowo. Nauczono mnie tego.

– Więc powiedz...

– Gdyby wydany rozkaz mógł przynieść jakąkolwiek szkodę osobie panującego – wyrecytował jednym tchem wyuczoną formułkę.

– Pamiętaj więc o tym i wracaj teraz do wartowni – rzekła, odpowiadając grzecznym skłonem głowy na jego pożegnalne ukłony.

...Rozpamiętujący swe przeżycia gwardzista przeciągnął się leniwie i mruknął półgłosem:

– To wszystko działo się na jawie, lecz reszta... sen... Sen, na pewno.

Dźwignął się z posłania i ruszył ku otwartym drzwiom, skąd brał swój początek wielki prostokąt słonecznego światła. Stał na progu. I znowu bezmierne zdziwienie odmalowało się w jego siwych oczach.

– Ja tu przecież byłem – wyszeptał... Nagle zbladł jak ściana. – O bogini! – jęknął. – Miałem trzymać wartę przy kracie, a ja tutaj zasnęłam. Gdzie moja zbroja? Gdzie mój miecz? Gdzie sztylet, sandały?!v

Błędnymi spojrzeniami obrzucał obie, sąsiadujące z sobą sale. Spozza futra okrywającego posłanie, coś zabłysło... To

pancerz... W trzech susach przebył Hamilkar całą szerokość izby. Pospiesznie, drżącymi rękoma zaczął przywdziewać zbroję, przypasał miecz, ubrał hełm na głowę... odetchnął. Aha!... Jeszcze sandały... Jeden jest, lecz drugi?

Najdokładniejsze poszukiwania nie dały żadnych rezultatów. Drugi sandał przepadł, znikł bez śladu. Obie sale nie posiadały prawie żadnych sprzętów, więc nie było schowków, kryjówek, a szukanie nie nastęczało trudności.

– Chyba, że ona mi go zabrała... figlarka – przypuszczał Hamilkar, niepokojąc się na myśl, że lada chwila może nadejść Shiram lub inny oficer. Co powiedzieć wtedy? Jak usprawiedliwić zgubę? Przecież to najlepszy dowód, że zasnął, że do sali wszedł ktoś nieproszony i biednemu żołnierzowi spletał przykrego figla.

– To darmo... Żadnego wykrętu nie znajdę – stwierdził w końcu. Przeciągając się, wessał w płuca ogromny haust powietrza i poczuł, że jest ono przesycone jakąś wonią ciężką, odurzająco upojną. To odświeżyło wspomnienia zdarzeń, co do których nie miał pewności czy snem były, czy jawą...

– Tam stałem, kiedy po drugiej stronie kraty odemknęły się drzwiczki w ścianie – szeptał.

Przyległą salę dzieliło na dwie połowy ogrodzenie, z posrebrzanych prętów zrobione. Sztachety sięgały od podłogi aż do powały, a rozstawione były w odstępach tak wąskich, że przez nie mógł Hamilkar wsunąć ramię zaledwie do łokcia i to z wielką biedą. W środku ogrodzenia znajdowały się drzwi również z sztachet, a tak doskonale zamaskowane, że nikt by ich nie zauważył na pierwszy rzut oka.

– Oto klucz od tego przejścia – rzekł Shiram, wręczając mały kawałek dziwacznie wyciętego żelaza zdziwionemu

Hamilkarowi. – Tu będziesz trzymał straż, póki rankiem nie przyjdę po ciebie. Nie wpuścisz w nocy nikogo, choćby to był najdosjniejszy Boabas lub Raes, choćby to ja nawet był, twój zwierzchnik. Pamiętaj, że tędy wiedzie droga do komnat najmiłościwszej królowej, a ty będziesz czuwał nad bezpieczeństwem jej osoby. Pojąłeś?

Po odejściu dowódcy zaczął się młodzieniec rozglądać w sytuacji. Z ciekawości zajrzał do drugiej sali, której mroki rozjaśniała jedna tylko lampka oliwna. Zauważył posłanie futrem pokryte, zauważył jedyne okno ciężką tkaniną zasłonięte, lecz nigdzie nie dostrzegł śladu drzwi lub jakiegoś przejścia. „Którędy więc wiedzie droga do jej komnat?” – myślał. Powrócił do drugiej izby i wsparłszy się o kratę, zaczął dumać o niej, o pięknej władczyni, którą kochał od wielu lat, pomimo potwornych wieści, jakie o niej krążyły wśród ludu.

Tak upłynęło wiele, wiele czasu. Młodzieńcowi oczy się do snu kleiły i w tej niewygodnej pozycji zdrzemnął się wreszcie. Ale sen jego był bardzo czujny. Ocknął się natychmiast, gdy przy przeciwległej ścianie zaszeleściło coś delikatnie. Odwrócił się na pięcie i z trudem powstrzymał lekki okrzyk zdziwienia. Po drugiej stronie ogrodzenia stała kobieta, przybrana w strój tak wspaniały, jakiego jeszcze nigdy nie widział. Jej płaszcz purpurowy zdawał się płonąć milionem iskier od gęsto naszytych kamieni, jej sandały oraz złotymi nitkami dziergane wstążki, które kostki nóg gęstymi splotami obejmowały, migotały w niespokojnych blaskach pochodni, a środkowy brylant bezcennego diademu błyszczał tak oślepiająco, że Hamilkar oczy przymrużył. „Ciekawym, czy równie piękna, jak wystrojona”, pomyślał, gdyż nieznaną miała włosy upięte pod wspaniałym turbanem, z którego spływała aż na brodę bardzo gęsta woalka...

Błyszcząca zjawa podeszła lekkim, bezszelestnym krokiem do kraty. Spod zasłony wypełzły słowa rzucone stłumionym, jakby lęklwym szeptem: – Przyszłam do ciebie, Milkarze. Dziwisz się? Czy królowa nic o mnie nie mówiła? Czy nie powiedziała ci, żeś mi zabrał serce, że żyć bez twego widoku nie mogę?

Hamilkar palnął się dłonią w czoło... Przypomnił sobie ostatnią rozmowę z królową i jej polecenie, że winien być grzecznym wobec niewiast, należących do dworu.

- Najmiłościwsza królowa mówiła mi o tobie – odparł,
- I mógłbyś mnie także pokochać?

Już miał na języku stanowcze „nie”, lecz wspomniął nauki wpajane mu przez gderliwego oficera i słowa władczyni. Uśmiechnął się więc uprzejmie i rzekł filuternie:

- Możliwe, że tak... ale nie znam cię przecież.
- Rozumiem... Sądzisz, iż jestem brzydka lub stara...

Więc patrz!

Cofnęła się o dwa kroki wstecz, szarpnęła łańcuszek, spinający poły kosztownego płaszcza na piersiach. Lśniące okrycie spłynęło miękko na ziemię, spowijając smukłe nogi szkarłatną draperią i czarowny cud nagiego ciała wykwitł przed oczyma zdumionego gwardzisty. Kobieta nie miała pod płaszczem zwykłej szaty spodniej.

– Czy jestem piękna? – spytała, uwalniając stopy z łagodnej niewoli zsuniętego płaszcza. Przegięła się ruchem wężowym i postąpiła bliżej ku kracie. Podniosła prawą rękę zdobną w liczne bransolety, manele, pierścienie. Trzymała w niej jabłko, przekrajane na dwie połowy uprzednio.

– Podzielimy się – rzuciła tym samym szeptem, jakim wciąż mówiła. Hamilkar przyjął ofiarowaną sobie połówkę i zjadł ją z apetytem, choć jabłko było podejrzenie słodkie.

Jedząc, podziwiał wspaniałe przybranie dłoni nieznanym kobiecie. Na wierzchniej stronie obu dłoni spoczywały wielkie różycy z brylantów, przypięte szczerozłotymi sznureczkami do czterech grubych pierścieni na palcach, a po drugiej stronie, do dolnej krawędzi szerokiej bransolety obejmującej przegub ręki.

– Pocałuj – rzekła, podsuwając palce ku jego wargom. Wciągał w nozdrza z lubością oszałamiający zapach atlasowej skóry i uczył nagle przyspieszony rytm serca.

Bliskość obnażonego ciała rozpałała mu krew. A kiedy tak przyciągał ku sobie między dwoma sztachetami wąską rękę ponętnej kusicielki, kiedy drżącymi ustami muskał ją coraz wyżej i wyżej, ujrzał nieco poniżej łokcia elipsowatą plamę, miejscami siną, miejscami fioletową, jakby ślad ukąszenia.

– A któż cię tak naznaczył? – spytał.

Kobieta cofnęła dłoń pospiesznie.

– Mój mąż – odparła... – Jest o mnie bardzo zazdrosny... Dlatego właśnie nie odsłaniam twarzy, byś nie wiedział czyją jestem małżonką.

– A gdybym cię poprosił? Przecież nie mogę kochać kobiety, której nie znam wcale... No, odrzuć zasłonę.

– Uczynię to, pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Że mnie wpuścisz na drugą stronę... Słuchaj! – mówiła szybko, widząc, że wstrząsa głową przecząco. – Chcę się do ciebie przytulić, chcę ci opowiedzieć, o mej smutnej doli, o złym mężu, który mnie dręczy swą podejrzliwością. Milkarze! Otwórz drzwiczki... Shiram dał ci kluczyk... Ja wiem o tym. Wiem wszystko.

– Wiesz wszystko? Temu nie wierzę.

– Wiem na przykład, że ty kochasz... Othe.

Hamilkar osłupiał i zdrętwiał równocześnie z przerażenia. Z całej siły wsparł się o żelazne sztachety, niezdolny słowa przemówić. Skąd ta nieznajoma kobieta znała jego myśli najskrytsze? I kim była właściwie? Zapewne jest żoną któregoś z najwyższych dostojników, sądząc z drogocennego ubioru i z swobody, z jaką zachowywała się w królewskim pałacu, tuż pod bokiem monarchini.

– Więc wpuścisz mnie, Milkarze?

Uczuł na twarzy oddech gorący. Podniósłszy oczy, spostrzegł, że znowu podeszła do kraty, że dłonią podtrzymuje uniesioną do wysokości nosa zasłonę i ukarminowane usteczka jak do pocałunku wysuwa. Czuł, że ogarnia go jakaś ociężałość, błogi bezwład, lenistwo... że woła kruszeje, słabnie coraz więcej. Pochylił się naprzód, gorącymi wargami dotknął purpurowych usteczek i kiedy jedno z ramion otoczyło mu szyję, poddał się bez oporu tym słodkim więzom. Oszołomiony wieki zda się trwającym pocałunkiem, nie zauważył, że tymczasem i druga ręka prześlizgnęła się poprzez sztachety, że niecierpliwe palce manipulują coś koło jego pasa, że czegoś szukają gorączkowo.

– Mam! – Zawołała prawie na głos, odskakując daleko od kraty.

W podniesionej wysoko dłoni zabłysnął ów misternie wycięty klucz od furtki w żelaznym ogrodzeniu. Hamilkar oprzytomniał od razu.

– Oddaj! – zasyczał. – Czy chcesz mnie zgubić?

– Dzieciaku! Ja ciebie zgubić? Ja ci chcę dać poznać rozkosz mych uścisków... Idę do ciebie, Milkarze.

Z fałdów leżącego na ziemi płaszcza dobyła garść jakiegoś proszku. Biegając od jednego pylonu do drugiego, rzucała w ogień małą szczyptę tajemniczego piasku. Migotliwie płomienie skurczyły się natychmiast, stały się bardzo czerwone,

podobne krwawym jęzorom, potem zmalowały jeszcze bardziej i zgasły. W izbie przedzielonej kratą na dwie połowy zapanowały mroki nocy bezksiężycowej, pochmurnej. Z rozgrzanych mis pylonów snuły się obłoczki dymów pachnących odurzająco...

Macając ścianę dłonią posuwał się Hamilkar dość szybko w kierunku otwartych drzwi przyległej sali. Tam tliła się przecież lampka oliwna. Widział ją przedtem i postanowił ją teraz przynieść co prędzej, by jako tako ciemności rozjaśnić i nie dopuścić, aby urocza kusicielka pod osłoną mroków wtargnęła przez bramkę ogrodzenia.

– Zgasła – mruknął zawiedziony, stanąwszy na progu. Lampka oliwna zgasła nie wiedzieć kiedy i obie sale tonęły w jednakowych ciemnościach.

Nagle posłyszał metaliczny szczęk zatrzaśniętych żelaznych drzwiczek. Rzucił się na oślep w tamtą stronę, chcąc wyłom własnym ciałem zasłonić. Za późno! Ciepłe dotknięcie dłoni kobiecej musnęło mu twarz w przelocie, a chwileczkę później zaperlił się srebrzysty śmiech w drugiej izbie.

– Przedostałam się, ha, ha, ha, ha. Szukaj mnie, Milkarze.

Ogarnął go nagły gniew. Przecież lekkomyślne żarty kobietki mogły go narazić na srogie kary. Shiram wymieniał mu z wieczora całą litanię kar, jakie czekają wartownika, któryby się ośmielił wpuścić kogoś przez „srebrną kratę”, jak nazywano w pałacu izbę, w której straż trzymał tej nocy.

Rozstawiwszy więc ręce szeroko, brnął poprzez ciemności, łowiąc chciwie uchem delikatny szelest stąpnąć uciekającej przed nim kobiety. Już, już jej dotykał palcami, lecz za każdym razem wyślizgnęła mu się zręcznie i zabawa w chowanego, a raczej w ślepą babkę zaczynała się od nowa. Jego oczy przyzwyczyły się z wolna do mroków. Jasne ściany zdradzały



obecność ciemnej plamy niespokojnej sylwetki. Dojrzał ją wreszcie, lub domyślił się, że przykucnęła w rogu drugiej izby, w pobliżu posłania.

Czaił się ostrożnie, wytrwale, aż podszedłszy na kilka kroków, rzucił się naprzód z impetem. Równocześnie i ona skoczyła przed siebie. Zderzyli się z całej siły i upadli razem na futro, okrywające stertę puszystych poduszek.

– Oddaj klucz, psotnico! – mruczał młodzieniec, szamocząc się z schwytaną niewiastą. Jej usta parzyły mu twarz deszczem częstych pocałunków, jej zwinne ręce manipulowały coś pracowicie przy sprzączkach spinających blachy jego pancerza, przy pasie, nagolennikach i hełmie. Kiedy siłując się z nią, przewrócił się na bok, hełm spadł mu z głowy, a odpięty nagolennik, wyrzucony zamachem nogi w powietrze runął z łoskotem na posadzkę.

Po chwili uczuł, że rozluźnione rzemienie nie podtrzymują już pancerza. Pojął wreszcie, iż kiedy on szuka daremnie upragnionego klucza, figlarna kusicielka rozbroiła go całkowicie, pozostawiając na nim tylko spodnią szatę... „Wyniosę chyba tę rozpasaną diabolicę – pomyślał z rozpaczą – potem drzwi zatrzasnę i będę przy nich czuwał do świtu”.

Lecz łatwiej to było pomyśleć, niż wykonać. Kobieta była gibka jak wąż. Ilekroć ją w górę usiłował dźwignąć, rzucała się na posłanie całym ciężarem, a trzymając młodzieńca mocno za szyję, pociągała go za sobą. W trakcie tej walki jego szata, jaką dziś otrzymał, przedarła się na dwie połowy. Dwa obnażone ciała zwarły się z sobą w tych żartobliwych zapaśach, zespoliły się w jedno.

Przez szeroko otwarte drzwi wtargnęła z sąsiedniej sali odurzająca woń, odbierając młodemu żołnierzowi resztki woli, resztki świadomości, gdzie się znajduje, w jakim celu szamoce

się z tą kobietą. Jego ręce zapomniały o przeklętym kluczu, gdy wyczuły żywy cud jej posągowych kształtów. Zdawało mu się, że z szaloną szybkością spada w jakąś przepaść, lecz nie czuł najmniejszej obawy. Przeciwnie!... Czuł rozkosz tak wielką, że radosny jęk wyrwał mu się z zaciśniętych ust...

A czas płynął...

Znużony pieszczotami, odpoczywał Hamilkar na puszystym futrze, trzymając w rękach rozgrzaną dłoń swej towarzyski. Wiedział, że turban zsunął się jej z głowy, a z nim także zasłona, która twarz przedtem okrywała. Lecz na próżno usiłował przebić wzrokiem ciemności i przyjrzeć się rysom tajemniczej wielbicielki. Nadaremnie przybliżał swą twarz do jej główki. Nie zobaczył nic. Dotykiem stwierdził tylko, że nie ma żadnych zmarszczek, że więc nie musi być stara, ale czy jest piękna? Pokąsała mu wargi do krwi, oplatała go ramionami tak mocno, że tchu mu zaczynało brakować, była nienasycona i spragniona miłości, kiedy on z sił niemal opadał, Jęcz czy brzydka kobieta nie może mieć krwi gorącej? Ciało jej pachniało oszałamiającym bukietem wyszukanych woni, ale czy pierwsza lepsza niewiasta nie może się namaścić pachnidłami?... Jeśli nie jest odrażająco szpetna, to czemu przedtem oblicze kryła pod osłoną, czemu potem zgasła wszystkie światła, przypuszczając słusznie, że w czasie szamotania turban spadnie jej z głowy lub że ciekawy kochanek sam zerwie zasłonę?

Takie i tym podobne myśli pochłonęły całkowicie uwagę młodzieńca, pozwalając mu zapomnieć o zaniedbanych obowiązkach, o samowolnie opuszczonym posterunku przy „srebrnej kracie” i o skutkach, jakie stąd mogły wyniknąć. Piąte przez dziesiąte słuchał szeptu podstępnej kusicielki, która przysunęła usta do jego ucha i mówiła właśnie:

– Podobasz mi się z każdą chwilą więcej. Kocham cię, Milkarze i pragnę być kochaną wzajemnie... Będę należała do ciebie.

– Przecież masz męża, jak sama mówiłaś – przerwał.

– Skłamałam... Jestem wolna zupełnie.

– Więc kto cię ugryzł w rękę? Kto był owym zazdrośnikiem?

– Człowiek, który mnie chciał zdobyć, lecz odepchnęłam go...

– Wymień mi jego imię.

Nastała chwila milczenia. Kobieta zastanawiała się widocznie nad odpowiedzią.

– Czy przysięgasz, że zachowasz tajemnicę?

– Przysięgam.

– Tym człowiekiem jest... Shiram.

– On?

– Tak... Wiem, że jesteś jego podwładnym. Tym bardziej musisz pamiętać o złożonej przysiędze... On jest straszny.

– Nie lękam się go wcale. Boję się tylko jednej osoby...

– Wiem... Othe... Ty ją kochasz!

– Milcz zuchwała! – rzekł gwałtownie.

– Tymi słowy potwierdziłeś moje podejrzenia – rzekła cichuteńko, potem zaczęła opowiadać o swej wielkiej miłości, o tym, że uzyska dlań rangę setnika, że go obsypie wspaniałymi podarkami, że postara się, aby mu przydzielono jeden z nowo zbudowanych pałaców, rzesze służby, konie, pojazdy i rozległe majątności ziemskie. – Wszystko dla ciebie uczynić mogę – dodała. – Wszystko, czego zapragniesz.

– Wszystko? – podchwycił skwapliwie.

– Powiedziałaś przecież... Wymień cokolwiek.

Namyślał się przez chwilę. Żywił obawę, że to, co powie,

obrazi ją, wbije jej w serce cierń zazdrości, a co najgorsze, będzie najlepszym dowodem, że jej dziwne trafne podejrzenia są najzupełniej uzasadnione. Więc wahał się czas dłuższy. Lecz z drugiej strony szalona tęsknota za tamtą doszła do zenitu napięcia. Uległ tej nieznannej kobiecie, to prawda, ale leżąc w jej ramionach myślał wyłącznie o tamtej. Jej postawa, jej kocie ruchy, węzowe ramiona, długie szpiczaste palce, a przede wszystkim jej szept, tak bardzo do głosu królowej podobny, przypominał mu ustawicznie Othe. Więc marzył o niej kiedy całował te obce sobie usta, kiedy pieścił tę twarz nieznaną, może ładną, a może szpetną odrażająco.

– Powiadasz tedy, że wszystko możesz? – zapytał raz jeszcze, głosem bardzo nieśmiałym.

Wzruszyła ramionami niecierpliwie.

– A czy mogłabyś... mnie zaprowadzić do... – znów urwał.

– Do?

– Do komnat królowej – wyrzucił jednym tchem i umilkł, oczekując spodziewanego wybuchu. Lecz zawiódł się przyjemnie. Nieznajoma powstała z futra i rzekła głosem zupełnie spokojnym, głosem, w którym nie wibrował ani cień zazdrości:

– Żeby cię przekonać, iż wszystko mogę, spełnię twe życzenie. Zaczekaj na mnie chwilkę.

Podniosła leżący na ziemi turban i znikła w mrokach... Hamilkar zastanawiał się właśnie, czy nie byłoby lepiej skorzystać z tego czasu i nie przywdziać porzuconej zbroi, kiedy posłyszał szumnięcie zasuw, gdzieś w pobliżu przeciwległej ściany. Do mrocznej izby wpadł jasny prostokąt czerwonego światła, a w jego blaskach ukazała się powracająca kobieta.

– Pójdź za mną i sprawuj się jak najciszej – rzekła krótko.

Zaciekawiony gwardzista powstał natychmiast. Podawszy rękę szedł w milczeniu za swą tajemniczą przewodniczką przez długi labirynt sal, salek, komnat, w piękne kobierce, makaty, wazy i malowidła wyposażonych. Przez szerokie okna wdzierał się tu wszędzie krwawy odbłask łuny, wiszącej nad wulkanem i ponad miastem.

Tak doszli do wielkiej sali, której środek zajmował ogromny basen, głęboko wpuszczony w posadzkę. Zielonkawa woda falowała lekko, dzięki wodotryskom szemrzącym swą monotonna piosenkę. Duża ampla, barwy żywych szmaragdów, rzucała na wodę łagodne refleksy światła.

– Tu Othe kąpie się co wieczór – szepnęła przewodniczka.

Okrzyżyli na palcach malachitowy basen i przystanęli za marmurową kolumną, tuż przed progiem sąsiedniej komnaty... Była to sala przepiękna. Wzorzyste makaty wisiały na ścianach, wyłożonych kosztownym drewnem, puszyste kobierce zakrywały każdy cal marmurowej posadzki, wielkie malowidło przedstawiające historyczną scenę z przeszłości wielkiej Kartaginy, zajmowało niemal prawie cały sufit, a na złotych sznurkach i łańcuszkach spływały stamtąd drogocenne lampy oraz kadzielnice... Lecz wzrok Hamilkara przykuło od razu wielkie, hebanowe łoże, ustawione pod przeciwległą ścianą. Łoże to okrywała czarna pościel, a na jej tle odrzynała się wyraziście biała plama ciała śpiącej kobiety. Spała twarzą ku ścianie, więc drżący ze wzruszenia młodzieniec widział tylko jej obnażone plecy. Nogi przykryte były jakąś szatą, a cudny szal przesłaniał włosy.

Więc tam była Othe!.. Hamilkar poczuł szybki rytm serca

i huczące młoty w skroniach. Tam spała po trudach całodziennych, spokojna, pewna, że wierny żołnierz czuwa na posterunku, nad bezpieczeństwem jej snu... A on tymczasem...

Na dalsze refleksje brakło czasu. Nieznajoma szarpnęła go silnie za rękaw i pociągnęła za sobą. W zamyśleniu kroczył obok niej. Ogarnięty wyrzutami nie pomyślał o tym, że jednym ruchem ręki mógłby teraz zedrzyć zasłonę z jej twarzy i w blaskach wdzierającej się łuny zobaczyć jej oblicze... Zapomniał o tym najzupełniej.

– Zaczekaj na mnie. Połóż się i czekaj. Zasunę tajemne przejście i wrócę inną stroną za chwilę – rzekła niewiasta w turbanie, nakłaniając go, aby legł na posłaniu, gdzie spędził z nią pamiętne chwile.

Posłuchał... Położył się na wznak i czekał... czekał zdaje się długo... Nie pamięta zresztą czy długo. W głowie miał taki chaos brzemienny, taki szum w uszach, takie łopotanie w skroniach, że nic nie pamięta, co dalej. Może ona wróciła? Może ją znów pieścił, całował, myśląc jak przedtem o tamtej... Nic nie pamięta... Może wreszcie to wszystko snem było tylko? Bo przecież zbudził się przed chwilą.

Hamilkar powtórnie przetarł sobie oczy dłonią. Potem nagle myślą ożywiony, przyskoczył do drzwi, do ściany, w której mieściło się rzekomo przejście tajemne... Przejście to wiodło do komnat królowej. Szedł tamtędy przecież za ową nieznaną przewodniczką... Szukał uważnie, ślizgając się dłonią po gładkim murze ściany... Nic!... Żadnej szpary, żadnego śladu zamaskowanych drzwi... Zapukał... Nie... Tam nie mogło być przejścia, chyba, że cały kamienny blok jest ruchomy.

Nagle drgnął. W pierwszej sali zadudniły ciężkie kroki. Spojrzał od progu i zobaczył dziesiętnika, przybranego w

zbroję gwardzisty. Przybyły doszedł do kraty i skinieniem ręki przywołał Hamilkara.

– Najmiłościmsza królowa cię wzywa – rzekła. – Dawaj klucz od przejścia.

Hamilkar zdrętwiał. Zatopiony we wspomnieniach zapomniał o nieszczęsnym kluczu.

Gdzież on się podział u licha? Czyżby nieznajoma posunęła swój żart tak daleko? Czy w ten sposób zemściła się za to, że kochał inną? Uczuł zimne kropelki potu na skroniach.

– Zaraz idę – wykrztusił chrapliwym głosem i pędem rzucił się w stronę posłania. Przykląkł. Zaczął gorączkowo szukać, gładzić palcami długie włosy futra.... zajrzał pod spód... nic. Nie ma nigdzie... Pochyliwszy się bardziej, uczuł, że go coś ugniata w okolicy brzucha.

Z trudem wcisnął dłoń pod blachę pancerza i zakrzyknął na głos z radości. Tam tkwił klucz, wciśnięty pomiędzy rzemień, a wewnętrzną stronę luskowanej blachy. Szybko powrócił do pierwszej sali, odemknął drzwi w kracie żelaznej i stanął na baczność przed dziesiątnikiem...

– Jestem gotów – rzekł rażno, przykładając płasko dłoń do hełmu nad skronią, jak to było przyjęte od czasu wielkiej reformy wojskowej, przeprowadzonej przez Hansa-Olbrzyma.

Dziesiątnik spojrział nań przelotnie.

– Tak w jednym sandale chcesz stanąć przed najmiłościmszą królową? – warknął z gryzącą ironią.

Młodzian stanął w pąsach. Spoglądał bezradnie na swoją bosą stopę, na przemian na srogięgo podoficera i znów na nogę.

– Nie wiem jak się to stało – bąknął.

– Widocznie dobrze czuwałeś, skoro ci ciżmę skradziono.

– Och, gdybyście mi raczyli swoich użyczyć na chwilę!

– Moich?... He, he, he. Srebrne sprzączki dziesiętnika podobają ci się młokosie... Wierzę... No, w drogę, marsz!... Zdejmuj drugi sandał i dalej na bosaka.

Rad nie rad musiał posłuchać. Z wzrokiem w ziemię wbitym, z uszami czerwonymi, przedefilował wzdłuż wyciągniętego szeregu kolegów, którzy mieli służbę w wartowni na piętrze i parsknęli głośnym śmiechem na widok towarzysza, który w pełnym rynsztunku, a bosy, szedł przed oblicze królowej.

Othe siedziała na podniesieniu, kiedy wszedł do sali. Dziesiętnik odprowadził go do progu, a potem zniknął, zamykając drzwi cicho za sobą.

– Bliżej... bliżej, młody mój obrońco? – zabrzmiał srebrzysty głosik monarchini. – Jeszcze bliżej... Tu stań, u stóp tronu.

Spełnił rozkaz, truchlejąc, z obawy, że łaskawy wzrok władczyni, który błędził po jego twarzy, spłynie niżej i odkryje straszliwe braki w „umundurowaniu”.

– Jakżeś noc spędził?... Czy zaszło coś ważnego, o czym mi donieść powinienes?

Hamilkar zawahał się, czy ma powiedzieć prawdę, czy z przeczności raczej ją przemilczeć.

– Podobno miałeś odwiedziny nader przyjemne?

Podniósł głowę śmiało... „Wie o wszystkim – pomyślał – więc lepiej się nie zapierać...”

– Tak jest najmiłości wszą królowo – odparł – i chciałem właśnie ostrzec was, najmiłościwsza królowo, że owa dama, której twarzy nie znam niestety, wie o tajemnym przejściu do dalszych komnat... To bardzo niedobrze. Nikt o tym wiedzieć nie powinien...

– Czy pokazywała ci to przejście?

– Prowadziła mnie tamtędy – rzekł, spuszczać oczy.



– W takim razie musiała się jakimś sposobem przedostać przez kratę... A tyś miał klucz od jedynych drzwi... Cóż? Nie odpowiadasz? – dodała po dłuższej chwili, kiedy milczał.

– Oczekuję słusznej kary – wyjąkał, przyklękając na jedno kolano.

– I nie minęłaby cię gdybyś się nie był szczerze przyznał... Ale królowa ceni prawdomówność i odpuszcza ci łąskawie twe przewinienie.

– Dziękuję, najmiłościwsza królowo. Wierną służbą postaram się naprawić twe o mnie mniemanie. Będę jak ten...

– No dobrze, dobrze – przerwała i udając wielkie zadziwienie, wykrzyknęła na głos. – A gdziez twoje sandały.

Myślał, że się w ziemię zapadnie ze wstydu. Jąkając się i mamrocząc słowa niewyraźnie, opowiedział co zaszło tej nocy i jak zbudziwszy się, nie znalazł drugiego sandała.

– Przebaczam i to, żeś zasnął i pozwolił się okraść. Ale to, co między wami zaszło, powinno zgubić się na zawsze w twojej pamięci. Wara ci o tym opowiadać przed kolegami lub zwierzchnikiem. Rozumiesz?

– Rozumiem najmiłość...

– Przyklęknij tutaj – rzekła, wskazując na środkowy stopień podwyższenia, na którym stał tron pozłacany...

Usłuchał i zalęknione spojrzenia wpił w twarzyczkę kobiety. Ujrzał, że głęboko osadzone oczy królowej były jeszcze bardziej w głąb zapadnięte i podkrążone niebieskawymi obwódkami. Twarz była jakaś zmęczona, cera pożółkła, jakby po nieprzespanej nocy.. Więc ogromne współczucie odmalowało się we wzroku klęczącego młodzieńca. Pełen najwyższej czci pocałunek złożył na podanej sobie dłoni i nagle zadrżał strasznie... Rękaw luźnej szaty obsunął się aż poza łokieć, odsłaniając plamę kształtu okrągławe elipsy, plamę siną, trochę

fioletową miejscami, jakby ślad niedawnego ukąszenia...

W małym ułamku sekundy ogarnął pamięcią wszystkie zdarzenia tej niezapomnianej nocy, począwszy od chwili, kiedy zamaskowana kobieta zjawiała się przy „srebrnej kracie”, kiedy przez szparę między prętami podała mu połówkę jabłka i kiedy na jej wypielęgnowanej, wypieszczonej rączce zauważył taki sam ślad ukąszenia... Więc to była ona? Niewysłowiona radość przeniknęła Hamilkara, ale trwała bardzo krótko. Przypomniał sobie natychmiast, że tajemnicza przewodniczka zaprowadziła go do komnat królowej, że na własne oczy widział Othe, śpiącą na wielkim hebanowym łożu. Twarzy jej nie widział co prawda, lecz była to niewątpliwie królowa. Czyliż więc snem tylko było to wszystko, wszystko bez wyjątku? Także nie. Przecież królowa sama go spytała przed chwilą o odwiedziny owej niewiasty.

– Nic nie rozumiem – wybełkotał półgłosem, wpatrując się jak urzeczony w ślad ukąszenia... Othe pobiegła wzrokiem za kierunkiem jego spojrzeń i szybkim ruchem drugiej ręki ściągnęła rękaw szaty, aż na przegub.

– Czego nie rozumiesz, Milkarze? – spytała łagodnie.

– Myśli mi się płaczą, najmiłościwsza królowo... Ta noc! Ta noc pamiętna! Pamiętam wszystko, lecz nie wiem co snem było, a co przeżyłem na jawie.

– Wszystko było tylko snem – rzekła bardzo poważnie. – Rozumiesz Milkarze?... Musisz w to uwierzyć, że wszystko snem było. Jeśli w to uwierzysz, piękne widzenie nocne powtórzy się jeszcze wiele razy. Czy nie chciałbyś, by się powtórzyło?

Jego spojrzenia były wymowniejsze od wszelkich słów. Othe pochyliła się wstecz i przed oczyma Hamilkara ukazały się nagle dwa żołnierskie sandały, przepięknej roboty, z

srebrnymi sprzączkami przy czerwonych rzemieniach.

– Oto twoja zguba – przemówiła z łaskawym uśmiechem... – Zgubiłeś jako zwykły żołnierz, odnajdujesz je jako dziesiętnik – dodała, wskazując palcem na srebrne sprzączki.

Na pożegnanie podała mu znów rękę do ucałowania. A kiedy zbyt długo nie odrywał warg od jej białych palców, nachyliła się nad nim i usteczkami musnęła jego wysokie czoło.

– Wzywałaś mnie, miłościwa królowo – zabrzmiał w tym właśnie momencie szorstki głos męski... Pod drzwiami stał Shiram, tysięcznik i ponurymi spojrzeniami obrzucał Othe oraz klęczącego przed nią młodzieńca. Oficerska trzcina z złotą gałką, wygięła się w jego rękach jak łuk, jak półkole, aż pękła na dwoje z suchym trzaskiem...

## Rozdział V

### **OFIARA Z LUDZI**

Nieprzeliczone mrowie ludzkie zgromadziło się na placu przed świątynią „Baala dzieci w płomieniach pożerającego”. Tu i ówdzie rozlegały się jęki, zawodzenia nieszczęśliwych rodziców, których dziatki miały być za chwilę krwiożerczemu bożkowi na ofiarę rzucone, tu i ówdzie padały ostre słowa, złorzeczenia, a nawet przekleństwa, z ust zdecydowanych zwolenników podnoszącego znów głowę stanu kapłańskiego, lecz większość zebranych milczała wyczekująco. Nagle tylne szeregi zbitego tłumu zafalowały jak spokojna toń zatoki, kiedy w nią nagły podmuch wichru uderzył i z ust do ust biegły słowa:

– Jada już! Jada!

Jakoż u wylotu ulicy ukazały się błyszczące trąby heroldów królewskich, potem zgrabne łby koni białych jak mleko, potem długie halabardy, piki, włócznie, miecze, olbrzymie łuki przez plecy przewieszone, stosowne do tego, jaki oddział wojska wysuwał się z gardzieli ulicy na plac.

– Dziesięć secin – naliczył ktoś z cizby, a w innym miejscu zabrzmiał głos szydery:

– Już tam Othe nie ruszy się ani kroku bez swoich żołnierzy.

– Boi się – padł nagle zuchwały okrzyk i zapanowała chwila śmiertelnej ciszy. Na szczęście żaden oficer ani dostojnik nie dosłyszał tego bluźnierstwa, gdyż ci ostatni znajdowali się jeszcze nazbyt daleko, a pierwsi zajęci byli ustawianiem naciągających hufców w długie szpalery, środkiem których miał się orszak monarchini posuwać.

– Kapłani już wychodzą – zauważył ktoś z innej grupy. Wszystkie spojrzenia pobiegły w stronę ołtarza Baala. Ołtarz ten był niczym innym, jak potwornych rozmiarów głową bożka. Od poziomego placu biegły w górę szerokie schody, liczące trzy razy po trzydzieści trzy stopnie. Przy 33 oraz przy 66 stopniu, znajdowały się rozległe platformy, przeznaczone: pierwsza dla oficerów, a po drugiej stronie dla najprzedniejszych obywateli miasta, druga i wyższa dla królowej i jej świty, a po przeciwnej stronie dla kapłanów. Na szczycie schodów mieściła się największa terasa i na niej spoczywała olbrzymia głowa Baala. Jego rozwarta szeroko paszcza, podobna do górskiej jaskini, była tak wielka, że trzech roślących chłopów stojących jeden na barkach drugiego, sięgnęłoby z biedą końce ostrych kłów górnej szczęki. Potworne ślepia spoglądały z

wyrazem dzikiego okrucieństwa na szerokie schody, po których miano wlec ofiary, a odstające uszy, kryły w swych muszlach tajemne przejście dla kapłanów. Podobno znajdowały się tam spiralnie biegnące schodki, wiodące do podziemnej świątyni tegoż bożka.

Przyjazd królewskiego wehikułu powitały tłumy niezwykłą ciszą. Nie rzucano wprawdzie wrogich okrzyków, uszczypliwych uwag, docinków – zapewne w obawie przed represjami – ale też nie wiwatowano na cześć władczyni, jak dawniej bywało. Wśród zupełnego milczenia pospólstwa dudnienie ciężkich kół kolasy po bruku, rozlegało się głośnym echem.

Othe wyczuła snadź nieprzyjemny nastrój poddanych, bo wysiadła z ściągniętymi gniewnie brwiami.

– Żyj, królowo i panuj nam wiecznie! – skandowały karne szeregi żołnierzy.

– Witajcie mi – odpowiedziała uprzejmie, darząc zalotnym uśmiechem wyprężonych jak struny oficerów. Wiedziała dobrze, że to są jej jedyni, prawdziwi sprzymierzeńcy, że na nich tylko może liczyć w potrzebie.

Lecz gdy wstąpiła na pierwsze stopnie schodów, gdy podniósłszy oczy, ujrzała w górze czerwone togi czekających kapłanów, spochmurniała powtórnie. – Wam to zawdzięczam, lotry – szepnęła. Jej umysł zaczął gorączkowo pracować nad obmyśleniem jakiejś psoty, która by dobrze dokuczyła znieprawidzonym przeciwnikom.

Wreszcie znalazła. Uśmiechnęła się do swej myśli, a osiągnąwszy czterdziesty stopień, obróciła się wstecz. Świta wyższych oficerów, postępując w pewnej odległości za władczynią, wkraczała właśnie na pierwszą platformę, by, jak każe zwyczaj, w tym miejscu asystować przy ofiarach.

Othe rzuciła tonem komendy:

– Za mną, naprzód!

Wahanie trwało kilka mgnień oka. Mniejszość domyślała się może intencji tego niebywałego w dziejach Tyru rozkazu i cieszyła się na myśl jakie miny zrobią zachowawczo usposobieni kapłani, większość poszłaby za królową nawet w ogień, a co dopiero ku miejscu, które zaszczyt przynosiło niemały. Maleńka grupa cichych sprzymierzeńców arcykapłana nie ośmieliła się oponować i mnogi zastęp tysięczników, setników, chorążych i gwardzistów ruszył ku górnej terasie.

Wśród tłumów zawrzało od rozmaitych komentarzy, domysłów, przypuszczeń. Pomruk tysięcznych rozmów dobiegał aż na te wyżyny.

Znacznie większa konsternacja zapanowała na górnej platformie, wśród grona sług Baala. Emnoch-ostrowidz szeptał coś gorączkowo w ucho sędziwemu arcykapłanowi, który wzrok miał słabszy i nie zorientował się od razu o co chodzi. Wysłuchawszy relacji zatrząsł się z oburzenia i ruszył odważnie na spotkanie królowej.

Othe odpowiedziała niedbałym kiwnięciem głową na sztywny ukłon starca.

– Miłościwa królowo – zaczął dość spokojnie. – Racz przypomnieć żołnierzom, że ich miejsce na dolnej terasie.

– Czemuż to na dolnej?

– Tak każe zwyczaj.

– E, zwyczaj...

– Tak napisano w księgach naszych...

– Czy wszystkiego co napisano w księgach należy ściśle przestrzegać?

– Wszystkiego! – rzekł bardzo stanowczo.

– Na pewno wszystkiego?

– Wszystkiego – powtórzył trochę niepewnie, zbity z tropu jej złośliwymi spojrzeniami. Wietrzył instynktem jakąś pułapkę.

– Czemuż tedy pozwalacie mnie tutaj przebywać. Napisa-  
no wyraźnie, że prócz kapłanek Astoreth żadna białogłowa nie  
może być w pobliżu ołtarza Baala... Nie drzemie wprawdzie  
godzinami nad księgami kapłańskimi, lecz pamiętam dokład-  
nie kogo tam wymieniono... Więc najpierw członków Najwyż-  
szej Rady, potem arcykapłana i kapłanki Astoreth, potem star-  
szynę Tyru, wreszcie oficerów... O jakiejś Othe, ani słówka...  
A przecież nikt nie ośmielił się wzbronić mi przystępu.

Arcykapłan Baala kręcił z pasją koniec srebrnej brody, jak-  
by go urwać pragnął. Nie ważył się jednak przerywać i dopie-  
ro kiedy Othe umilkła wybuchnął:

– Najmiłościwsza królowo, zapomniałaś jeszcze o kimś,  
kto także ma prawo uczestniczyć w ofiarach. Kto ma bodaj  
największe prawo!

– O kim myślisz, dostojny? – spytała z udanym zacieka-  
wieniem.

– O nas, o sługach Baala...

– Ach, prawda, prawda! Zapomniałam o was rzeczywiście  
– wycodziła lekceważąco. – Lecz nie o to chodzi nam teraz.  
Pytałam, dlaczego dopuszczacie mnie do udziału w świętych  
ofiarach, choć nie należę do grona osób wymienionych w wa-  
szych księgach... Odpowiedz.

Nie rzekł ani słowa, chociaż drżał od wewnętrznego wzbu-  
rzenia, choć język go świerzbiał, by tej rozpustnej kobiecie  
powiedzieć wszystko, co o niej myślał. Nie uczynił tego; bał  
się po prostu, a świadomość tego, że on, arcykapłan lęka się  
nieobliczalnych następstw słusznego wystąpienia i jest najzu-  
pełniej bezsilny wobec przemocy, dopełniła miary nienawiści.

– Skoro nie potrafisz, o dostojny, odpowiedzieć na moje pytanie, najdostojniejszy Boabas cię pouczy – przemówiła Othe po chwili.

Opasły dygnitarz wysunął się na czoło świty i zaczął mentorskim tonem:

– Przepisy ksiąg kapłańskich nie dotyczą najmiłościwszej królowej, gdyż ona sama jest najwyższym źródłem wszelkiego prawa, gdyż ona jedna może zmieniać dawne ustawy i nowe stanowić. Dlatego też może brać udział w świętych ofiarach, choć milczą o niej wasze księgi, dlatego może rozkazać na przykład, aby od dnia dzisiejszego kapłani Baala stali na dole, pospołu z motłochem.

Głośny syk oburzenia nie pozwolił suffecie mówić dalej.

Othe wzniosła dłoń w górę: Malkontenci umilkli natychmiast. Wśród grobowej ciszy odezwała się w te słowa:

– Takiego rozkazu jeszcze nie wydałam, najdostojniejszy Boabasie... W każdym razie dziękuję ci, iż pouczyłeś arcykapłana o przywilejach królewskich... Tak ci jest, o dostojny. Prawo musi się ugiąć przed siłą. Kto ma władzę, może deptać ustawy lub nowe stanowić, wedle upodobania. Pomnijcie o tym kapłani...

– Pomnijmy! – warknął głośno młody Ulam, którego poniosła wrodzona zapalczywość.

Królowa zmierzyła śmiałka gniewnym spojrzeniem. Stały jej nagle w pamięci słowa żołnierza Milkara, jego doniesienie, że ten sam zuchwały kapłan podburzał tłumy przeciwko niej na „Placu Dwustu Kolumn” pod oknami jej pałacu.

– Nitar do mnie!

Pośród grobowego milczenia jakie zapanowało po występie młodego kapłana, rozkaz władczyni usłyszeli wszyscy i wstrzymali oddech w piersiach. Hazdrubal-łysy, Sycheus-lekarsz, Emnoch-ostrowidz i kilku innych, zsunęły się bliżej, jakby



pragnąc Ulama zasłonić przed oczyma królowej. Nitar, najwyższy sędzia wystąpił z szeregu orszaku. Burza zawisła w powietrzu... Do konfliktu jednak nie doszło. Othe ochłonęła szybko; nie lubiła otwartej walki. Przyswoiwszy sobie już z dawna metody kapłanów, wołała zgładzić wroga podstępnie, bez rozgłosu, a nie na oczach wszystkich. Lecz z drugiej strony Nitar czekał na rozkazy. Należało jakoś wybrnąć z kłopotliwej sytuacji.

Widok czekającego zastępu oficerów podszeptał jej radę.

– Nitarze – rzekła. – Chcę wydać nowe prawo.

– Słucham, najmiłościsz królowo.

– Od dnia dzisiejszego począwszy, połowa górnej terasy należeć ma do mych sług najwierniejszych – tu wskazała na gromadę tysięczników, setników, gwardzistów. Potem rzuciwszy ukośne spojrzenie sługom Baala, dodała: – Nie chcę być otoczona tylko wrogami, a zresztą wydaję to nowe prawo dlatego, że tak mi się podoba.

– Stanie się jak rozkazałaś, najmiłościsz królowo – odparł Nitar obojętnie.

– Polecam rozpocząć święte ofiary.

Z tymi słowy ruszyła w stronę tronu, wzniesionego na lewej stronie górnej terasy.

Arcykapłan powtórzył rozkaz Emnochowi, Emnoch podszedł do heroldów, czekających w połowie schodów, heroldzi podnieśli trąby w górę i ostre, metaliczne dźwięki zawibrowały w powietrzu... raz... drugi... trzeci...

Gdzieś w oddali zaturkotały po bruku koła ciężkiego wozu. U przeciwnego wylotu placu ukazały się pierwsze ósemki jeźdźców, za nimi olbrzymi wehikuł, otoczony ze wszech stron konnymi, a potem straż tylna.

Wśród tłumu rozległy się jęki, bolesne okrzyki, złorzeczenia. To zrozpaczeni rodzice żegnali swoje dzieci, wzięone

na ofiarę krwiożerczemu bożkowi. Halabardnicy, którzy tworzyli szpaler, rozstawili nogi szeroko, by stawić należyty opór naciskowi motłochu.

Kiedy wóz dotarł do podnóża schodów, arcykapłan, w otoczeniu sześciu najstarszych wiekiem kapłanów, ruszył w stronę ołtarza ofiarnego. Szli pod górę, powoli, równym krokiem, przystając na każdym trzecim stopniu dla omówienia stosownych modłów. Siedem szpiczastych mitr schylało się, kołysało i podnosiło w jednym tempie, siedem purpurowych płaszczy płynęło w górę w jednym rzędzie.

Przystanęli na najwyższej terasie, tuż przed palisadą dolnych zębów olbrzymiej paszczy Baala, złamali się wpół, w niskim pokłonie i w tej pozycji trwali czas dłuższy.

Wreszcie sam arcykapłan posunął się bliżej, wyciągnął obie dłonie i rzucił głośnie zaklęcie...

– Aaaach! – zabrzmiało wśród tłumów, zebranych na placu. Wszystkie głowy schyliły się jak na komendę, wszystkie spojrzenia, pełne zabobonnego lęku pobiegły w górę, ku szczytowi ołtarza. A z potwornej paszczy Baala buchnął kłęb białego dymu i gęstym obłokiem spowił sylwetki siedmiu kapłanów, zasłaniając ich przed wzrokiem zebranych. Lekki podmuch wiatru rozpędził ten obłok niebawem. Biały dym przepadł bez śladu, natomiast na czarnym tle czeluści zamigotały krwawe języki ognia.

Trąby heroldów zagrały po raz wtóry.

Na ten znak oddziałek nagich pachołków kapłańskich podszedł do wozu i z rąk konwoju zaczął odbierać przywiezionych chłopców. Obezwładnieni strachem malcy nie stawiali żadnego oporu, zresztą nie zdałby się on na nic. Groźne upomnienia kapłanów nie były w stanie stłumić spazmatycznych szlochów nieszczęśliwych matek i pośród wielkiego płaczu,

narzekań, przekleństw, smutny orszak zaczął wstępować na stopnie. Twarze chłopców od czoła aż po górną wargę były obwiązane nieprzezroczystymi chustami, tak, że tylko po głosie lub wzroście poznawali rodzice swe dzieci, myśląc się przy tym często.

Na górnej terasie, przedzielonej schodami na dwie równe części, przedstawiciele wrogich stronnictw spoglądali na siebie nienawistnie...

– Czas już byłoby pokazać jej naszą potęgę. Najdostojniejszy waha się zbyt długo.

– I najgorzej sam na tym wychodzi. Słusznie mówisz, Ulamie.

– Ale ty znikaj z oczu jeszcze dzisiaj. Gdy tylko szepnie swym zbirom słowo...

– Nie lękam się – przerwał Ulam.

– Jednakże byłoby lepiej, gdybyś zaraz miasto opuścił.

– Przeciwnie, tu najbezpieczniej...

– Powiem najdostojniejszemu, by go wysłał wraz z Sycheusem-lekarzem do Zatoki Perel.

– Tak, tak... Uczyń to.

– A słyszeliście jakim tonem przemawiała do najdostojniejszego?

– Zwała go „dostojnym”, bezwstydna!

– Swoich setników może tak nazywać, swoich gachów.

– Rozpustnica! Trucicielka! Dziwka!

– Powiedziała: siła przed prawem, zmija przeklęta.

– To się może przeciwko niej kiedyś obrócić.

– Kiedyś, kiedyś; czemu nie jutro?

– Ulamie, Ulamie. Oby cię twoja krewkość nie zgubiła.

– Jak to patrzą na nas drwiąco – zauważył Sycheus- garbaty, wskazując ruchem brwi grupę oficerów, otaczających

tron, ustawiony po przeciwnej stronie terasy.

– Jak to się puszą, głupcy!

Emnoch-ostrowidz przysunął się do Ulama.

– Othe rozmawia z Boabasem. Spoglądają w twą stronę. Miej się na baczności.

– Zamilczcie, najdostojniejszy powraca...

Członkowie świty królewskiej także zabawiali się pogawędką, choć odmiennej zgoła treści:

– Szpiczaste czapki zmartwione.

– Żałują, że nie mogą nas wrzucić w ogień, zamiast biednych dzieciaków.

– Ja ich bym tam powrzucał. Naprzód tego starego dziada...

– Pajace, żyjący głupotą motłochu. Darmozjady! Pasi-brzuchy!

– Ciekawym, jak oni to robią, że z posągu płomienie buchają? – spytał młody setnik.

– Nie wiesz? Całkiem po prostu. Posąg jest zbudowany nad podziemną świątynią Baala. Tam mieści się palenisko. Ich pomocnicy mają stos przygotowany, podpalają go kiedy trzeba, a ci głupcy z dołu wierzą, że „bóg przemawia”, he, he, he, he, he...

– Że też najmiłościvsza królowa nie zrobi raz z nimi porządku.

– Przyjdzie taka chwila, bracie... Przyjdzie niebawem.

– Sądzisz, że niebawem? – spytał Shiram, podchodząc do rozmawiających.

– Tak myślę. Czerwone płaszcze zanadto głowy podnoszą ostatnimi czasy.

– Jak to się oburzali, że najmiłościvsza królowa raczyła nam przyznać to zaszczytne miejsce w czasie ofiar.

– Zapamiętamy im to, przyjaciele.

- Stary dziad wraca... Ale ci łypie ku nam ślepiami.
- Pokażę mu język.
- Zróbmy to wszyscy, jako żywo. Niech wie, że kpimy sobie z jego guseł.

Lecz do tej humorystycznej demonstracji nie doszło, gdyż oba obozy rozdzielił w tym momencie smutny korowód ofiar przeznaczonych dla Baala. Korowód posuwał się w górę trójkami. Dwóch mocnych pacholków wlokło za ręce każdego chłopczyka i długi szereg owych trójek przedefilował środkiem terasy, pomiędzy gromadką kapłanów, odzianych w szkarłatne płaszcze, a świątą władczyni.

Kiedy początek osiągnął najwyższy stopień schodów, trąby heroldów zagrzmiały po raz trzeci.

Chór młodych kapłanów zanucił niskimi głosami ponurą „pieśń wielkiej ofiary”.

Arcykapłan dał znak ręką.

Gdzieś z dołu dobiegło echo rozdzierającego jęku kobiety.

Pierwsza para zbirów pochwyciła małego chłopczyka za ręce i nogi, rozhuściła go i rzuciła jak piłkę w czarną czeluść potwornej paszczy bożka. Wątle ciało opisało łuk w powietrzu, rozłożone niezgrabnie nogi zatrzepotały w górze, słaby okrzyk zgasł szybko, przytłumiony basowymi głosami kapłanów, w ciemnej pieczarze zawirował szary dym, wystrzelił pęk szkarłatnych języków ognia i już było po wszystkim. Baal przyjął łaskawie pierwszą ofiarę.

Drugi malec wrzeszczał wniebogłosy, trzeci przywarł do nogi jednego z oprawców tak silnie, że kilku sługusów musiało go przemocą odrywać, czwarty zesztyniał, może zemdlał, bo ciało jego poleciało w zachłanną paszczę bezwładnie jak kamień.

Po wrzuceniu w ogień piętnastu chłopców, zarządził arcykapłan przerwę. Swąd charakterystycznej spaleniźny rozcho-  
dził się wszędie, a żar podsycanych ustawicznie płomieni nie  
pozwalał pachołkom kapłańskim zbliżyć się do otworu zięją-  
cej ogniem czeluści na wymaganą zwyczajem odległość.

Wśród tłumów stłoczonych na placu zabrzmiały zmieszane  
okrzyki:

- Dość, dość!... Wystarczy.
- Baal daje znak, że więcej ofiar nie pragnie.
- Oddajcie nasze dzieci!
- Mego synka mi zwróćcie!
- Góra płomieni milknie.

To ostatnie zdanie zwróciło powszechną uwagę na wulkan.  
Nie tylko z wysokości schodów i teras, lecz nawet z rozległe-  
go placu widać było jego wyniosły stożek, spowity kłębamii  
gęstego dymu.

Lecz autor okrzyku popełnił świadome kłamstwo. „Góra  
płomieni” nie milkła bynajmniej. Przeciwnie, słup dymu wzbił  
się jeszcze wyżej, jego poziome odnóża, przypominające wy-  
glądem konary pinii, zgrubiały i wydłużyły się niezmiernie, a  
dudniący odgłos periodycznych erupcji przeszedł w grzmot,  
którego źródło zdawało się być gdzieś w głębi łona ziemi.

- Baal żąda nowych ofiar! – mruknał Sycheus-garbaty.
- Tak – potwierdził arcykapłan, dając równocześnie znak  
Emnochowi. Ten pośpieszył ku szeregowi czekających herol-  
dów. Spiżowe dźwięki długich trąb rozdarły znowu powietrze.  
Pachołkowie, zapatrzeni na wulkan, ocknęli się i zaczęli pełnić  
od nowa swą powinność. Wśród nieustannego płaczu zawie-  
dzionych w swych nadziejach matek, spadały białe ciała dal-  
szych ofiar w rozżarzoną paszczę wielkiego posągu.

Potworne ślepiec Baala zaszły mgłą dymów i poprzez ich zwiewny kwef zdawały się mrugać na znak zadowolenia i uciechy.

## Rozdział VI

### SOFO MŚCICIELKA

– Wszelako Syfax posłuchał mej rady. Już nie zamyka jej w ciemnej izbie – rzekł Sycheus-lekarz.

– Ale gdzież ona jest?

Hazdrubal-łysy miał wzrok słaby. Dopiero kiedy Ulam wskazał dłonią kępę storczyków dojrzał tę, do której szli w poselstwie od kapłańskiego stanu. Jej biała szata odrzynała się wyraźnie od barwnego otoczenia kwiatów, jak i też od szmaragdowego tła murawy.

Trzej kapłani odbyli krótką naradę.

– Syfaksa nie widzę nigdzie.

– To nawet lepiej – podchwycił skwapliwie Sycheus-lekarz, który lękał się trochę, że pierwszy małżonek Othe i były naczelny wódz sił zbrojnych tyreńskich, będzie mu czynił gorzkie wymówki za odkrycie, a co gorsze za zdradzenie innym wielkiej tajemnicy; wszakże od dziesięciu lat uważano Sofę, córę Hannona za zmarłą i opłakano ją z dawna.

Energiczny Ulam zdecydował szybko:

– Podejźmy do niej zaraz. Nasz czas krótki.

Skrajając się od jednego pnia do drugiego, wyszli z lasu na otwartą przestrzeń i ruszyli razem w stronę jasnej plamy, lśniącej jak biały marmur w blaskach słońca.

Odpoczywająca niewiasta nie słyszała kroków czy to dlatego, że zagłuszył je suchy, drewniany szelest olbrzymich liści palmowych, kołysanych popołudniowym wietrzykiem, czy dlatego, że zasluchiwała się w smutne skargi fal, konających na pobliskim wybrzeżu, czy wreszcie dlatego, że zdołała w ciągu tych dziesięciu lat pustelniczego życia odwyknąć od odwiedzin ludzi i nie wierzyła, by ktokolwiek prócz zacnego Syfaksa mógł się zapuścić w te zapomniane okolice.

Dość, że nie słyszała wcale kroków nadchodzących i wydała głośny okrzyk, kiedy nagle spoza rozłożystego krzaku paproci wyrosły, jak spod ziemi, sylwetki trzech mężczyzn, odzianych w szare płaszcze podróżne. Ale w tym okrzyku więcej było bezgranicznego zdziwienia, niż trwogi.

- Siostro! – zawołał Ulam.
- Sofo!
- Mścicielko!
- Witamy cię, dzielna niewiasto.
- Któraś ojczyznę od przeklętych Olbrzymów uwolniła.
- Kapłanko Astoreth, witaj.
- Ty żyjesz, a myśmy cię dawno oplakali.
- Ale teraz wrócisz do miasta.
- Wrócisz z nami.

Zerwała się z trawy i przysłaniając sobie nagie piersi połą rozchełstanej szaty, spoglądała osłupiałym wzrokiem na intruzów wykrzykujących swą powitalną litanię.

- Kto wy jesteście? – wykrztusiła wreszcie.

Czoło Ulama przecięła zmarszczka serdecznej troski. Poznał swą siostrę stryjeczną od pierwszego wejrzenia, gdyż rysy jej twarzy miał dobrze wryte w pamięci, lecz czy była to ta sama Sofo, która oczy rwała swą urodą, świeżością,



temperamentem? Był to jej głos, niegdyś srebrzysty jak dźwięk dzwoneczków, a dziś... ochrypli, stłumiony, matowy?

Stała przed nim kobieta prawie brzydka, niemal stara, chuda, z zapadniętymi policzkami, z wklęsłą piersią. Palce dłoni, podtrzymującej białą szatę pod szyją były przeraźliwie cienkie, skóra i kości, na szaroziemistych licach kwitły niezdrowe, ceglaste rumieńce, a wielkie zielone oczy płonęły jakimś gorączkowym ogniem, ale nie był to ten sam ogień, co dawniej.

– Siostrze, nie poznasz mnie?

Potrząsnęła głową przecząco.

– Ulam jest moje imię. Rodzic twój Hannon był mi stryjcem.

– Ulam, Ulam – powtórzyła, trąc czoło dłonią. – Pamiętam chłopca tego imienia... Siadywał na schodach chramu Baala i całymi dniami wpatrywał się w groźne oblicze boga.

– To ja właśnie – zawołał ucieszony. – Wyrosłem, zmężniałem, a sny chłopięce się spełniły: jestem kapłanem Baala.

Spojrzała nań nieufnie.

– Kapłanem jesteś; gdzież więc purpurowa chlamida?

– Nie używamy naszych świętych szat w podróży, lecz ten szkarłatny szlak niechaj świadczy. – Tu ujął poję swego płaszcza i odgiął w ten sposób, że ukazała się jej część spodnia. Widniał tam szlak szkarłatny, szeroki na trzy palce. – A zresztą – ciągnął Ulam dalej. – Muszę się kryć przed zbirami.

– Przed zbirami? Któż śmie zagrażać życiu kapłana? Przecież przeklętych świętokradców z rodu Olbrzymów wytępiłam doszczętnie.

– Właśnie o tym chcemy z tobą pomówić Mścicielko – wtrącił szybko Sycheus-lekarz. – Ty zaś usiądź wygodnie lub

śluchaj leżąc. Staniem się mężczyz, widzę to.

Sofo zmarszczyła brwi, usiłowała sobie coś przypomnieć.

– Twój głos już słyszałam... Czekaj no... Aha! Tyś jest owym lekarzem, którego Syfax zawezwał z miasta?

– Tak – wyjąkał zmieszany.

– W nocy zakradłeś się do mojej izby.

– Więc widziałaś?

– Śniłam... Widziałam cię oczyma duszy... – potem zniżając głos mówiła jakby do siebie. – Tak... Teraz wszystko rozumiem. Poznał mnie, a powróciwszy do Tyru opowiedział braciom, że ja żyję... Czy tak? – spytała, zwracając się do lekarza.

– Tak, zaiste.

– Po cóż jednak powróciłeś tutaj, wiodąc dwóch towarzyszy. Czy nie dawali wiary twym słowom? Czy chcieli się przekonać naocznie i zaspokoić ciekawość?

A kiedy zaprzeczyli jednogłośnie, tupnęła nogą i wykrzyknęła z odcieniem zniecierpliwienia w głosie:

– Czego więc chcecie ode mnie? Mówcie!

Hazdrubal-łysy uprzedził tamtych dwóch w odpowiedzi. Z właściwą sobie skrupulatnością przedstawił dzieje ubiegłych dziesięciu lat, złe rządy królowej, odmalował jaskrawymi barwami nadużycia jej przewrotnych zauszników, aż w końcu wyjawiał przyczyny swego przybycia nad „Zatokę Perel”.

Sofonizba słuchała cierpliwie, siedząc naprzeciw sumiennego narratora i mnąc w palcach płatki zerwanych kwiatów. Przerwała mu raz tylko, mianowicie, kiedy napomknął o tragicznej śmierci Hamilkara, pierwszego króla z dynastii Egot-Barkasów. Wtedy westchnęła współczująco i rzekła:

– Czemuż nie poszedł za moją radą, nieszczęśliwy... Żegnając go w podziemnym przejściu świątyni „Opiekunki Miasta” mówiłam, że Othe należy zgładzić bezzwłocznie. Nie usłuchał, dał się usidlić tej chytrej kobiecie i życiem to przypłacił.

Dopiero gdy Hazdrubal ukończył swe długie wywody i połą płaszcz otarł spotniałą łysinę, zabrała głos po raz wtóry:

– Chcecie zatem, bym powróciła do miasta i rozpoczęła walkę z Othe?

– Tak jest.. O to cię prosimy, córo Hannona.

– Jeśli wy, potężny stan kapłański, liczący mnogich zwolenników nie możecie jej podolać, jakóż ja będę mogła, słaba, schorowana kobieta?

– Właśnie ty jedna podolasz! – wykrzyknęli chórem, potem zaczęli mówić każdy z osobna, szybko, na wyścigi:

– Samym zjawieniem się wywołasz przewrót.

– Prócz nas nikt nie wie, że żyjesz.

– Powiemy ludowi, że bogini cię przysyła, byś po raz drugi ojczyznę z toni wyratowała.

– Tłumy pójda za tobą. I wojsko także.

– To najważniejsze. Żołnierze burzą się już na swawolę swych przełożonych.

– Pójda za tobą jak jeden mąż.

– Wtedy runie tron występnej królowej, dzięki tobie.

– Jak runęła potęga Olbrzymów.

– Przyznacie jednak – wtrąciła – że Othe posiada licznych popleczników.

– Bardzo niewielu – rzekł szybko Sycheus-lekarz.

– Jeśli niewielu, to powinniście ich sami zwyciężyć.

Hazdrubal-łysy porozumiał się wzrokiem z towarzyszymi.

– Co tu kręcić – zaczął. – Othe ma dzisiaj zwolenników

niemało, lecz gdy gruchnie wieść o cudownym zmartwychwstaniu Mścicielki, pozostanie przy niej tylko garść nowych dostojników, trochę wojska, gwardia i większość oficerów.

– Czyli, że bez walk bratobójczych się nie obejdzie.

– To nieuniknione zło, mniejsze jednak od tego, co się dzieje obecnie, od strasznego bezprawia, dzięki któremu najszlachetniejsi obywatele nie są pewni życia, ani mienia swego i żyją w ustawicznym lęku, by kaprys Boabasa lub innego łotra, nie uczynił z nich ostatnich nędzarzy.

– Więc dla zapewnienia bezpieczeństwa kilkunastu bogaczom mam rozpocząć nową wojnę domową... Nigdy! Przenigdy, za tę cenę! Dość miałam rozlewu krwi w czasie rok z górą trwającej wojny z Olbrzymami. Kosztowała ona życie kilkunastu setek mych braci. A teraz znowu? Nie! – zakrzyknęła głośno... Potem wśród grobowego milczenia zaczęła mówić cicho, prawie szeptem: – Nieraz w noce upalne, kiedy sen upragniony krążył z dala od mego znużonego ciała, jawiły mi się widma poległych. Szły długim korowodem, brocząc krwią z śmiertelnych ran, szły obok mego łóża, spojierając ku mnie pustymi oczodołami... Na samym końcu wlokły się cienie Olbrzymów. Najpierw kroczył ten, któremu wyklęłam oko w świątyni, mszcząc śmierć mego rodzica... Potem inni... Kolos Eryk, zagryziony przez moją panterę, brodaty sternik, cały w płomieniach, które statek ich trawiły; ich wódz piegowaty z językiem wywieszonym na brodę, z pianą na wargach, z twarzą skurczoną od bólu, jaki mu zadałam powolną, lecz zabójczą trucizną...

– Sofo! To gorączkowe przywidzenia... Ja, lekarz ci mówię.

Nie słyszała jego słów i pochłonięta przez swoje myśli, ciągnęła dalej półgłosem:

– To dziwne jednak... Jego nie było w ich liczbie. Nie widziałam go nigdy... Czy dlatego, że najgoręcej go ujrzyć pragnęłam?

Niecierpliwy Ulam chrząknął raz i drugi.

– Czas ucieka, siostrze... Słońce pochyliło się ku zachodowi. Przed nocą musimy ruszyć w powrotną drogę. Jakąż odpowiedź mamy zanieść najdostojniejszemu?

– Powiedzcie mu, że nie chcę więcej swoich rąk krwią kałać, krwią braci. Gdyby znów jakieś Olbrzymy najechały kraj, posłałbym z wami, ale w te sprawy mieszać się nie chcę.

– I to jest ostatnie twoje słowo?

– Ostatnie – rzekła bardzo stanowczo.

Ulam zmarszczył się gniewnie i powstał z ziemi, mając na języku jakąś cierpką przymówkę, lecz Hazdrubał-tysy dał znak ręką, by milczał:

– Widzisz, Sofo... – rzekł łagodnie – gdybyś poszła z nami, obeszłoby się rzeczywiście bez większego rozlewu krwi, a tak, walka pociągnie się dłużej... Zresztą mieliśmy pewien plan.

– Jaki plan...

– Posłuchaj cierpliwie. Jak już w opowiadaniu napomknąłem, wdzięczny naród wystawił ci wspaniały pomnik na Placu Dwustu Kolumn. Statua stoi na wysokim cokole, a jej wielkość i rysy twarzy łudzają cię przypominają. Otóż umyśliliśmy ten posąg ukryć pewnej nocy i ciebie, żywą tan postawić... Reszty się chyba domyślasz.

– Tak... Do tego celu możecie jednak użyć innej niewiasty, dość pewnej, by waszych zamysłów przedwcześnie nie zdradziła.

– Nie, nie... To nie to samo. Taki wybieg więcej by nam szkody przyniósł niż korzyści. Co innego, gdybyś ty zechciała.

– Nie chcę, powiedziałam raz i więcej o tym nie mówmy!  
Ulam pochwycił Hazdrubala za ramię.

– Nie trać słów na próżno. Nie przekonasz tej nieużytej niewiasty. Sami zwyciężymy Othe, ale jeśli mi kto kiedy powie, że Mścicielka miłowała swą ojczyznę, napluję mu w twarz jako kłamcy!

– Ulamie!

– Nazbyt jesteś krewki!

Lecz słowa obydwóch towarzyszy dołały oliwy do ognia. Młody kapłan z szkarłatnymi rumieńcami na licach zaatakował Sofonizbę potokiem gorzkich wyrzutów:

– Napluję mu w twarz, jako rzekłem – krzyczał... – bo córa Hannona nie jest, ani nie była nigdy patriotką. Mściła śmierć swego rodzica, może jeszcze inne miała z Olbrzymami porachunki, była więc tylko mścicielka, ale niczym więcej. Krzywdy ojczyzny nie obchodziły ją wcale... To mówię jej tutaj do oczu, ja Ulam, kapłan Baala-uzdrowiciela, ja Ulam, jej brat stryjeczny. To samo powtórzę wobec ludu, kiedy zażadam usunięcia jej pomnika z Placu Dwustu Kolumn.

– Ależ opamiętaj się przyja...

– Tak uczynię! – wrzasnął. – Nie przystoi żywym stawiać pomniki, a ja powiem wszystkim, że ona żyje, że odmówiła swej pomocy, kiedy chodziło o przyśpieszenie godziny wolności. Powiem, że tym samym była sojuszniczką rozpustnej Othe.

Wreszcie powiodło się obu starszym kapłanom uspokoić rozżalonego towarzysza. Sofonizba przyznawała w duszy słusność wywodom krewniaka, lecz nie chciała zmieniać tego, co postanowiła. Aby się, niejako usprawiedliwić przed gośćmi, zaczęła przy pożegnaniu narzekać na stan zdrowia.

– A zresztą – rzekła w końcu – myli się Ulam mówiąc, że mściłam tylko swoje krzywdy. Miałam porachunki własne z Olbrzymami, nie przeczę... ale nie z wszystkimi. Śmierć mego rodzica spowodował piegowaty przywódca, a mnie osobiście skrzywdził Henryk, który poślubił Eli, córę Tobiasza-lekarza... Gdybym więc nie miłowała mej ojczyzny, gdyby mi krzywdy mej braci nie leżały na sercu, byłabym uśmierciła tylko dwóch najeźdźców... Tymczasem ja uczyniłam ślub, że nie spocznę pierwej, aż wszyscy nie zginą. I dotrzymałam... Dotrzymałam przysięgi. Wyginęli do nogi.

Trzej kapłani spojrzeli na się wymownie; Ulam parsknął urągliwym śmiechem:

– Więc losy zakpiły z ciebie bezlitośnie, siostró – rzekł i znów zaczął rechotać, hałaśliwiej jeszcze niż przedtem.

– Jak to zakpiły?

– Dowiedz się, Sofonizbo, że Henryk Olbrzym żyje po dziś dzień i cieszy się dobrym zdrowiem.

– Mieszka pod miastem z swą małżonką, córą Tobiasza.

– I ma dwoje dzieci – dodał zawsze skrupulatny Hazdrubal.

Sofa stała z ustami rozchylonymi jak do wydania okrzyku, lecz głos zamarł jej w krtani. Niezdolna wymówić ani słowa, przenosiła wzrok z jednego przybysza na drugiego, aż zatrzymała się na Ulamie.

– Coś ty rzekł? – wykrztusiła chrapliwym głosem.

– Mogę powtórzyć sto razy, możesz spytać czy nie kłamię kogo tylko zechcesz. Henryk Olbrzym żyje!

– Więc trąd nie stoczył go jeszcze?

– Trąd? Ależ on jest zdrowy jak ryba w wodzie... Spytaj Sycheusa-lekarza.

– Tak, to prawda – potwierdził wymieniony.  
– Więc nie zginął z głodu w pułapce na dzikie zwierzęta?  
– Najlepszy dowód, że nie, skoro żyje do tej pory – odparł Ulam, wybuchając znów śmiechem.

Sofo przesunęła kilkakrotnie dłonią wzdłuż czoła.

– To przecież niemożliwe, niemożliwe! – powtarzała. – Jak się to stać mogło?

– O to jego zapytaj... O ile mnie się obilo o uszy, wyratowali go ludzie Othe. Z jej polecenia go śledzili i...

– Czekaj! – przerwała, przypominając sobie coś... Koło domku łowców grubego zwierza odkryłam ślady stóp ludzkich... Nie zwróciłam na to uwagi, zajęta wówczas ważniejszymi sprawami. Więc jego uwolniono z tej jamy...

– I uczynili to ludzie Othe – podkreślił Hazdrubal.

– Ale trąd, trąd!... Na to nie ma lekarza... Nawet Tobiasz był bezsilny.

Ulam wzruszył ramionami.

– Nie musiał być zarażony, skoro żyje w zdrowiu – mruknął.

– I wyście mogli pozwolić, aby się osiedlił wśród was po tym wszystkim, co Olbrzymy wyrządzili naszej ojczyźnie?

– Tobiasz sprawił, że uszedł zagładzie – zaczął Hazdrubal-tyśy i w dłuższym przemówieniu przedstawił, jak interwencja powszechnie kochanego Anglika ocaliła życie Henrykowi.

Sofo słuchała cierpliwie, ukrywszy twarz w dłoniach.

Kiedy je wreszcie odjęła, wszyscy trzej wydali okrzyk zdziwienia. Przed nimi stała dawna Mścicielka, która potrafiła natchnąć garstkę młodzieży do walki z dziesięciokrotnie liczniejszym nieprzyjacielem, do boju z Olbrzymami,



uzbrojonymi w straszliwe huczące rury. Zgarbiona sylwetka wyprostowała się, wyrosła, zapadłe oczy rzucały iskry ognia, policzki płonęły rumieńcami zapala. Niebывале podniecenie zatarło ślady nurtującej choroby piersiowej, odmłodziło Mści-cielkę o lat kilka, przywróciło znaczną część dawnej urody. Nawet głos brzmiał jakoś dźwięczniej, kiedy przemówiła:

– Ślubowałam niegdyś, że nie spocznę, póki ostatni z na-jeźdźców nie zginie. Tej przysięgi muszę dotrzymać. Żegnaj-cie mi, przyjaciele!

– Stój, siostró – rzekł Ulam, który zdołał się już porozu-mieć spojrzeniami z Hazdrubalem oraz z Sycheusem. – Zanim coś przedsięweźmiesz, uświadom sobie, że Henryk jest pod szczególną opieką Othe. Podobno jest dobrze strzeżony.

– To drobiazg dla mnie.

– I cóż mu zrobisz? Strujesz go lub pchniesz z zasadzki sztyletem? Może ci się nie powieść, możesz głową nałożyć, a choćbyś go dosięgła, czy napasiesz oczy zemstą? Nie będziesz z pewnością przy jego śmierci. A tyś się powinna sycić jego męką, jego bólem, rozpaczą. Niechby musiał wpierw patrzeć na zgon swej małżonki, na tortury męczonych dzieci... Jego nasienie powinno z nim razem zginąć.

– I zginie!

– Zemsta cię zaślepia. Nie widzisz przeszkód, które się spiętrzą na twej drodze. A mogłabyś się pastwić nad nim całe dni i tygodnie.

– Tak też uczynię.

– Póki Othe trzyma ster rządów w swych rękach, nigdy!

Ona go zawsze bierze w obronę.

– Podobno należał także do liczby jej gachów.

– Nie stwierdzono tego – wtrącił Hazdrubal-lysy – lecz

jest duże prawdopodobieństwo, że był jej kochankiem.

- Niejednokrotnie wzywała go do pałacu.
- Zwłaszcza w ostatnich dniach.
- Rzekomo z powodu „Góry Ognia”. Ten bluźnierca miał się poważyć powiedzieć, iż ofiary z dzieci są barbarzyństwem.
- Doradzał wykopać wały ochronne przed zalewem lawy, a płonące masy odprowadzić rowem do świętego jeziora.
- A nasza rozpustnica posłuchała go oczywiście.
- Nic mu nie zrobisz, Sofo.
- Kiedy się jeszcze dowie, że żyjesz...
- Skąd się ma dowiedzieć? – przerwała.
- Skąd? – Ulam zastanowił się czy ma zagrać w otwarte karty. Po krótkim namyśle zagrał. – Ja mu powiem!... – rzekł śmiało.

– Ty?!

– Tak jest... Powiem mu: miej się na baczności przed Sofonizbą, córą Hannona... Ona żyje i knuje straszliwą zemstę.

– Więc jemu sprzyjasz?! – zasyczała złowrogo.

– Bynajmniej... Chcę tylko ciebie zmusić, byś poszła z nami. Przysługa za przysługę. Jeżeli pomożesz obalić rządy Othe i przyjść do władzy nam, świętemu stanowi kapłańskiemu, oddamy ci za to Henryka Olbrzyma, wraz z całą jego rodziną i w spokoju będziesz mogła wykonać swą zemstę. W przeciwnym razie przestrzeczemy go przed tobą.

– To niecne... to niegodne! – wybuchła. – Hazdrubalu, czy podzielasz zdanie Ulama?... Powiedz, że nie... Prawda?

Hazdrubal rozłożył ręce.

– Nie moja rzecz sądzić słowa drugiego kapłana. To sprawa najdostojniejszego... Jego spytaj – odparł wymijająco.

– A ty, Sycheusie?

Sycheus wzniosł oczy do nieba:

– Ulam jest młody wiekiem, lecz rozumem przeszedł mnie starszego. Jeśli powiada, że powinnaś...

– Dość, dość! – krzyknęła. – Wszyscyście jednacy. Podeszliście mnie... Idźcie precz...

Ulam mrugnął chytrze na Hazdrubala.

– Ano, to chodźmy – rzekł z udaną dobrze obojętnością. – Nasza droga wiedzie w pobliżu zagrody Henryka Olbrzyma... Czemu nie mielibyśmy go odwiedzić.

Sycheus zaczął pakować zawiniątko, w którym mieli placki ryżowe i garść suszonych daktyli. Hazdrubał podszedł do pogrożonej w zadumie niewiasty, jak gdyby z zamiarem pożegnania jej. Spojrzała nań trochę nieprzytomnie, przeniosła wzrok na ironicznie uśmiechniętą twarz Ulama i nagle pojęła znaczenie słów o odwiedzeniu znienawidzonego wroga. Ostrzegą go. Oni do wszystkiego zdolni. Ostrzegą Henryka i zemsta wyślizgnie się z dłoni.

– Stój, Hazdrubalu!

– Gadaj tu z białogłową... Dopiero mówiła „Idź precz”, teraz znów „stój”...

– Zostańcie jeszcze... Wieczór zapada.

– Właśnie dlatego. Musimy jak najprędzej zanieść najdosłójniejszemu twą odpowiedź... odmowną.

– Zaczekajcie!

Widząc jej niezdecydowanie osądził Ulam, że odpowiedni moment nadszedł.

– Słuchaj, siostró – rzekł tonem ostrym, stanowczym. – Na pogawędki czasu nie mamy. Znamy tylko przyjaciół lub wrogów, nic trzeciego, nic pośredniego... Więc wybieraj: albo

przymierze z nami, walka z Othe i głowa Henryka Olbrzyma, albo...

Nie dokończył zdania, lecz grymas złowrogo zaciśniętych ust, błyskawice spojrzeń i wymowny ruch wyciągniętych przed siebie pięści, dopowiedziały reszty.

Nastała długa chwila niepewności, milczenia. Już Hazdru-bal-lysy czynił w myśli wyrzuty krewkiemu towarzyszowi, że sprawę niepotrzebnie na ostrzu miecza postawił, już Ulam miał na ustach słowa: „Nie chcesz?... Więc w drogę!... Obejdziemy się bez niej”... kiedy Sofonizba podniosła głowę na piersi zwieszoną i rzuciła głosem zrezygnowanym:

– Dobrze... Idę z wami.

– Bądź błogosławiona – zaczął Sycheus, lecz umilkł, szarpnięty przez młodego towarzysza za połą płaszcza.

Ulam chciał kwestię postawić jasno:

– Przyrzekasz być nam pomocną we wszelkich naszych poczynaniach, zmierzających do obalenia rządów tej rozpustnicy?

– Tak.

– I wykonasz każdy nasz rozkaz?

– Wykonam.

– Przysięgnij na Aszerę.

A kiedy wyrecytowała formułę straszliwej przysięgi, uściśnęła jej obie dłonie:

– Teraz ci wierzę, siostró i witam cię całym sercem.

– Lecz pomnijcie, że wzajem przyrzekliście mi wszelką pomoc w urzeczywistnieniu mego ślubu. Henryk Olbrzym musi zginąć z mej ręki.

– Zginie, ale wpierw usuniemy tamtą.

Tak rozmawiając zaczęli się zbierać do drogi. Ulam osiodłał cztery muły, na grzbiecie piątego umieścił mały tobolek z

rzeczami Sofonizby i nim złota tarcza słońca ugrzęzła w gęstwinie krzaków, porastających szczyty górskiego wału, małeńka karawana opuściła wybrzeże Zatoki Perel kierując się poprzez zarośnięte wąwozy w głąb wyspy.

Zapadła noc. Miliardy roziskrzonych gwiazd wykwitły na ciemnoszafirowej kopule nieba, wśród nich wielki Krzyż Południa. Spoza wierchów gór, otaczający di potężnym pierścieniem całą wyspę, wystrzelił rąbek krwawej łuny, którą wulkan zapalił i jak olbrzymią szkarłatną płachtę zawiesił nad śnieżnobiałym Tyrem, nad szmaragdową dżunglą. Ptaki, wyrwane ze snu jasnością i głuchymi grzmotami, dziwiły się wczesnej jutrzence i świergotały niespokojnie w zaroślach. Wielkie drapieżniki puszczy, przyczajone nad potokami, gdzie płochliwe antylopy zwykły o tej porze gasić pragnienie, zerkwały podejrzliwie ku niebu i zrezygnowane, głodne, chroniły się z złym pomrukiem w co największą gęstwinę leśną.

Powietrze przeszył nagle ostry krzyk nocnego, ptaka, cerbera dżungli. To ostrzeżenie. Ostrzeżenie dla swarliwej tłuszczy czworonogów i ptaków, tradycją stuleci uświęcony znak, że zbliża się pan i władca wszelakiego stworzenia... człowiek.

Jakoż na szczycie góry ukazał się człowiek stary wiekiem, lecz krzepki jeszcze niezgorzej. Szedł powoli, jakby zmęczony drogą lub ciężkim tobołem, jaki dźwigał na plecach; podpierał się włócznią, którą dzierżył w prawej ręce. Minąwszy krótką, odkrytą przestrzeń, dotarł do miejsca, gdzie zaczynał się długi pas karłowatych krzaków, odszukał szybko znajomą sobie snadź dobrze, choć dla niewtajemniczonego trudną do odnalezienia ścieżynę i tą drogą zaczął się opuszczać ku morzu.

Mniej więcej w połowie wysokości górskiego stoku drzełała pośród krzewów bananowych, pośród palm i figowców,

niewielka chata. W tę stronę skierował swe kroki nocny wędrowiec, a podszedłszy ku zamkniętym drzwiom rzucił z westchnieniem ulgi swe brzemię na ziemię... Postąpił naprzód trzy kroki i oniemiał ze zdziwienia. Drzwi domeczku były nie tylko zamknięte, ale z zewnątrz deską nieheblowaną zaparte.

– Więc pozostała na noc pod niebem? – spytał sam siebie i tknięty niedobrym przeczuciem wpadł szybko do wnętrza chaty. Chwilę później wybiegł stamtąd w niezwykłym podnieceniu. Zwinął dłonie w trąbkę przy ustach, zaczerpnął w starcze piersi ogromny haust powietrza i zaczął wołać donośnie:

- Sofo!... Hej, ha, Sofo... Sofo.
- Oho... Oho – przedrzeźniało echo.
- Sofo, gdzie ty?... Odezwij się... Sofo...

I znów góry odpowiedziały kpiącym: „oho”...

Starzec zbiegł pędem ku pobliskiemu trawnikowi.

– Tu ją pozostawiłem... Czyżby zasnęła? – mruczał, rozglądając się na wszystkie strony: Bez trudu znalazł wydeptane miejsce, gdzie ktoś niedawno odpoczywał i badając ślady wydał nagle głośny okrzyk zgrozy. Na tle murawy widniały liczne odciski kopyt mułów oraz stóp męskich obutych w sandały.

Przyklękając co kilka kroków, czytał w śladach, odgadywał ich znaczenie, starał się odtworzyć w myśli przebieg zajścia, jakie musiało tutaj mieć miejsce, kiedy on był nieobecny... niestety.

– Porwali ją! – szeptał drżącym z oburzenia głosem. – Ktoś wyszedł, zwęszył, że ona żyje; doniósł o tym... Przysłano zbirów... Łotry! Zaczekali, aż ja odejdę... Zaskoczyli ją, kiedy tu odpoczywała, związali, wsadzili na grzbiet muła i powieźli do miasta... Sofo... Sofo – wykrzyknął.

– Kto. Tak... Kto to uczynił – powtórzył starzec za echem.  
– Któżby, jak nie ona... przekłeta zdrajczyni, rozwiązała, podła trucicielka, Othe. Moja małżonka – dodał z bezmierną goryczą. – Pojęła w lot jak niebezpieczną rywalką może dla niej być ta bohaterska dziewczyna i pozbędzie się jej szybko, zmija najjadowitsza.

Usiadł na zwałonym pniu sędziwej palmy, co legła złamana ostatnim monsunem i skłopotaną głowę ukrył w dłoniach.

A wielkie liście, do strusich piór podobne, kołysały się z podmuchem ciepłego wiatru, szeleściły, szemrały, zdawały się szeptać:

– Jesteś bezsilny... Nie znaczysz nic!.. Jesteś bezsilny.

Starzec zerwał się na równe nogi szybko, sprężyście, jakby mu z dwadzieścia wiosen ubyło.

– Jestem bezsilny, by przeszkodzić zbrodni – zawołał zaciskając pięści – lecz znajdę w mej prawicy siły na tyle, by nóż w twym sercu utopić, wyrodna żono... Znajdę! Klnę się na boginię!

Złożywszy taką przysięgę objął pożegnalnym spojrzeniem uśpioną Zatokę Perel nad którą spędził lat z górą dziesięć, pożegnał drzewa, które sadił własną ręką, krzewy, warzywa, kwiaty i idąc pod górę, w stronę chaty, gdzie miał spędzić ostatnią noc, rzekł: .

– Jutro skoro świt wyruszam w drogę.

Fale oceanu nuciły swą odwieczną pieśń tęsknoty do wtóru liściom palm, szemrzącym papierowym głosem słowa pożegnania staremu człowiekowi, z którym żyły się dobrze w ciągu tylu dni, tygodni, miesięcy, a który miał odejść stąd na zawsze...

## Rozdział VII

### ZŁE WIEŚCI

Nerwowym krokiem przechadzała się Othe po wielkiej sali tronowej. Suffeta Boabas stał przy drzwiach w obłudnie pokornej pozycji dworskiego służalca, drugi suffeta Raes, ongiś wszechwładny faworyt, dziś ofiara straszego nałogu, przedwczesny starzec, spoglądał mętnym wzrokiem przed siebie, czekając z utęsknieniem chwili, kiedy będzie my wolno opuścić tę salę i powrócić do zacisznej komnaty, gdzie czekają nań omszałe gąsiorki z winem tyreńskim, na pozór lekkim, słodkawym, lecz jakże zdradliwym.

Królowa przystanęła nagle tuż przed Boabasem.

- Gdzie jest ten człowiek? – spytała krótko.
- Przyproważyłem go z sobą. Czeką w wartowni.
- Dawaj go tutaj. Sama z nim pogadam...
- Stanie się według twojej woli, najmiłościsz królowo.
- Tylko nóg nie żałuj, grubasie! – rzekła jeszcze, kiedy drzwi za sobą zamykała. Kiedy nie było nikogo ze świty tykała bez ceremonii obu suffetów, opuszczając przynależny im tytuł „o najdostojniejszy”.

– A cóż z tobą słyhać – zagadnęła, podchodząc z kolei do Raesa.

- Ze mną co słyhać? – szepnęła bezmyślnie.
- No tak, z tobą. Nikogo trzeciego nie ma w sali.
- Dziękuję... dobrze, najmiłościsz królowo...
- Och, to „najmiłościsz”!... Całkiem niepotrzebny dodatek, kiedy jesteśmy bez świadków... Inaczej mawiałeś niegdyś... – Przynęła się doń bliżej, przybrała swą ulubioną



pozę zalotnej kusicielki i ciągnęła dalej stłumionym głosem. – Zwałś mnie orchideą, której woń rozum odbiera i krew w żyłach na ukrop przemienia... Pomnisz?

Skinął głową obojętnie.

– Raz powiedziałeś mi: „Othe, ty jesteś jako wąż dusiciel. Twoja ofiara czuje zgubę nieuchronną, ale potędze twych spojrzeń nie może się oprzeć i jak urzeczona idzie ku tobie”... Pamiętasz?

– Tak – odparł cicho. W jego mętnych źrenicach zajaśniał krótki błysk przytomności, lecz przygasł szybko.

– Przez długi czas nazywałeś mnie drapieżną panterą... A któż by zliczył ile to razy obsypywałeś mnie tak pieśczośliwymi imionami, jakich by najtkliwszy kochanek nie wymyślił. Ale jedno twoje powiedzenie szczególnie mocno wryło mi się w pamięć... Rzekłeś wtedy... uważaj tylko i nie patrz w sufit; otóż rzekłeś, że warto stokroć śmierć ponieść za cenę jednej mej pieśczołoty. Pamiętasz?

– Owszem...

– Owszem, owszem... Masz odpowiedzieć wyraźnie.

Mogę ci zresztą przypomnieć, kiedy to miało miejsce. Byłam wtedy małżonką Hamilkara, syna Egota.

Na dźwięk tego imienia Raes drgnął i obejrzał się niespokojnie dokoła. Zauważyła to widać, bo podniosła głos umyślnie:

– Nie lękaj się, mój bohaterze!... Boabas wyszedł; sami jesteśmy, sami we dwoje, jak wówczas w ogrodzie, kiedy tłumaczyłeś mi, że dla naszego szczęścia, j e g o należy zgładzić. A gdy wstawiałam się za nim, powiedziałeś tak mniej więcej: „Człowiek, który zaznał rozkoszy twego uścisku może umrzeć bez żalu. Nie zmarnował największego daru bogów, jakim jest życie”... Tak powiedziałeś, przekonywałeś mnie długo i... ustąpiłam.

– Och! – jęknął, zasłaniając sobie oczy dłońmi. Paśła wzrok jego przerażeniem i wolno cedząc słowo po słowie, mówiła dalej:

– Truciznę miałeś przy sobie. Wsypaneś ją własną ręką do dzbana wody, jaki stał przy jego łożu. Patrzałam... Ręka ci drżała... zawahałeś się... pobladłeś, lecz nagle wzrok twój padł na moje obnażone ramię. Szarpnąłeś się w sobie, wysypaneś całą truciznę i zmieszałeś ją w wodzie. Pamiętasz? Uprosiłeś mnie potem, bym przed wieczerzą posoliła silnie te potrawy, które on będzie spożywał; zwłaszcza jego ulubione grzyby. He, he, he. To nie była sól, coś mi wręczył... Wąchałam... Jakieś pachnące korzenie starte na drobny miął... Usłuchałam cię, nie mogłam odmówić. Byłeś taki urodziwy, taki odważny... Hamilkar jadł z apetytem po całodziennych łowach w puszczy. Nie przeczuwał... biedak... Uśmiechał się do ciebie, Raesie...

– Dość!... Dość! – zaskomlał Raes łamiącym się głosem.

– Posłuchaj do końca... Czemu drżysz? Siedem lat, siedem długich lat minęło od tych wypadków... Z niego tylko kościec pozostał. Więc słuchaj. Przyszła pamiętna noc. Tajnym przejściem wprowadziłam cię do naszych królewskich komnat. Przytuleni do siebie leżeliśmy na miękkim kobiercu w sali, której środek zajmuje basen. Drzwi sypialni były szeroko otwarte jak zazwyczaj i widzieliśmy oboje ogromne łoże. On spał... Spał trochę niespokojnie, czasem stęknął, jakby go sny złe trapiły, niekiedy zachrapał i znów oddychał równo. Wodotrysk w basenie szemrał jednostajnie, czas płynął, strażę zmieniły się dwukrotnie przed pałacem, a on wciąż jeszcze spał... Wreszcie ocknął się, usiadł na łożu, mlaskając suchym, spieczonym językiem... Zastygliśmy w bezruchu. Lęk mi padł na duszę, lęk i żal. On był zawsze taki dobry dla mnie. Ogarnęła mnie przemożna chęć, by wpaść tam, stłuc przekłete

naczynie z trucizną, lub rzucić słowo ostrzeżenia... Przechyliłeś to. Zgniotłeś moją dłoń w stalowym uścisku. „Milcz” – syknąłeś mi w ucho... On pochylił się tymczasem, pochwycił dzban i ku spragnionym ustom go podniósł... Pił chciwie, długo... o, przeraźliwie długo. Potem osunął się na poduszki...

– Przestań, Othe!... Ja tego słuchać nie mogę...

– Musisz niedołągo!... Królowa ci rozkazuje!... Więc Hamilkar upadł na poduszki. Wnet pochwyciły go kurcze przedśmiertne. Jęczał słabym głosem, wił się w boleściach, wołał mnie po imieniu... Wydarłam ci się i pobiegłam tam. Upadłam na kolana, przy łożu, pochyliłam się nad nim, by mu wyznać wszystko i o przebaczenie błagać... Ale tyś czuwał. Nie wiem jak i kiedy znalazłeś się w sypialnej komnacie. Właśnie wypowiedziałam pierwsze słowa skruchy, gdy czyjaś dłoń usta mi zakryła. Ktoś objął mnie wpół od tyłu i dźwignął na nogi. Odwróciłam głowę, ujrzałam ciebie. Nie patrzyłeś na mnie, lecz na niego. Grymas okrutnej radości wykrzywił twoją piękną twarz: „Tego właśnie chciałem” – warknąłeś. – „Jest jak odrętwiały, krzyknąć ani powstać nie może, a słyszy i rozumie wszystko” – tu zwróciłeś się do Hamilkara. – „Zaprzysiągłem sobie, że zginiesz z mej ręki i dotrzymałem. Umrzesz nim słońce wzejdzie, lecz wprzód dowiesz się dlaczego cię na śmierć skazałem”. Nim zdołałam ochłonąć z przerażenia i grozy zrzuciłeś go na ziemię z łoża, wołając: „To moje miejsce od dzisiaj!”... I tam, przy mężu konającym wśród straszliwych męczarni duszy i ciała, wzięłeś mnie...

Raes zatkał sobie uszy rękami.

– Każ mnie zabić, znęcaj się nade mną, katuj, ale słuchać tego nie będę! – krzyknął z przebłyskiem rozpaczliwej energii. Lecz kiedy ujęła go za przegub jednej dłoni i odciągnęła od ucha, nie stawiał najmniejszego oporu.

– Teraz nawet słuchać nie chcesz, lękasz się słów, a przedtem nie bałeś się czynów. Tyś mnie pchnął na drogę występku. Byłam tylko zalotną, ambitną kobietą, żądną władzy, zaszczytów; samicą, spragnioną miłości, lecz nie zbrodniarką... Tyś ze mnie zbrodniarkę uczynił. Z trwogą, ale i z niemym podziwem patrzałam, jak wykonywałeś morderczy zamach, obmyślony uprzednio w najdrobniejszych szczegółach. Twoja odwaga, wyrachowana mściwość olśniły mnie. Byłeś dla mnie uosobieniem zła, przewrotności, bogiem mroków, wśród których lęgną się zbrodnie. Dlatego właśnie pokochałam cię jak nigdy nikogo, dlatego bez cienia bojaźni sypiałam czy z tobą, czy sama w tym łożu, w którym on zginął. Dlatego bez obawy patrzałam na martwe lica Hamilkara, na których bezmiar przedśmiertnych cierpień wrył niezatarte piętno i bez lęku chodziłam sama, nocną porą do jego grobu... Lecz jedno zło, jeden czyn zbrodniczy rodzi dalsze. Trzeba było wywalczyć dla ciebie drogę do najwyższej godności, trzeba było usunąć przeciwników. Dla jednego mojego uśmiechu lub obiecującego spojrzenia dworacy mordowali się wzajemnie; szło więc łatwo... Wtedy tyś stchórzył niespodzianie. Usunąłeś się w zacisze, zaczęłeś pić na umór, mnie samą na placu pozostawiając...

– To nieprawda, Othe... Nie stchórzyłem, ale nie mogłem ścierpieć tego, że mnie zdradzałaś...

– Nie czyniłam tego po kryjomu. Przeciwnie, chciałam, byś się o tym dowiedział. Chciałam, byś walczył o mnie, jak walczy lew o swoją samicę. Pragnęłam gorąco byś zabijał rywali i brał mnie siłą, jak wtedy. Zajście, jakie miało miejsce przy zgonie Hamilkara wryło mi się w duszę, stanowiło urok nieodparty, niezapomniany... chciałam by się powtórzyło, by się powtarzało choćby co wieczór. Było to coś godnego dziłkich zwierząt, lub bogów. Miłość i śmierć, wyuzdana

rozkosz, obok stygnący trup rywala... Ale tyś się na to zaledwie raz zdobył... W istocie byłeś tylko człowiekiem... słabym człowiekiem... ty tchórze!

– Nie jestem tchórzem.

– Jesteś, po trzykroć!... Nie wierzysz? Przekonam cię szybko. Słuchaj: kapłanki Astoreth nauczyły mnie wywoływać duchy. Wezwę teraz ducha Hamilkara, któregoś zamordował własną ręką...

Wyciągnęła ręce przed siebie i jęła wymawiać jakieś tajemnicze zaklęcia...

– Widzę go! – zaczęła przejmującym głosem. – Siedzi na moim łożu i woła: „wody”... Słyszysz?... O, znowu! Nie słyszysz jeszcze? Tak. Twój słuch stępiło wino i zapomnienie. Nie rozpamiętywałeś zapewne nigdy swej zbrodni; upijałeś się, by nie słyszeć tego, co ludzie zwą wyrzutami sumienia, a co jest tylko odbiciem popełnionych czynów... Słuchaj dobrze. On zsunął się z łoża. Szuka dzbana z wodą, którąś zatrul własnoręcznie. Idzie wolnym krokiem... Mija malachitowy basen. Tam wody, w bród, lecz on szuka dzbana... Wszedł do sąsiedniej komnaty... minął ją... idzie ku piątej wartowni... Tam nie ma nikogo o tej porze... Idzie tutaj!... Stąpa leciuteńko, lecz słyszeć można... Słyszysz?! – krzyknęła nagle... – Ręką szuka klamki w ciemnościach.

Raes błąd jak trup wpił oszalały z przerażenia wzrok w szerokie drzwi sali. Słyszał doskonale szelest, jakby dłoni suwanej po desce, tak jak przed chwilą słyszał wyraźny odgłos męskich kroków. Klamka ugięła się nagle i w półmroku stanęła jakaś roślina sylwetka...

– Jestem.

– Znikaj... Och!

– Ha, ha, ha, ha, ha!

Uniżony głos Boabasa, który stał w progu, mrozący krew w żyłach krzyk Raesa i histeryczny śmiech królowej, zabrzmiały zupełnie jednocześnie, a potem rozległ się głuchy łoskot upadającego na podłogę ciała.

Boabas nie miał zdumienia:

– Co mu się stało? – spytał. – Może także nabawił się trądu?

– Nie, nie – zaprzeczyła szybko. – Wystawiłam na próbę jego odwagę i jak widzisz... przegrał. Każ go zanieść do jego komnat.

Kiedy czterech służących wyniosło zemdlonego Raesa z sali, Othe zapytała o człowieka, który przyniósł nieoczekiwaną wiadomość.

– Czeka za drzwiami, najmiłościsz królowo.

– Niech wejdzie.

Boabas wprowadził do sali człowieka, odzianego w wyświechtany płaszcz, poprzez dziury którego przeświecało ciało. Biedak nie miał żadnej szaty pod spodem, a strzępy sandałów dopełniły obrazu nędzy.

Królowa nie omieszkała z tego powodu zrobić uszczypliwej uwagi:

– Niezbyt dbasz o swoich ludzi, o najdostojniejszy. Skóra, kości i łachmany na tym biedaku.

Suffeta, znany zresztą ze skąpstwa w całym Tyrze, zrobił minę niewiniątka:

– Właśnie z litości go przygarnąłem przed trzema dniami, najmiłościsz królowo... Nie zdołał się odżywić w tak krótkim czasie.

Kłamał niewątpliwie, sądząc choćby ze spojrzenia, jakiego nań rzucił wynędzniały sługa.

Othe przybrała minę i ton władczyni:

– Mniejsza z tym zresztą – rzekła, zamykając dyskusję na

ten temat wzgardliwym ruchem ręki. – Słuchaj no człowieku – zwróciła się do skulonego pod drzwiami nędzarza. – Będziesz odpowiadał na moje pytania zgodnie z prawdą... Rozumiesz?

– Ttttaak, najmiłościvsza królowo.

– Więc uważaj. Jaki rozkaz dał ci najdostojniejszy Boabas, twój pan i żywiciel...

– Najdostojniejszy Boabas polecił mi iść do zagrody Henryka... Olbrzyma i powiedzieć mu, że najmiłościvsza monarchini wzywa go natychmiast do pałacu...

– Powiedziałem ci także, byś go przywiódł bocznymi drogami. Nie opuszczaj żadnego szczegółu – upomniał go Boabas.

– Tak jest... Te słowa również wyrzekłeś, o najdostojniejszy.

– I co dalej – niecierpliwiła się Othe.

– Przybywszy na miejsce, zastałem dom z zewnątrz zamknięty. Przeszukałem cały ogród, winnicę, zaszedłem aż pod las, gdzie mnie zachód słońca zaskoczył. Wszystko na próżno. Jego nie było nigdzie.

– A żona?

– Eli-złotowłosej również nigdzie nie napotkałem.

– Uważ tylko, o najmiłościvsza królowo – wtrącił Boabas. – Córy Tobiasza-lekarza także nie spotkał, ani ich dzieci.

– Ani dzieci?

– Ani dzieci, najmiłościvsza królowo. Myślałem początkowo: zaczekam... Może Olbrzym wyruszył na łowy. Kazano mi pismo oddać, do jego rąk, oddam, choćby całą noc czekać przyszło... Lecz przyszło mi zaraz do głowy, że na niebezpieczną wyprawę nie zabierałby z sobą małżonki, a tym bardziej drobnych dzieci.

– Całkiem słusznie.

– Więc powróciłem do jego domku i rozpocząłem poszukiwania od „nowa. A nuż są jakieś drugie drzwi? Nuż śpią wewnątrz spokojnie, kiedy ja wiatru szukam w polach?... Lecz, nie... Drugiego wejścia nie odkryłem. Odsunąłem tedy zasuwę i z zapalonym łuczywem wszedłem do domu. Znów zawód. Wszędzie cisza. Nawet psa nie spotkałem, a wiadomo mi, iż Henryk Olbrzym trzyma kilka psów, które przedziwnych sztuk wyuczył. Na przykład idą tropem zwierzyny, przystają...

– Tego nie jestem ciekawa...

Człowieczyna zmieszał się niezmiernie, ale ujrawszy łagodny wzrok królowej, ciągnął dalej pewnym głosem:

– Nagle ktoś chwycił mnie za ramię: „Mam cię złodzieju!” – posłyszałem koło ucha. – Przede mną stał żołnierz, halabardnik, jak się później okazało najbliższy sąsiad Henryka Olbrzyma. Uważał mnie za złodzieja, który wdarł się do opuszczonego przez mieszkańców domostwa i chciał mnie gwałtem ciągnąć do bramy miasta, gdzie stoi straż. Tłumaczyłem mu, że jestem bez zajęcia, a zwiedziawszy się, iż Olbrzym poszukuje robotników zgłaszam swe usługi... Nie wierzył początkowo, lecz udobruchał się w końcu, kiedy domagałem się natarczywie, aby mi wskazał miejsce pobytu Henryka. „Nie znajdziesz go tak prędko”; mruknął, śmiejąc się rubasznie: „Ja go szukałem całe rano bezskutecznie. Przepadł jak kamień w wodę rzucony, a z nim jego małżonka, dzieci, nawet psy i muły. Drzwi domu były na oścież otwarte. Ja właśnie je zaparłem”. ...”Dokądże mógł wywędrować z całą rodziną i dobytkiem?” spytałem... Halabardnik zrobił chytrą minę. „Zrazu sądziliśmy – odparł – że przeniósł się do miasta, aby być bliżej roboty, którą teraz zawiaduje, ale właśnie dzisiaj miałem służbę przy robotnikach kopiących wały ochronne i nie widziałem go tam nigdzie”.



– To się zgadza – dorzucił znów Boabas. – Henryk Olbrzym nie stawiał się dziś po raz pierwszy.

– A robota przez to nie ucierpiała?

– Nie najmiłoścowsza królowo... Zastępca Henryka, budowniczy Masynissa prowadził dalej dzieło swego zwierzchnika. Rów, który będzie odprowadzał do jeziora lawę, zagrażającą dalszym winnicom, jest gotowy; wał ochronny na ukończeniu.

– To dobrze... Czego się jeszcze dowiedział od sąsiada Henryka Olbrzyma? – zwróciła się do sługi Boabasa.

– Już bardzo niewiele najmiłoścowsza królowo. Na odchodnym zagadnąłem go, gdzie się mógł jego zdaniem, podziąć zaginiony. Halabardnik zbywał mnie wzruszeniem ramion, a kiedy bardzo nalegałem, rzekł: „Mimo złożenia ofiary z trzydziestu trzech chłopiąt, mimo, że świecąc przykładem poświęcenia sama najmiłoścowsza królowa Baalowi swego jedynego synka oddała, góra płomieni nie umilkła... Kapłani żądają nowych ofiar dla przebłagania zagniewanego boga. Wielu mieszczan, posiadających nieletnich synków uciekło w puszcze, czy do osad rybackich, by tam przeczekać burzę i dzieci ocalić. Henryk Olbrzym także ma siedmioletniego syna. Być może, iż poszedł śladem innych obywateli”.

– Tak powiedział ów halabardnik?

– Klnę się na boginię, najmiłoścowsza królowo, że mówię szczerą prawdę.

– Wierzę ci. Poza tym nie dowiedziałeś się niczego?

– Niczego, najmiłość...

– Możesz odejść.

Zaledwie sługa Boabasa, pochylony do ziemi w unizonym ukłonie wycofał się z sali, do drzwi ktoś zakolał energicznie.

Othe wyraziła głośno swe zdziwienie:

– Cóż tam nowego o tej porze... Boabas... Wyjdź, zobacz.

Soffeta, którym się posługiwała jak pierwszym lepszym dworakiem, skrzywił się trochę, lecz rozkaz wykonał posłusznie.

– Przywódca wywiadowców – rzekł, powróciwszy do sali.

– Annabal?

– On sam.

– Niech wejdzie. Bez ważnej przyczyny nie ośmieliliby się mnie niepokoić o tej godzinie.

Przybyły, mały, korpulentny człowieczek o oczach ściganego złodzieja, czuł się najwyraźniej skrupowany obecnością Boabasa. Łypał wciąż niespokojnie wzrokiem w jego stronę i mówił szybko, nerwowo, z małymi przystankami.

– Najmiłościszka królowo... jest źle... czuję burzę... Kapłani Baala coś knują w związku z rocznicą śmierci Mścicielki, która wypada pojutrze... Co takiego, nie wiem jeszcze, ale że zgotują nam niespodziankę, za to ręczę... Z rybackich osad, z myśliwskich osiedli, z wiosek pasterzy stepowych ciągną całe karawany ludzi do Tyru. Już dziesięć razy obchodziliśmy rocznicę zgonu Mścicielki, lecz nigdy nie było takiego podniecenia, takich przygotowań jak w tym roku. Jutro połowa mieszkańców miasta ma wyruszyć do puszczy po kwiaty leśne i zieleń dla przybrania Placu Dwustu Kolumn... Po co to?

– A jak się zachowują kapłani?

– Kapłani, najmiłościszka królowo ruszają się jak mrówki. Wszędzie ich pełno. Krążą między ludem, wzywają wszystkich na pojutrzejsze święto, na uroczystość, która ma się tym razem rozpocząć o wschodzie słońca.

Dlaczego nie w południe, jak to w inne lata bywało? Coś

w tym jest. Sycheus-garbaty spędza całe dnie na stokach góry płomieni, bada lawę, zbiera jakieś kamyki i na wieczór wraca do pałacu arcykapłana. Dzisiaj pojechał wcześniej, zaledwie słońce połowę dziennej wędrówki odbyło. Był dziwnie wesoły i zadowolony. Emnoch-ostrowidz kieruje krecią robotą młodszych kapłanów, którzy krążą wśród ludu. Ulam ukrył się. Widziano go za miastem w towarzystwie Hazdubala-łysego oraz Sycheusa-lekarza. Jechali jakoby w kierunku Zatoki Perel, lecz szybko znikli z oczu memu człowiekowi. Po trzech dniach, tamtych dwóch znowu widziano, ale już bez Ulama. I dziwne. Było ich dwóch przecież, a przedtem trzech, mieli zaś z sobą pięć mułów.

Boabas nie mógł się powstrzymać od ironicznej uwagi:

– A muły miały głowy na dół zwieszane... Ejże Annabalu, czy twa godna zresztą pochwały gorliwość, nie prowadzi cię do przesady? Luźne muły wiozły zapewne juki podróżne.

– Otóż właśnie, że nie, o najdostojniejszy – wykrzyknął wywiadowca, podnosząc się na palce. – Tylko jedno zwierzę niosło na grzbiecie jakieś tłumoki, a cztery były... osiodłane. Dlaczego cztery siodła, skoro jeźdźców było najpierw trzech, a potem dwóch zaledwie? Tam coś tkwi.

– Tobie wszędzie coś tkwi – mruknął suffeta, wzruszając ramionami. – Zresztą jeśli ci się coś wydaje podejrzone, powinieneś to zbadać, przeniknąć tajemnicę, a nie męczyć najmiłościwszej królowej zagadkami.

– Daj pokój, o najdostojniejszy. Niechaj się Annabal wypowie swobodnie. Rada posłucham.

Wywiadowca ośmielony łaskawością władczyni, nie szczędził wymownego języka. Dobrą godzinę opowiadał o swych najświeższych spostrzeżeniach, snuł nader fantastyczne hipotezy, a znużywszy cierpliwych słuchaczy do ostatnich

granic, zrobił minę ogromnie tajemniczą i obwieścił najważniejszą nowinę, która była właściwym powodem jego spóźnionej wizyty.

– Henryk Olbrzym zniknął wraz z całą rodziną – rzekł, cedząc słowa powoluteńku i badając jakie wrażenie wiadomość zrobi na obecnych. Lecz spotkał go srogi zawód. Othe machnęła ręką lekceważąco, a Boabas parsknął urągliwym śmiechem:

– O tym wiedzieliśmy jeszcze przed południem – przesadził umyślnie.

Twarz Annabala przybrała wyraz takiego rozczarowania, że królowa roześmiała się serdecznie. Rychło jednak spoważniała, wiedząc dobrze, że drwiny, śmiech ironiczny, szyderstwo, mogą najwierniejszego sprzymierzeńca uczynić zawziętym wrogiem.

– Istotnie z tym się trochę spóźniłeś – rzekła – lecz nie winię cię bynajmniej. Całkiem przypadkowo dowiedzieliśmy się o tajemniczym zniknięciu Henryka Olbrzyma. Postanowiłam też tobie osobiście zlecić wyjaśnienie tej zagadki. Zajmij się tym i znalazłszy jakikolwiek trop, daj mi znać bezzwłocznie. Możesz prosić o posłuchanie o każdej porze... Aha... Jeszcze jedno... Czy Gryzoń nie dał żadnego znaku życia?

– Niestety żadnego, najmiłościwsza królowo... Dałbym rękę, że śledząc kapłanów Baala, wpadł w zastawioną zasadzkę i zginął... Moi ludzie są innego zdania. Jak wiemy Gryzoń przeniknął nieczne zamiary dziejopisa Salmona dzięki jego córce, którą uwiódł. Otóż Atossa zniknęła tego samego dnia, co Gryzoń. Stąd wnioskuję, iż...

– Atossa zniknęła także? – wykrzyknęła Othe budząc się nagle z posępnej zadumy. – Nic mi o tym nie mówiłeś... Nie! Tak dalej być nie może. Mniejsza o tę dziewczynę, ale chodzi

mi o ludzi oddanych tronowi... Gryzoń był najzdolniejszym wywiadowcą i zniknął. Dziś to samo spotkało Henryka Olbrzyma. Annabalu, daję ci trzy dni czasu do wyjaśnienia tych zagadek. Jeśli je wyjaśnisz w tym terminie otrzymasz nową godność, jeśli nie, będzie to dla mnie najlepszym znakiem, że nie jesteś w stanie podjąć zadania, jakie włożyłam na twoje barki.

– I znajdziemy zdolniejszego człowieka – dorzucił Boabas.

Annabal rozłożył ręce bezradnie.

– Najmiłościwsza królowo! – jęknął zrozpaczony. – Na co zdadzą się moje wysiłki, skoro nie mam dostępu do tych miejsc, które przede wszystkim należałoby przeszukać.

– To znaczy?

– Mam na myśli podziemną świątynię Baala i łączące się z nią krużganki pod chramem Astoreth.

Othe zmarszczyła brwi, a po chwili zerknęła w stronę Boabasa. Lecz chytry suffeta miał minę nieprzeniknioną i udawał, że patrzy na sufit.

– Dobrze – powiedziała po długim namyśle. – Dam ci mój glejt, ale użyj go dopiero w ostateczności. Raczej staraj się tam dostać po kryjomu. Skoro się naocznie przekonasz, że którykolwiek z zaginionych jest uwięziony w podziemiach, wystąpimy otwarcie. Wtedy nie ośmielę się podnosić krzyku z powodu świętokradztwa; teraz musimy jednak być oględni. Pojąłeś mnie?

– Tak jest najmiłościwsza królowo i jak zazwyczaj, schyliłam głowę przed twą mądrością.

Boabas, który uważał się za mistrza w komponowaniu pochlebstw, pozazdrościł wywiadowcy co dopiero wypowiedzianego zdania.

– Powracając jeszcze do twoich nowin o pojutrzejszej

uroczystości – zaczął słodko – chciałbym wiedzieć, co radzisz uczynić. Bo nie sztuka mając środki oraz odpowiednich ludzi po temu, przewidzieć grożące niebezpieczeństwo; sztuka je odwrócić... Cóż więc ma uczynić najmiłościmsza królowa? Ma zamknąć bramy miasta i nie wpuścić ludzi, którzy z odległych wsi tutaj śpieszą? Ma zakazać obchodu rocznicy tym razem lub uroczystość na inny dzień odłożyć? Mów, Annabalu!

Wywiadowca przeczuł haczyk.

– Najmiłościmsza królowa ma przy swym boku dwóch suffetów i Najwyższą Radę... Ci uczeni mężowie wiedzą lepiej niż ja prostak, co uczynić wypada... – odparł śmiało, a kiedy Othe przyznała mu słuszność, opuścił salę tronową, bijąc przed królową niskie pokłony.

Othe wsparła głowę na ręce.

– Och, jakże jestem zmęczona – westchnęła. Była to delikatna aluzja, by suffeta poszedł w ślady Annabala i opuścił także komnatę. Lecz Boabas nie kwapił się do odejścia.

– Korzystając z tego, że nareszcie jesteśmy sami – zaczął, podchodząc bliżej i zniżając głos – chciałbym cię zapytać, najmiłościmsza królowo, czy nie byłoby wskazanym wysłać kogoś do „Kotliny Powolnej Śmierci”.

Podniosła głowę i spojrzała nań pytająco:

– Któż ci tam znowu wszedł za skórę.

– Nie mnie, niestety – odparł z bolesnym uśmiechem. – Człowiek, o którym myślę raczej tobie zagraża, o najmiłościm...

– Kto? – rzuciła gwałtownie.

– Dido.

Othe pobladła silnie.

– Ona? Jak to? Czyżby się domyślała?

– Niestety... – rzekł tym samym tonem, co przedtem.

– Gadaj jasno, bez niedomówień.

– Troje ludzi, o najmiłościszka królowo, wiedziało do tej pory, że chłopczyk ofiarowany przedwczoraj Baalowi jako twój syn, był w rzeczywistości dzieckiem Didony i Eryka Olbrzyna. Ona sama uwierzyła bez trudu, że dla bezpieczeństwa jej dziecka, wysłałaś małego Eryka do osady łowców grubego zwierzka w puszczy. Ani jej przez myśl nie przyszło, iż chłopcem, nocą w lektyce wyniesionym jest twój synek, i że jej dziecko od przedwczoraj nie żyje. Płakała nawet nad twoją dolą...

– To wszystko wiem lepiej od ciebie – przerwała, tupiąc nogą niecierpliwie. – Mów, co wiesz o jej podejrzeniach. Nie nadużywaj mej cierpliwości.

– Dobrze. Będę mówił treściwie, chociaż należałoby...

– Gadajże już, człowieku!

Małe oczy suffety zabłyśły złowrogo, lecz kark, zgięty słuźalczo, przygiął się jeszcze mocniej.

– Kiedy poleciłaś mi, o najmiłościszka królowo wezwać na naradę Raesa, udałem się doń osobiście. Dochodząc do lewego skrzydła pałacu, posłyszałem przeraźliwy krzyk niewieści. Zaciekawiony pobiegłem w tę stronę i ujrzałem Dido, leżącą bez zmysłów na podłodze. „Co się tu dzieje” zagadnąłem służki, które ją cucily. Nie umiały mi dać odpowiedzi. One także przybiegły, zwabione jej okrzykiem, tylko uprzedziły mnie, mając krótszą drogę. Już chciałem odejść, kiedy Dido wymówiła imię swego synka. „Oddajcie mi moje dziecko, mordercy! Zabiliście mego Erika, zamieniliście go za pomiot tej przeklętej”. Przez usta mi nie przejdzie bluźnierstwo, jakie szalejąca niewiasta ośmieliła się wypowiedzieć. Zatkąłem jej usta i poleciłem ją zamknąć w narożnej komnacie. Zanim odszedłem, przysłuchiwałem się

przez chwilę i bez świadków jej złorzeczeniom. Co tu się ludzi, najmiłoścowsza królowo... Ona wie wszystko!

– Wie wszystko – powtórzyła Othe matowym głosem. Nagle przyskoczyła do Boabasa, wpiła mu wszystkie paznokcie w ramię i zasyczała zjadliwie. – Od kogo... ona wie?

– Najmiłoścowsza królowo. Tajemnicę przedwczorajszej ofiary zna tylko troje ludzi.

– Ty...

– To jeden – odparł spokojnie, wytrzymując przenikliwy wzrok królowej.

– Ja.

– To dwa...

– I?

– Czy o Shiramie zapomniiałaś, najmiłość...

– Prawda!... On także!

– Tak jest... Jego nie mogliśmy nie wtajemniczyć. On wiedział także o wszystkim. Poza tym nikt więcej. Aż dziś okazuje się, że wtajemniczonych jest więcej, że wie o tym osoba, której niczym się nie przekupi, bo rodzona matka nieżyjącego Erika... Trzeba by teraz dociec, kto z nas trojga zdradził jej tajemnicę. Czy trudno się domyślić, o najmiłoścowsza?

– Shiram!

– Sama rzekłaś, o najmiłoścowsza królowo.

– Więc on!

Zamyśliła się i dłuższą chwilę milczenie zapanowało w tronowej sali.

– Tak... tylko on to mógł uczynić – powiedziała wreszcie.

– On tylko. Ciebie o to nie posądzam.

– I słusznie rozumiesz, o najmiłoścowsza, gdyż pomijając zaufanie, na jakie sobie chyba dostatecznie zasłużyłem, ja nie



miałbym żadnego celu w tym, by ciebie zdradzać. Ja nie mógłbym się niczego spodziewać od kapłanów, prócz katowskiego miecza. I nie ja zabiegam o względy arcykapłana.

Othe zdawała się nie słyszeć ostatnich zdań Boabasa. Głowę jej zaprzętała troska, czy słów Didony nie słyszał ktoś z dworu. Suffeta podkreślił natychmiast, że zamknąwszy rozpaczącą niewiastę w narożnej komnacie, postawił przed drzwiami uzbrojonego wartownika i polecił mu pod karą śmierci nikogo nie wpuszczać.

– Toś dobrze zrobił. Jestem z ciebie zadowolona – rzekła.

– Słowa te cieszą mnie tym więcej, że rzadko z twych ust pochwałę słyszę, najmiłościwsza królowo... Ośmielę się przypomnieć teraz swój plan, który na początku wyłuszczyłem.

– Jaki plan? – spytała, trąc ręką czoło.

– Że Dido należałoby wysłać do „Kotliny Powolnej Śmierci”.

– Do kotliny trędowatych. Hm. Żal mi jej. Miałam w niej oddaną przyjaciółkę przez tyle lat. Może będzie milczała.

Boabas potrząsnął głową na znak, iż jest odmiennego zdania:

– Bardzo wątpię. Milczałaby w każdym innym wypadku, lecz nigdy, gdy chodzi o jej dziecko.

– Ha, jeśli sama szuka swej zguby.

– Możemy się o tym łatwo przekonać.

– Słusznie. Pójdziemy do niej.

– Teraz?

– Bezzwłocznie. Zmuszę ją też, by wyjawiała imię tego, kto jej zdradził tajemnicę małego Erika...

Boabas poruszył się niespokojnie.

– Czy w sercu mej władczyni zbudziły się jeszcze jakieś wątpliwości co do osoby sprawcy?

– Chodźmy – rzuciła krótko.

Minąwszy kilka sąsiadujących z sobą sal, ruszyli korytarem w kierunku lewego skrzydła gmachu. Gwarno tu było i liczne spojrzenia ściagały władczynię, idącą w towarzystwie wpływowego suffety, gdyż tę stronę pałacu zamieszkiwały prócz Raesa damy dworskie, do liczby których także i Dido należała. Boabas lubiał zaznaczać przy każdej sposobności, że jest z królową w jak najlepszych stosunkach. Pochylił się więc bliżej i długo coś mówił poufałym szeptem:

– Kto obejmie dowództwo gwardii po Shiramie. Czy uczyniłaś już wybór, o najmiłościwsza?... – spytał w końcu.

– Jeszcze nie – odparła i nie wiedzieć dlaczego przyszedł jej nagle na myśl Hamilkar; ów młokos, co wolał być prostym żołnierzem w gwardii, niż setnikiem przy halabardnikach. – W każdym razie względami na starszeństwo nie będę się teraz kierowała.

– To znaczy, że przecież masz już kogoś upatrzonego – mruknął pod nosem, starając się odgadnąć kto jest tym wybrańcem. – Jesteśmy na miejscu – obwieścił niebawem. Pchnął ciężkie drzwi i usunął się na bok, puszczając królową przed sobą. Znaleźli się w niewielkiej, czworobocznej izbie, która prócz szerokiej ławy żadnych innych sprzętów nie posiadała. Przez jedyne okno wlewało się mleczne światło księżycy i końcem wąskiej smugi dotykało nieruchomej sylwetki człowieka. Człowiek ten, w uniform halabardnika wciśnięty, siedział, a właściwie jakby leżał na samym końcu ławy, z głową opartą o ścianę.

– Ładny wartownik! – syknęła Othe, widząc, że żołnierz ani drgnął, choć Boabas drzwi zatrzasnął z łoskotem. – Każesz mu wyliczyć sto kijów.

– Tak się stanie, najmiłościvsza królowo... Sam przypilnuję wykonania kary.

– Snu mu zazdrosczę... Żeby się nie przebudzić do tej pory! Takiego nie trudno wywieść w pole – dodała, rzuciwszy niespokojne spojrzenie na przeciwległe drzwi.

Boabas zrozumiał znaczenie tych słów:

– Zasuwa zaparta – odparł. – Dido usnęła snadź także.

Potem przyskoczył do wartownika i szarpnął go silnie za ramię:

– Na karę śmierci zasłużyłeś, łotrze! – wrzasnął. – Po-  
dziękuj litościwej władczyni, że ci tylko sto plag nazn... – nie  
dokończył. Ujrzał nagle w karku żołnierza, który obsunął się  
do stóp Othe... cieniutki sztylet, zagłębiony w ciele do połowy.  
Czarna wstążka skrzepłej krwi pozlepiła włosy, spod hełmu  
wymykające się i ginęła pod kołnierzem opończy.

– Ranny?

– Zabity, najmiłościvsza królowo! Zimny już.

Tym samym przecuciem tknięci, rzucili się jednocześnie  
ku zapartej zasuwie, odciągnęli ją wspólnymi siłami i po-  
spiesznie odemknęli drzwi. Narożna komnata była pusta. Dido  
znikła. Nie mogła się ukryć, gdyż przestronna izba tonęła w  
poświacie miesiąca i każdy kąt widać było jak we dnie. Więc  
Dido, matka małego Eryka, który poniósł śmierć w płomie-  
niach, zamiast synka Othe, uciekła, a raczej...

– Uprowadzili ją! – jęknął Boabas i w bezsilnej wściekło-  
ści zaczął krążyć od okna do okna jak tygrys w klatce za-  
mknięty. Królowa zachowała więcej spokoju. Wsparta o fra-  
mugę drzwi patrzyła tępo przed siebie, rozważając w duchu,  
jakie następstwa mogą wyniknąć z ucieczki Didony. Otrząsała  
się z zadumy dopiero wtedy, gdy posłyszała naszczekiwanie  
psa. Pies ten, ostatni z licznej ongiś sfory ulubieńców Syfafa,

najwyższego wodza tyreńskiego przed najazdem Olbrzymów... zdziczał w swym osamotnieniu i trzymany na uwięzi ujadał zawzięcie na każdego, nawet na swą panią, nawet na pachołka, który mu jadło przynosił. Więc zdumiała się wielce, kiedy wściekle naszczekiwanie załamało się nagle i przeszło w radosny skowyt.

– To dziwne – wyszeptała, idąc ku oknu, z którego widok roztaczał się na lewą część królewskiego ogrodu. W świetle księżyca i w blaskach łuny wiszącej nad czynnym wciąż jeszcze wulkanem, ujrzała scenę, która dopełniła miary jej zdziwienia. Tyłem do okna zwrócony stał jakiś człowiek. Jego głowa przytuliła się do łba groźnego kundla, stojącego na tylnych łapach, jego dłonie gładziły gęstą sierść zwierzęcia, dając je serdeczną pieśczętą. Człowiek i pies, złączeni w przyjacielskim uścisku, rozmawiali coś z sobą półszepem. Przyciszony głos ludzki, przechodzący niekiedy w niemęski szloch, zlewał się w jedno z radosnym pomrukiem najwierniejszego przyjaciela człowieka i jakby odgłos dziwnej rozmowy, rozbrzmiewał w tę noc cichą...

Othe uczuła nieokreślone wzruszenie. Wylew czułości staro kundla, który ze wszystkimi bez wyjątku żył na wojennej stopie, zainteresował ją w tej chwili więcej niż pytanie, kim jest ów tajemniczy gość królewskiego ogrodu.

– Boabas – rzuciła półgłosem. – Spójrz tylko!...

Szeptem nakazała suffecie milczenie, lecz przy tej sposobności zwróciła się twarzą w stronę pokoju. Kiedy znów oknem wyjrzała, zagadkowa postać zniknęła już gdzieś, zapewne w cieniu figowców, które rozpleniły się gęsto w tej stronie ogrodu. Opuszczony pies targał bezowocnie grubym łańcuchem, aż znużony daremnymi wysiłkami przysiadł na tylnych łapach

i zaczął wyć. Bezbrzeżna tęsknota i smutek były w tym głosie, ale Othe wyczuła jeszcze inną nutę prócz tęsknoty. Było w tym wyciu coś, jak gdyby ponura przepowiednia nieszczęścia, jak gdyby rozpaczliwe ostrzeżenie.

– Tak... Ostrzeżenie! – wyszeptała, znajdując wreszcie trafne określenie. – Ostrzeżenie – powtórzyła głucho. – Czyżby dla mnie?

## Rozdział VIII

### **MEKA PRAGNIENIA**

Nucąc swawolną, żołnierską piosenkę, szła krokiem tancecznym od jednego pylonu do drugiego i zapalała kolejno przygotowane łuczywa pochodnią, którą dzierżyła w ręce. Ukończywszy to zajęcie, odłożyła pochodnię. Udawała, że się modli przed posągiem Baala, zerkając w rzeczywistości w stronę bocznej ściany świątyni, gdzie tuż obok wylotu podziemnego ganku jęczał więzień, przykuty żelazną obręczą do skały. Przykuty był w ten sposób, że palcami nóg sięgał kamiennej posadzki, a jeśli chciał stanąć na całych stopach, wówczas górna i wcale ostra krawędź obręczy, opasującej wpół jego klatkę piersiową, wżerała mu się w ciało i przenikliwy ból zmuszał go do ponownego przybrania niewygodnej pozycji. Krwawa pręga, biegnąca równolegle do żelaznego jarzma świadczyła jednak, iż niejednokrotnie zmęczenie wyczerpanych mięśni silniejsze było niż samozachowawczy lęk przed bólem... świadczyła także, że straszna tortura trwa już czas dłuższy.

Niewiasta, która przybyła do ponurego chramu Baala, nie zdradzała najmniejszego współczucia dla smutnej doli więźnia. Wręcz przeciwnie; ustawiwszy się naprzeciw pasła oczy widokiem jego męki, a piękna jej twarzyczka przybrała wyraz zimnego okrucieństwa i szatańskiej uciechy.

– Cierpisz? – spytała wreszcie, starając się nadać głosowi tony miękkie, cieplejsze.

Dźwignął głowę z wysiłkiem. Spod obwisłej strzechy skudlonych włosów zamigotał gorączkowy ogień oczu, wpadniętych głęboko w czaszkę, ukazała się twarz ziemista, do połowy rudawym zarostem pokryta i usta, silnie naprzód wysunięte. Między popękkanymi, spierzchniętymi wargami zabłysły duże, wystające jakby u gryzonia zęby i w ciszę, przerwana tylko sykaniem płonącego łuczywa... spłynął szept bolesny:

– Znowu przyszłaś mnie dręczyć?

– Ciebie dręczyć? Kochanku mój! Przyszłam ci dać nektar moich ust. Piłeś go już niegdyś. Piłeś pierwszy i jedyny... jak do tej pory. Przyszłam, aby ci przypomnieć smak mych pocałunków.

Tu jej głos, wibrujący początkowo tonami obłudnej namiętności, stał się ostry, szorstki, złowrogi.

– Należy ci się przecież gorąca wdzięczność za wszystko coś mi uczynił – zasyczała, zaciskając pięści... Podeszła bliżej z głową pochyloną nieco, z oczyma, które ziały śmiertelną nienawiścią, z kulkami, wzniesionymi jak do uderzenia. Opamiętała się jednak. Może dostrzegła rozpaczliwy błysk jego źrenic, może dojrzała nerwowy skurcz jego nieskrępowanych niczym rąk, które zwisały wzdłuż wychudzonego tułowia. Usiadła na posadzce, z podwiniętymi nogami, w odległości jakichś trzech kroków od skazańca. Zrobiła zatroskaną minkę młodej małżonki, która widzi, że przygotowane jej

dłońmi potrawy nie smakują mężowi.

– Tak mało jesz teraz – rzekła. Wskazała przy tym na drewnianą misę, ustawioną na podwyższeniu obok więźnia – Ułam mi wczoraj mówił, że podając ci nieświeże ryby, struję cię przedwcześnie i skrócę twoje męki. Przesada! Nie są świeże, to prawda, ale za to solę je uczciwie. Prawda?

Więzień drgnął nagle i ze wstrętem odwrócił głowę od misy. Wspomnienie ohydnej, nieludzko przesolonej stawy zwiększyło stokrotnie mękę pragnienia, mękę bodaj najgorszą ze wszystkich cierpień.

– Wody! – jęknął wbrew woli. Wbrew woli, gdyż wiedział, że wszystkiego raczej może oczekiwać od mściwej dziewczyny, niż łyka wody... Ach, woda! Ileż to razy przeklinał ulewę, która go przemoczyła do suchej nitki, ile razy złorzeczył jezioru, które musiał obchodzić i drogi nadkładać, spiesząc do domu po znoјnej pracy, ile razy wreszcie zazdrościł bogaczom, spijającym drogie wina, nektary dla biedaków niedostępne; biedacy piją tylko wodę. T y l k o!... Ha, ha, ha, ha! Cóż by dał teraz za to, by mógł się znaleźć przy brudnej kałuży. Upadłby na twarz, ucałowałby świętą ziemię i chleptałby ogromnymi haustami wodę, choćby była najcieplejsza, najbardziej brudna, choćby zanieczyszczona przez bydło wracające z pastwiska...

– Wody! – powtórzył, przymykając oczy. Ujrzał jezioro, zimne źródła, czyste jak kryształ, strumienie, potoki, rzeki całe... ujrzał w gorączkowym widzeniu błogosławiony deszcz, którym litościwe niebiosy karmiły spragnioną przyrodę. Czuł nawet posmak tego rozkosznego napoju, który nie ma sobie równego na ziemi.

Głos dziewczyny przekonał go o smutnej rzeczywistości.

– Przyniosłam garniec wody. Dam ci się napić, ale wprzód pogawędzimy z sobą.

Oszalałe spojrzenia rozpoczęły gorączkowe poszukiwania po całej świątyni. Wreszcie znalazły. Wpiły się w niewielki przedmiot, postawiony u stóp posągu Baala.

– Garniec gliniany – wyszeptały wargi. – Czy tylko nie próżny?

– Pragniesz?

– Och, jakże pragnę, Atosso!

– Przecież nazwałeś mnie znów po imieniu, mój piękny kochanku. Dobrze, że wiem, co ci język rozwiązuje. Od dzisiaj będę zawsze przychodziła z dzbanem...

– Atosso! Nie szydź! Bogi cię skazą za moją mękę. Zawiniłem, prawda... Skrzywdziłem cię... Naprawię krzywdę, lecz pozwól jeden łyk... Nie! To za dużo. Umarłbym ze szczęścia... Umoczn patyk jakiś i pozwól oblizać.

– Powiedziałeś: naprawię krzywdę... – ciągnęła z niewzruszonym spokojem. – Co masz na myśli, mój kochanku?

– Ożenię się z tobą... Mój dom twoim będzie, wszystko co...

– Ożenisz się, powiadasz... Wielkie to szczęście dla mnie, dostać takiego małżonka. Wielkie zaiste... – szydziła – ale jak się stąd wydostaniesz? Czy mniemasz, że kapłani cię wypuszczą? Jesteś skazany na śmierć. Więcej nawet: na powolne konanie przez rok cały.

– Atosso! Zechciej mnie tylko posłuchać. Wiem, przebrać tę obręcz nie zdołamy gołymi rękoma. Narzędzia też nie pomogą. Twoje rączki do pieszczoty tylko stworzone; moje zbyt osłabione cierpieniem.

– Więc?

– Słuchaj cierpliwie do końca. Jesteś teraz kapłanką bogini. Przez jej świątynię możesz wyjść na miasto. Idź do pałacu



królowej, powiedz tylko, iż ja tu jestem. Przybędą z pomocą. Uwolnią mnie i wówczas cię poślubię; Klnę się na Baala i Astoreth. Niechaj mnie trąd stoczy, jeśli nie pragnę szczerze dotrzymać przysięgi.

Na dźwięk słowa: „trąd” zadrżała silnie, lecz raz jeszcze opanowała wzburzenie.

– Tak... Czyniąc mi tak wielki zaszczyt, naprawisz krzywdę, jaką mnie wyrządziłeś... Aleś ty skrzywdził jeszcze kogoś więcej.

– Twego ojca – wyszeptał, zwieszając głowę pośepnie.

Skoczyła na równe nogi...

– Tak łotrze! – wykrzyknęła w głos. – Mego ojca. Czy uwolnisz go z Kotliny Powolnej Śmierci? Czy wyleczysz go z trądu, którego się tam zapewne już nabawił? Potrafisz? No, gadaj, psie przeklęty!

Pragnął się ratować za wszelką cenę...

– Może jednak nie nabawił się jeszcze choroby – zaczął nieśmiało i dodając sobie odwagi własnymi słowami, ciągnął dalej głosem już znacznie pewniejszym. – Trąd jest straszną chorobą i nieuleczalną. Nawet Tobiasz Olbrzym był wobec niego bezsilny. Ale sprawili bogowie, że trądem nie zarazisz się tak łatwo. Znałem wypadek, gdzie kochająca małżonka, nie chcąc rozłączać się z mężem, przez wiele lat tała jego chorobę i nawet zdrowe dzieci z nim miała.

Atossa jakby nie słyszała końcowych zdań więźnia, uchwyciła się słów, że trąd jest nieuleczalny.

– I ty, morderco, miałeś sumienie zdrowego człowieka zsyłać do Kotliny. Oby cię samego trąd stoczył! Obyś konał w mękach długie lata!... ty ty... – szukała w pamięci wyzwiska lub klątwy straszniejszej od tych wszystkich, jakimi go obrzucała zazwyczaj.

– Nie ja go zesłałem, Atosso – zaczął znów, skwapliwie wykorzystując przerwę. – Ja byłem tylko narzędziem. Kazano mi śledzić Magona, śledziłem, kazano twego ojca, czyniłem to samo, aby żyć, aby dzieciom nie dać zginąć z głodu.

– Dzieciom? A to mi nowina! Więc masz żonę i dzieci?

– Ależ nie, bynajmniej! – przeczył gwałtownie. – Mam na myśli dzieci mego brata, który zginął w czasie walki z Olbrzymami. Jeśli tedy jestem godzien kary ja, nędzarz, który, czy chciał, czy nie chciał, musiał spełniać rozkazy, co mówić o tych, którzy te rozkazy wydali. Wiesz najlepiej, iż o zesłaniu do Kotliny rozstrzyga Boabas. O tym wiesz, ale wobec niego jesteś słabą muchą. Boisz się go, a zemstę wywierasz na mnie, bezbronnym.

– Pociesz się, że tamtych także kara nie minie. Miecz zawisł nad ich głowami i spadnie niebawem.

– Cóż im zrobisz? Sądzisz może, że kapłani dla twoich pięknych oczu rozpoczną otwartą walkę z królową?

– Już ją rozpoczęli, choć nie dla moich oczu.

– Myślisz, że ci wierzę? – rzekł, pragnąc ją pociągnąć za język; odezwała się w nim żyłka szpiegowska, zakorzenione przyzwyczajenie, silniejsze nawet, niżli lęk o własną skórę.

– Możesz nie wierzyć. Jutro się przekonasz naocznie.

– Więc mnie wypuszczą?

– To nie, ale będziesz miał towarzyszy niedoli. O, tutaj w samym środku przywiąże się Othe. Po jednej stronie zawisnie Boabas, po drugiej Annabal; ty, jako mizerny pacholek pozostaniesz na szarym końcu, wraz z czeredą tobie podobnych...

– A gdzie zamierzasz umieścić Shirama?

– Shirama? Ha, ha, ha, ha! Głupcze! Przecież to nasz człowiek. On to właśnie namówił Othe, by inne dziecko zamiast swego syna Baalowi poświęcił, on ją dobił tym podstępem,

on wreszcie wykradł z pałacu Dido, która jutro o świcie da świadectwo prawdzie wobec tłumów zebranych na Placu Dwustu Kolumn. Ha, ha, ha, ha! Shiram ma zostać najwyższym wodzem po upadku Othe, a ten głupiec chciałby go widzieć wśród skazańców. Tak to tak, nędzny szpiegu. Gdybyś śledził Shirama, miał gubić niewinnego starca, który nieszkodliwie w papirusach wojował, byłbyś odkrył spisek, byłbyś się dobił najwyższych zaszczytów u twej krwiożerczej królowej i nie gniłbyś dzisiaj w podziemiach.

Wiadomość o zdradzie Shirama zaskoczyła więźnia. Nie miał powodu posądzać Atosę, że kłamie i przeświadczenie, iż w takiej chwili jest najzupełniej bezsilny, że nie może biec do pałacu, by ostrzec królową przed nowym niebezpieczeństwem, dopełniło miary jego cierpienia. A zawzięta dziewczyna zauważyła to snadź, bo uśmiechnęła się triumfalnie i ciągnęła dalej bez pośpiechu:

– Jutro wypada rocznica śmierci Mścicielki. Rocznicą śmierci, ha, ha, ha, ha! Ty chyba wiesz najlepiej, że ona nie zginęła bynajmniej. Podśluchałeś przecież rozmowę kapłanów, byłeś świadkiem opowiadania Sycheusa-lekarza. Otóż ona żyje. Przybyła znad Zatoki Pereł na wezwanie arcykapłana. Jest tutaj, ukrywa się w podziemiach, niezbyt daleko od tej świątyni. Lecz o świcie opuszcza swą kryjówkę. Stanie na cokole, na którym stał dotychczas jej marmurowy posąg. Kapłani rozpoczną modły. Dido wygłosi swe straszne oskarżenie przeciwko przewrotnej przyjaciółce, która jej dziecko wydarła. A wówczas, ha, ha, ha... posąg ożyje! Rozumiesz? Marmurowy posąg ożyje, zstąpi z podwyższenia, przemówi do zebranych tłumów i powiedzie je na plac Othe, do zwycięskiej walki... Choć myślę, że obejdzie się bez rozlewu krwi. Taki „cud”

wytrąci oręż z dłoni nawet gwardzistom, na śmierć i życie zaprzędanym królowej... Pierzchną w nieładzie, lub padłszy na twarz będą żebrali zmiłowania... ha, ha, ha, ha!

Słuchał chciwie, chociaż każde słowo było dlań nowym ciosem zatrutego sztyletu.

Atossa podniosła się z posadzki.

– Już odchodzisz? – spytał, widząc, że zmierza ku najbliższemu pylonowi z łopatką do gaszenia płomieni.

– Niestety, muszę cię już pożegnać, ubóstwiany kochanku. Przypomniałam sobie, iż mam jeszcze odwiedzić Mścicielkę – odparła i gasiła szybko jedno łuczywo po drugim... Niebawem tylko jedna wielka pochodnia rozwidniała mroki świątyni.

Pomimo zapadających ciemności ujrzał więzień dzban, stojący u podnóża wielkiego posągu.

– Obiecałaś mi łyk wody – przypomniał, niezbyt dowierzając, by mu zechciała tę przeogromną łaskę wyświadczyć... Zdumiał się też, kiedy Atossa zaklaskała w dłonie i podeszła w stronę posągu.

– Prawda! Chciałaś pić. Należy ci się, mój przyszły małżonku; słusznie ci się należy kilka łyków.

– Kilka łyków! – powtórzył w bezgranicznym zachwycie i umęczonymi oczami przylgnął do upragnionego dzbana...

Niosła go z wdziękiem na ramieniu, jak noszą wodę niewiasty tyreńskie, kiedy od źródła wracają. Niosła go powoli, przystając niemal co krok i pasąc wzrok tęsknym oczekiwaniem śmiertelnego wroga. Zatrzymała się w odległości kilku kroków, w tym samym miejscu mniej więcej, gdzie przed chwilą siedziała na posadzce i snuła swą opowieść.

– Atosso... Przynieś tabliczki. Mój dom z ogrodem zapiszę ci za ten dzbanek.

– Jakiś ty dobry! – pokpiwała. – Ja nie mam jednak tak dobrego serca, jak ty, mój nadobny kochanku. Uważam, że jeden łyk ci wystarczy. Reszta dla mnie.

Zdjęła dzban z ramienia, ku ustom go podniosła i piła z wolna, z przystankami, oblizując się i głośno dobroć napoju wychwalając:

– To mi woda – mlaskała. – Zimniejszej nigdy nie piłam. Aaaach!... No, dosyć – odsapnęła po chwili. – Teraz muszę sobie obmyć ręce. Osmoliły się od pochodni.

Obłąkanymi spojrzeniami liczył bezcenne krople ściekające z jej dłoni na posadzkę:

– Atosso! Dla mnie nic nie zostanie – zacharczał.

– Coś tam może zostanie – odparła i stanawszy na jednej nodze, wylała strugę wody na palce drugiej stopy.

– Atosso!

– Jeszcze druga noga.

– Atosso! Jeden łyk tylko – ryknął.

– Mówiłeś przedtem, że pragniesz oblizać patyk, który mam zamoczyć w wodzie. Niestety, nie widzę tutaj żadnego patyka. Będziesz się więc musiał obejść smakiem...

Jęknął rozpaczliwie, ujrawszy dno silnie przechylonego naczynia. Pozostała tam zaledwie maleńka odrobina upragnionego płynu, a ten niewielki haust sączył się kroplą za kroplą na ziemię.

– Zwilż choćby palec... Atosso! Miej litość! Kamienny posąg by się zlitował.

Naląła sobie na dłoń pozostałą resztkę wody i z okrzykiem:

– To nawet za dużo, dla ciebie, łotrze! – chlusnęła mu nią w twarz.

Potem parsknęła kaskadą szyderczego śmiechu, widząc jak spieczonym językiem zlizuje rzadkie krople, które upadły na

brodę i policzki. Z nadmiaru uciechy zaczęła wykonywać jakiś opętańczy taniec. Przeginała się wyuzdanie, pochylała w tył i naprzód na przemian, przebiegała tuż przed nosem przykutego do skały więźnia, składając usta do pocałunku.

A więzień jakby omdlał. Opadł na pięty, obręcz wpiła mu się w ciało, ręce zwisły nieruchomo wzdłuż bioder, oczy, które płonęły do tej pory gorączkowym ogniem, przygasły, nakryły się rzęsami. Tylko rytmiczny ruch żółtawej skóry na sterzących żebrach, świadczył, że skazaniec choć wyczerpany torturą ducha i ciała, oddycha jeszcze.

Dziewczyna ośmielona bezwładnością swej ofiary podbiegała coraz bliżej. W przelocie trzepnęła go dłonią w twarz, potem jęła go okładać coraz częściej, coraz mocniej.

W swym zacierzwieniu zapomniała o ostrożności. Nie dojrzała złowrogiego błysku w wąskich szparkach przymrużonych powiek, przeoczyła zdradziecki skurcz mięśni oraz drżenie wychudzonego ciała, które sprężyło się przed atakiem.

– Precz! – wrzasnęła nagle.

Targnęła się wstecz rozpaczliwie, lecz było już za późno. Przyczajone ramiona, osłabione mękami straszego więzienia, ale dość silne, by złamać opór kobiety, oplótły jej kibić w stalowym uścisku. Noga wyrzucona wprzód i zgięta w kolanie uwięziła jej nogi. Zarośnięta broda podrapała jej policzki w zwinnym ruchu i suche popękane wargi nakryły jej usta, do wydania okrzyku szeroko otwarte. Lecz nie był to pocałunek. Jego usta nie pragnęły pieśczoły; chciały pić, pić za wszelką cenę, pić obojętnie co... łaknęły szczypty wilgoci dla siebie, dla skołcałego języka, dla zaschłej krtani, dla całego organizmu trawionego gorączką... Więc ssał chciwie jej ślinę, lizał wargi, dziąsła, zęby; wepchnął swój jęzor w głąb jej jamy

ustnej, szukając tam śladów wody, niedawno wypitej.

Broniła się jeszcze, ale opór jej słabł z każdą sekundą. Pierś przyciśnięta do szerokiej obręczy żelaznej chwyciła z trudem powietrze; jego hausty zmniejszały się za każdym oddechem, doprowadzały niewystarczające ilości tlenu dla normalnej pracy serca, a co dopiero dla wytężonej akcji, jakiej wymagała rozpaczliwa i przeciągająca się walka.

Czuła wstrętny odór gnijących ryb, który buchał z jego ust, oblewał jej twarz całą, wżerał się przez nozdrza do mózgu, budząc świadomość obrzydzenia tak wielkiego, że wobec niego ginęła zdolność myślenia, zdolność obmyślenia jakiegoś podstępu, który by umożliwił wyrwanie się z tych obmierzłych kleszczy. A kleszcze trzymały mocno, pewnie, zwycięsko. Dawno już puściły kibić, wiążąc w zamian głowę, w której przerażone myśli rozpierzchły się bezładnie na kształt stada płochliwego ptactwa, napadniętego znienacka przez skrzydlatego drapieznika. Łapy-szpony owinięły sobie rozpuszczone włosy dokoła przegubu i wpiły się w pobladałą twarz dziewczyny. Brudne, wychudzone palce rozwarły przemocą jej szczęki i trzymały silnie, orząc do krwi długimi paznokciami delikatną skórę.

Atossa omdlała...

Przywrócił jej przytomność ból ostry, przenikliwy, piekielny. Ból tak silny, że przemógł nawet możliwość powtórnego omdlenia, choć to, co ujrzała, co odczuła, było zbyt potworne, aby zachować przytomność.

Więzień wygryzł kawał żywego mięsa z jej obnażonego ramienia i chleptał żarłocznie szkarłatną krew, tryskającą obficie z rany. Zaspakajał swe pragnienie, a zarazem zwierzęcą żądzę zemsty. Niekiedy odrywał ociekające wargi, podnosił głowę na wysokość twarzy swej ofiary, patrzył przez chwilę z

wyrazem radosnego okrucieństwa w jej oczy, od zgrozy oszalała, nacisnął silniej łapę, którą zakrył zbielałe usta, do wołania o pomoc wciąż się otwierające... i znowu brał krwawy odwet za długie męczarnie pragnienia.

Czas... srebrnobrody staruszek, mimo matuzalemowych lat biegł szybko, jak zawsze biegnie od wieków.

Ostatnia pochodnia zaskwierczała na pobliskim pylonie. Jej płomień skurczył się w sobie, przysiadł, zmalął jakby nie mógł dłużej patrzeć na ohydną scenę, której był świadkiem od początku.

Ciało umęczonej dziewczyny zwiotczało. Byłoby upadło jak kłoda na posadzkę, gdyby nie uścisk ramion oprawcy...

Opity krwią wampir odsapnął ciężko:

– Cięży mi – mruknął – ale nie puszczę! Nie sięgnę do ziemi. Jeszcze ma krwi dosyć.

Pochodnia strzeliła w górę małym jęzorem ognia. Był to jej przedśmiertny wysięk. Zgasła po chwili i czarne mroki zapanały niepodzielnie w ponurym chramie ponurego Baala.

Grobową ciszę zakłócał tylko świszczący oddech więźnia. Sapał jak miech z zadowolenia. Chociaż słodkawa, lepka krew była znacznie gorszym napojem od wody, ale w tych warunkach nie mógł grymasić. Ugasił pragnienie, nasycił głód delikatnym mięsem, nasycił przede wszystkim zemstę, lecz pełny żołądek, żywsze tętno serca i bliskość na pół obnażonego ciała dawnej kochanki zbudziły inną żądzę...

Świszczący oddech w ciemnościach stał się szybszy, głośniejszy, aż przeszedł w spazmatyczny jęk rozkoszy i rehot szatańskiego śmiechu.

Gdzieś w oddali zabrzmiał metaliczny dźwięk, jakby stal o stal lekko uderzyła.

Wampir nadstawił ucha...



Cisza... Cisza śmierci... To musiało być złudzenie. Któż by się tam włóczył w podziemiach o tej porze.

A jednak?...

Zaostrzona uwaga i wypróbowany słuch zarejestrowały echo ostrożnego stąpania człowieka.

– Idzie... Tutaj idzie!

Więzień przypomniał sobie nagle swą ofiarę. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że człowiek, który się zbliżał gankiem od podziemi wielkiej świątyni Astoreth, spostrzeże ohydny zbrodnię i przywoła kapłanów.

– Zabiją mnie! – szepnął.

Ta myśl nie przerażała go przedtem. Był na to przygotowany od chwili, kiedy ocknąwszy się z omdlenia ujrzał pochyłone nad sobą postacie zamaskowanych kapłanów, kiedy zobaczył oskarżycielkę... Atoszę i zrozumiał, że nie ujrzy już słońca. Potem, gdy przykuty wpół ciała do skały zaczął wlec pasmo godzin długich jak wieczność, gdy poznał mękę bezsenności, piekło udręczeń, gdy trawiony pragnieniem kąsał własne palce, by kilkoma kroplami krwi zwilżyć drewniane wargi, potem pragnął śmierci gorąco, jako wybawienia od cierpień. Lecz teraz był syty.

Zaspokoiwszy wszelkie żądze odczuł radość życia, pragnął żyć. Zaczął żałować tego, co uczynił niedawno. Zaczął żałować nie dlatego, żeby się w jego złym sercu obudziła skrucha, ale dlatego, że lękał się strasznego odwetu kapłanów.

– Pomszczą ją... Oooo, pomszczą!

Zdjęło go bezgraniczne przerażenie na myśl tortur, jakich mu nie poskąpią z pewnością.

– Powyrywają mi paznokcie... skórę będą darli małymi pałkami... oczy płynnym ołowiem zaleją... posadzą mnie w mrowisko... wsadzą do skrzyni, pełnej wygłodzonych szczurów...

– szeptał, dręcząc się wspomnieniami mąk, jakie proponowali poszczególni członkowie straszliwego sądu, póki stary arcykapłan nie rozstrzygnął sporów wyrokiem:

– Skazuję go na mękę pragnienia.

Odgłos ostrożnych kroków zbliżył się znacznie przez ten czas. Człowiek, który zmierzał w tę stronę, szedł boso.

– Boso? – mruknął więzień. – Więc nie kapłan, lecz sługa kapłański.

Myśli zaostrzone gorączką, podcięte biczem śmiertelnego strachu, rozpoczęły opętany taniec w czerepie czaszki: „Może ją ukryć? Ale gdzie? Jak? Jestem przykuty... Ruszyć się nie mogę... W ciemnościach jej nie dojrzy, lecz niezawodnie przyjdzie z pochodnią... Zwabić go i przegryźć mu żyły?... Za słabym na to... Raczej sobie żyły przegryzę... Umęczą. Będą się znęcali. A ona?... Ona stanie opodal i będzie drwiła, jak zazwyczaj. Żyje przecież... Żyć będzie, kiedy mnie stoczą robaki... Nie! Nie będzie! Moja śmierć, jej śmierć... Jej najpierw!... Najpierw!... Tak...”

Przyciągał bliżej bezwładne ciało, odrzucił w tył zwisającą głowę i drżącymi wargami zaczął muskać szyję, szukając głównej tętnicy.

Kroki zaszeleściły u wylotu przeciwległego ganku.

– Już przyszedł... Bez pochodni?

Ze zdumienia zapomniał wpić kły w gardło ofiary. Tajemniczy szmer miał w sobie coś niesamowitego.

Nagle myśl przeraźliwa sparaliżowała mózg, obezwładniła członki w okamgnieniu:

– Bogini!!! Nadeszła od swej świątyni... Przyszła się upomnieć o służkę... Wszak Atossa została jej kapłanką.

Nie podtrzymywane ciało dziewczyny obsunęło się do stóp zmartwiałego skazańca. Głowa jej uderzyła silnie o posadzkę, a ten łoskot zbudził drzemiące w mrokach echa. Z zakamarków

podziemnej świątyni, z pustych nisz, spoza bryły posągu Baala...  
zewsząd... wypełzły jakieś szmery, szepty, jęki, zawodzenia...

Znowu błyskawica myśli oświeciła ciemności chaosu, jaki w labiryncie komórek mózgowych zagościł od chwili:

– Oszalałem... Widzę, czego nie ma... uszy mam pełne dźwięków, choć wokół grobowe milczenie...

Jakby dla zaprzeczenia wysiłkom broniącego się przed szaleństwem rozumu, echo kroków odezwało się w samym środku świątyni.

– Kto tu?!... – zawył dziko, chcąc się przekonać, czy usłyszy własny głos, który z trudem przez gardziel przecisnął.

– Milcz, jeśli ci życie miłe! – odparł przyciszony głos męski.

Zachrobotwały krzemienie, potarte o siebie...

Iskra!

Króciuteńki błysk ognia, pogromcy mroków...

Jeden rzut wybałuszonych od trwogi oczu i okrzyk radosny:

– Annabal!...

– Milczże, człowiek... Czy chcesz nas obu zgubić?...

– Annabal!... Powiedz, że to ty... Powiedz, że nie śnię, nie gorączkuję, że cię widziałem naprawdę.

– Jesteś związany?

– Gorzej, bo przykuty żelazem do skały. Skrzesaż ognia!

Obłąd mnie ogarnia w tych przeklętych ciemnościach.

– Skrzesać? Jest li to bezpieczne?

– Tak, tak, przyjacielu. Prędszej. Pochodnię wzięłeś?

– Wziąłem. Nikogo nie ma w pobliżu? Nikt tu nie zagląda?

– Nie dręczże mnie! Wszystko ci powiem, tylko zapal światło.

Kiedy zapalona pochodnia obrzuciła migotliwymi blaskami wnętrze świątyni, Annabal wydał stłumiony okrzyk przestrochu.

– Któż to? – spytał, wskazując na obnażone ciało leżącej niewiasty.

W kilkunastu słowach wyjaśnił więzień co zaszło.

– Masz jakiś drąg, by podważyć moje okowy? – spytał w końcu.

Annabal obejrzał uważnie żelazny pierścień. Potrząsnął głową przecząco:

– Tu ani drąg nie pomoże, a ja mam tylko dwa sztylety. To dla kowala robota. Uwolnimy cię jutro. Przyjdziemy tu z Boabasem i gromadą ludzi. Zedrze się maskę z obłudnych gęb kapłańskich. Tak... Jutro to ma nastąpić.

– Człowieku!... – jęknął przerażony więzień. – Do jutra nie doczekam. Zabiją mnie tej nocy, skoro spostrzegą, co uczyniłem Atossie. Do jutra wy nie doczekacie... Mścicielka żyje... Jest tutaj... Ma stanąć na cokole... poprowadzi tłumy na pałac... wszystko przygotowane... Shiram zdra...

Urwał w pół słowa i przybrał chytrą minę:

– Ani słowa więcej nie powiem! – rzekł... póki mnie nie uwolnisz... Wiem dużo, wszystko. Jutro o świcie kapłani rozpoczną otwarty bój... wiem jak temu przeszkodzić... Ja jeden wiem...

– Zmyślasz, aby prędzej wolność odzyskać. Słuchaj przyjacielu. Gdybym miał narzędzia z sobą, nie wahałbym się ani chwili... Zrozum jednak, że z gołymi rękami, ani sztyletem...

– Więc wracaj zaraz po kowala – przerwał skazaniec... – Miał Boabas tu przyjść z gromadą, niech przyjdzie natychmiast... Annabalu! Na głowy moich dzieci się klnę, że życie królowej, twoje, nas wszystkich, zawisło na włosku. Ta noc

nam pozostała. Rano, będzie za późno!

Pomimo takiego zaklęcia pokiwał tamten głową na znak powątpiewania:

– Skąd wiesz o tym? Chyba kapłani nie zwierali ci się z swych zamiarów.

Więzień zacisnął dłonie rozpaczliwie, aż stawy zatrzeszczały...

– Nie lękali się, bym mógł uciec. Nie krępowali się przede mną. A zresztą ostatnie nowiny wiem od niej... – tu wskazał na Atosę.

– Hm, hm... Miałem ci ja także donosy, że na jutro się coś gotuje. Ostrzegałem nawet wczoraj królową, ale...

– A o Mścicielce słyszałeś?... Mścicielka żyje, rozumiesz. Żyła w zapomnieniu nad Zatoką Pereł...

– Mścicielka?... Sofo Hannonowa?...

– Przecież już raz mówiłem... Ma stanąć na cokole...

Annabal przymrużył oczy, skupiając się do głębokiego namysłu. Niesłychana wiadomość zakrawała na gorączkowe brednie człowieka, lecz wzmianka o Zatoce Pereł dziwnie uzupełniała lukę w doniesieniach innych podwładnych o tajemniczej wyprawie trzech kapłanów w tamte, zapomniane strony... o czterech siodłach.

– Nie masz ty gorączki?... – zagadnął, chwytając przegub dłoni więźnia... – Więc powiadasz, że Sofo żyje?

Skazaniec zaciął się nagle:

– Ani słowa więcej nie usłyszysz, jak ci to już raz oświadczyłem. Biegnij pędem do Boabasa i sprowadź go tutaj. Klnę się na boginię, że od tego zależy życie królowej. To moje ostatnie słowo – rzekł stanowczo i umilkł, nie odpowiadając na liczne zapytania zwierzchnika.

– Więc pójdę i jeszcze tej no...

W korytarzu łączącym podziemia obu świątyń rozległ się

szczęk oręża, jęki, szamotania, odgłosy zażartej walki.

– Co to?...

Annabal zmartwiał. Twarz jego stała się nagle szara jak popiół.

– Tam byli twoi ludzie?

– Taaaaak... Napadnięto ich.

– Więc biegnij z pomocą... Uciekaj! Zgaś pochodnię!

Skazaniec zachował większą przytomność umysłu. Annabal zgasił posłusznie pochodnię i z dobytym, sztyltem ruszył w kierunku odgłosów bójki, lecz przybył za późno. Przyczajony za węglem ganku patrzył przerażonymi oczyma na gromadę kapłanów i ich uzbrojonych sług. Stali nad, zwłokami dwóch wywiadowców królowej, naradzając się szeptem. Wreszcie ruszyli kupą w stronę świątyni.

Wypadki potoczyły się teraz z zawrotną szybkością. U stóp posągu Baala zasiadł sędziwy arcykapłan, wraz z dwunastoma kapłanami, by wydać surowy wyrok na świętokradcę Annabala, który wdarł się do podziemi i swą obecnością splugawił święte miejsca.

– Atossa daje znaki życia; obwieścił Sycheus-lekarz...

– O najdostojniejszy! – wykrzyknął Ulam, głosem dygocącym od gniewu i zgrozy. – Ten szakal pożerał ją żywcem! Całe ramię ma poszarpane jego kłami.

– Biedna dziewczyna... Będzie żyła, Sycheusie?

Lekarz podrapał się w ciemię:

– Może wyżyje, ale ręki bodaj czy nie straci.

– Tak młoda, kaleką zostanie.

– Przez własną nieostrożność... Do dzikich zwierząt nie należy się zbliżać, a zausznicy Othe, to przecież zwierzęta.

– O, łotr!... tygrys krwiożerczy!

– Powtarzam znowu... Wrzucić go do skrzyni napelnionej głodnymi szczurami.

– Albo wężom go cisnąć.

Arcykapłan wznosił w górę chudą, starczą dłoń.

– Nie pora dzisiaj – zaczął drżącym głosem – w przededniu wielkich wydarzeń zajmować się obmyśleniem sprawiedliwej kary dla świętokradcy i dla tamtego szpiega, który miary swych nieprawości dopełnił nową, straszliwą zbrodnią. Sądzić będziemy ich publicznie na Placu Dwustu Kolumn. Lud tyreński sam wyda, wyrok...

Na razie tu pozostaną. Związać im ręce na plecach i przykuć w taki sposób, by sobie z bliska w oczy patrzeć mogli, by się wzajem zębami mogli dosięgnąć, kiedy głód, czy pragnienie im wnętrzości zacznie szarpać... Taka jest moja wola...

Powiedziawszy te słowa powstał siwowłosy arcykapłan i ruchem ręki przyzwał do siebie Sycheusa-lekarza.

– Tobie – rzekł przyciszonym głosem – powierzam Atosę. Czuwaj nad nią i nie szczędź ani leków, ani swej wiedzy, aby jutro, skoro świt, mogła ustać na nogach. Będzie nam potrzebna, rozumiesz?

Wyraz zakłopotania odmalował się dobitnie w twarzy kapłana-znachora:

– Obawiam się, o najdostojniejszy – bąknął nieśmiało – duży wpływ krwi... osłabienie... przestrasz...

– Więc będzie leżała w lektyce, ale musisz sprawić, aby mogła mówić, by mogła odpowiadać na moje pytania.

– Byle nie długo, o najdostojniejszy. Odwar z ziół, jaki przygotować zamierzam, przywraca przytomność umysłu nawet tym, którzy stanęli na progu śmierci... ale... działa tylko kilka okamgnień.

– Miej go zatem w pogotowiu, a wlejesz jej w usta, kiedy ci dam znak umówiony i pomnij, że Atosę zleciłem twej opiece.

Emnoch-ostrowidz podszedł do rozmawiających.

– To znaleziono przy Annabalu – rzekł, wręczając arcykapłanowi skrawek papirusu.

Sycheus-lekarz nie tał zdumienia:

– Gdzież to ukrył? Przecież go przy mnie przeszukano.

– W sandale – brzmiała odpowiedź – pod stopą.

– To mi zdobycz! – zasyczał zjadliwie arcykapłan. – Kapłani Baala – dodał, podnosząc głos. – Oto rozkaz wypisany przez Boobasa. Stary truciciel, „suffeta” z laski „królowej” rozkazuje Annabalowi z polecenia Othe, aby przetrząsnął podziemia świątyni Baala/Astoreth.

Zebrani wydali zgodny okrzyk oburzenia. Młodzieńczy głos Ulama zapanował szybko nad ogólną wrzawą:

– Najdostojniejszy! Ja, kapłan Ulam wnoszę oskarżenie przeciwko Othe, która mianuje się być królową, o zbrodnię świętokradztwa. Ten dokument jest dowodem jej współwiny.

– Dobrze, synu... Czy powtórzysz swe oskarżenie jutro, wobec ludu zebranego u stóp posągu Mścicielki?

– Powtórzę.

– A zatem rozwiązuję dzisiejsze zebranie. Powróćcie do swoich zajęć, kapłani, a potem udajcie się na spoczynek... Kilka godzin snu należy się ciałom przed jutrem. Pomnijcie, bracia: dzień jutrzejszy rozpocznie nowy okres w dziejach Tyru. Żegnam was słowami: do szczęśliwego jutra.

– Do jutra, o najdostojniejszy! – powtórzyli chórem, zaciśniętymi pięściami i wymieniając między sobą znaczące spojrzenia.

– Do jutra – mruknął posępnie Annabal i pierwszy więzieli.

Podziemna świątynia opustoszała niebawem. Pozostała w niej tylko garść sług i oprawców, zajętych umocowaniem w



skalnym murze końców żelaznej półobróczy, która miała opasać ciało nowego skazańca, Annabala. Pozostał młody Ulam, który przez wrodzoną zawziętość chciał dopilnować roboty i pasł mściwie oczy widokiem niedoli oddanych służalców znieawidzonej władczyni Tyru.

## Rozdział IX

### ROCZNICA ŚMIERCI MŚCICIELKI

– Niech wejdzie – rzekła Othe głosem bardzo znudzonym.

Służebna niewiasta wyszła z sali, a po dłuższej chwili powróciła sama. Boabas podchwycił natychmiast jej znaczące spojrzenie i cofnął się ku drzwiom przeciwnym niby dyskretnie, w rzeczywistości zaś dobrze ucha nadstawiając.

– Co powiedział?

Służebna pochyliła się z pewną poufałością w stronę swej pani. Mimo najszczerzych chęci nie dosłyszał Boabas jej szeptu; jego ciekawość była wystawiona na ciężką próbę, zwłaszcza, kiedy padł głośny okrzyk królowej:

– Oszalał?!

Bezmiarne zdumienie i oburzenie walczyły o lepsze w intonacji tego okrzyku.

Służebna znowu coś zaszepiała.

– Nie! – wybuchła Othe. – Wobec tego nie chcę go widzieć. Słyszałaś? Nie chcę dziś w ogóle nikogo. Pragnę mieć choćby wieczór spokojny.

– Zwłaszcza, że to już nie wieczór, lecz noc głęboka – odpowiedział usłużny suffeta.

– Zwłaszcza, że to już noc – powtórzyła bezwiednie. – Niechaj przyjdzie jutro.

Po odejściu służebnej niewiasty opadła ciężko na rzeźbioną ławę, stojącą pod ścianą. Jakiś czas trwała cisza, aż zakłócił ją Boabas, którego ciekawość dosięgła zenitu. Podszedłszy bliżej rzekł takim tonem, jak gdyby wiedział o co chodzi, jakby znał przyczynę oburzenia królowej.

- Nazbyt wiele sobie pozwala ten Shiram.
- Tak – mruknęła w zamyśleniu.
- Jego zuchwałości przekracza wszelkie granice.
- To prawda.
- Żeby nachodzić najmiłoścowszą królową o takiej porze i żądać... żądać, ehm, hm, hm – zakaszał czym prędzej i krztusząc się dłuższą chwilę, zamaskował wcale zrećnie swą kłopotliwą sytuację.

Podstęp się udał. Wzburzona kobieta nie zorientowała się w położeniu i pozwoliła się pociągnąć za język.

- Sam powiedz. Jeszcze rozumiem to, że nie chciał mieć żadnych świadków rozmowy, ale żądać posłuchania w mej sypialnej komnacie.

– Więc tego zażądał?

Boabas pożałował swego wykrzyknika i dla odwrócenia uwagi od siebie, zaczął skwapliwie chwalić Othe:

- Niezmierzona jest twoja mądrość, o najmiłoścowszą królowo. Odmawiając Shiramowi posłuchania, dałaś mu poznać niejako, że wiesz o jego dwulicowości. Dla takich niepewnych ludzi w sam raz dobre są godziny publicznych posłuchań, jakich udzielasz każdego poranka w sali tronowej. Bo i cóż on zresztą chciał ci powiedzieć? Z kapłanami ma konszachty, przyczynił się do uświadomienia i do ucieczki Dido, a teraz dla zmylenia twych podejrzeń naznosił zapewne plotek, bajek, oszczerstw. Po stokroć dobrze uczyniłaś, o najmiłoścowszą, nie dając mu posłuchania, nie mówiąc już o zuchwalstwie, jakiego...

Gniewnym ruchem ręki wstrzymała rwący potok jego wymowy.

– Dość! Dostyc już, bo oszaleję! Odejdź... Chcę pozostać sama, jak to już powiedziałam.

A kiedy odszedł, zginając grzbiet w przesadnie niskich pokłonach, odetchnęła z ulgą:

– Nareszcie się go pozbyłam.

Pozbyła go się przede wszystkim dlatego, że pod wpływem pochwał, wygłoszonych z powodu odmówienia posłuchania Shiramowi, zbudziły się w jej sercu wątpliwości, czy Boabas jest rzeczywiście tak oddanym sługą tronu, za jakiego pragnie uchodzić.

– Ty się najwidoczniej lękasz owych plotek, bajek, oszczerstw Shirama i dlatego rada ich posłucham.

Upewniwszy się, że suffeta odszedł rzeczywiście do swoich komnat, kłaśnięciem w dłonie przyzwała służebną i poleciła jej sprowadzić natychmiast przywódcę gwardii pałacowej.

– Odszedł już, najmiłościvsza królowo.

– Już odszedł?

– Skoro mu obwieściłam twoją odmowę, zrobił zwrot na pięcie, zaśmiał się jakoś strasznie i...

– Sprowadź go tutaj zaraz. Nie mógł jeszcze wyjść z pałacu. Będzie zapewne w którejś wartowni.

Przeszły długie chwile oczekiwania; chwile bardzo długie, może godzina cała. Othe zniecierpliwiła się na dobre.

– Gdzieś się włóczyła? – zagadnęła ostro dziewczynę, która skuliła się pod drzwiami w oczekiwaniu spodziewanej nagany. – Gdzie Shiram? Gadaj!

– Najmiłościvsza królowo... Szukałam wszędzie.

– W wartowniach?

– We wszystkich.

- Przy wielkiej bramie?
- Byłam. Pytałam żołnierzy, którzy wartę trzymają.
- Co rzekli?
- Że wyszedł z pałacu... Raczej wybiegł niż wyszedł...

Setnik powiedział, że jeśli dasz rozkaz, to go odszuka w mieście, o najmiłoś...

– Nie trzeba – ucięła krótko, a w myśli dodała: – Jeszcze by sobie pomyślał, że mi zależy na jego donosach... Jutro się dowiem.

- Więc nie każesz go przywołać, o najmiłościwsza?
- Powiedziałam.
- Najmiłościwsza królowo!
- Czego chcesz? – spytała z odcieniem wyraźnego zniecierpliwienia.

- Lękam się czegoś... W mieście dziwny ruch.
- Jak zazwyczaj przed świętem.
- Ludzie się gromadzą, szepcą, radzą...

Othe wpadła od razu w doskonały humor.

– Otóż i Annabal ma rywala w twojej osobie. Zmartwi się biedaczysko.

– Najmiłościwsza królowo! Nie szydź z wiernej służki. Mówię, co oczy widzą, co echo uszom przyniesie... Wyczuwam jakieś niebezpieczeństwo. W nocy stary pies wył głucho., Nie mogłam spać. Wyjrzałam oknem. Najmiłościwsza królowo, ja nie kłamię. Widziałam na własne oczy: Jakiś człowiek podszedł do psa i bawił się z nim w najlepsze. A przecież on nie da nikomu dostąpić do siebie. Każdego pokąsa.

– Więc i tyś to widziała – szepnęła królowa w zamyśleniu. Stała jej w pamięci scena, jakiej była mimowolnym świadkiem, kiedy w narożnej komnacie pałacu szukała Dido-ny.

– Widziałam! – powtórzyła służebna, uradowana, że jej słowa znalazły wiarę u królowej. – A dzisiaj, kiedy zaniósłam twą odpowiedź Shiramowi, moje podejrzenia zbudziły się na nowo. Och, najmiłościvsza, gdybyś była słyszała jego śmiech.

– Śmiał się? Naprawdę? Po usłyszeniu odmowy?

– Lecz jak się śmiał! Drzę cała na wspomnienie. Potem spojrział na mnie zezem: „Jutro mi kazała przyjść twoja pani”? spytał, a kiedy przytaknęłam, odrzekł jakimś dziwnym, nieswoim głosem: „Dobrze. Przyjdę jutro na posłuchanie. Z orszakiem przyjdę”.

– Z orszakiem, powiedział?

– Przysięgam na boginię...

– Nie zaklinaj się. Wierzę ci. Hm. Z orszakiem. Cóż to może znaczyć... Hm... Eee, jutro się dowiem... Czy kąpiel gotowa?

– Gotowa, najmiłościvsza królowo.

– Więc możesz odejść. Idź spać, mój duży, dobry dziecaku, i bez obaw.

– Najmiłościvsza królowo – zaczęła tamta bardzo nieśmiało – czy mogę ucałować twe ręce?

A kiedy Othe, trochę zdziwiona tą prośbą przyzwoliła, dziewczyna przypadła jednym skokiem do jej kolan, przytuliła głowę i całując raz po raz jej dłonie, wybuchnęła serdecznym płaczem.

Te oznaki przywiązania i miłości wzruszyły królową; zaczęła gładzić puszyste włosy klęczącej, a potem, nachyliwszy się, musnęła ustami jej rozpalone czoło.

– Maleńka moja – rzekła tkliwie. – Nie jesteś ty chora? – Twoje ciało gorące.

– Nie, nie – zaprzeczyła żywo. – Zdrowa jestem zupełnie, tylko tak mi jakoś smutno przeogromnie. Tak smutno... jak gdybym... jak gdybym... – urwała zalękniona.

Othe przyszła jej z pomocą.

- Jak gdyby co, maleńka... Mów śmiało.
- Jak gdybym cię żegnała, najmiłościwsza pani, jak gdybym cię widziała po raz ostatni w życiu, och...
- Zamilcz!

Nastrój prysł momentalnie.

Othe dość już miała wszelkich wróżb, przeczuć, proroctw niewesołych, jakimi ją zewsząd częstowano w ostatnich czasach.

Toteż chłodno, niemal oziębłe pożegnała przywiązaną dziewczynę i udała się do swych komnat, gdzie ją otoczyły wieńcem inne służebne.

Oslabiona ciepłą kąpielą, wymasowana, namaszczona olejkami i do spoczynku nocnego przebrana, legła wreszcie na szkarłatnej pościeli olbrzymiego łoża, które najrzęczniejsi rzemieślnicy tyreńscy przed laty na miarę ciała Hansa Olbrzyma zbudowali i pokryli misterną płaskorzeźbą.

Lecz sen nie przychodził, nie spłynął na klejące się powieki, nie spowił znużonej głowy pajęczą tkaniną barwnych obrazów, rozkosznych widziadeł i marzeń sennych.

Kłębiły się w mózgu gorączkowe myśli, chaotyczne wspomnienia złych przepowiedni, doniesień zaniepokojonych wywiadowców, pomruków ludu, kapłańskich knowań. Niekiedy jawiła się skulona sylwetka wiernej dziewczyny, szmerły w uszach jej trwożliwe przestrogi i znów kotłował piekielny wir myśli, przeczuć, wspomnień.

Othe usiadła na łożu.

- Nie zasnę, choć ledwie się trzymam na nogach – zauważyła z zalem. Zaczęła przemyślać czym zająć uwagę, by odwrócić skutecznie koryto, którym biegł dotychczas rwący potok niespokojnych myśli. Odrzuciła z góry pomysł przywołania kogoś ze służby lub dworzan.

– Rozgadam się, roześlę i stracę całą noc, a na jutro chcę mieć umysł świeży i ciało wypoczęte – rozumowała.

Wreszcie znalazła coś odpowiedniego. Zeskoczyła z łoża, przebiegła przez całą długość komnaty i spomiędzy sterty tkanin, które kilka dni temu otrzymała w podarku od bogatych kupców tyreńskich, wydobyła ciężką, prostokątną płytę. Owa płyta, z jednej strony szorstka, pokryta grubą warstwą purpurowej farby, a z drugiej idealnie gładka, gładsza niż toń świętego jeziora w słoneczne dni, bezwietrzne... była ulubioną zabawką królowej, była zarazem dziełem wielkiego wynalazcy Sofrona-jednookiego.

Własnością tej płyty, czy raczej tafli było to, że najwierniej oddawała obraz przedmiotu lub osoby, przed nią postawionej. Do tej pory nie posiadali Tyreńczycy zwierciadeł w ścisłym tego słowa znaczeniu. Mężczyźni obchodzili się doskonale bez nich, a niewiasty radziły sobie jak mogły. Więc biedniejsze przeglądały się w czystych krynicach, w toni jeziora, albo udając pobożność spieszyły do świątyni Astoreth Opiekunki Miasta, gdzie środkowe wrota pokrywały podłużne blachy metalowe; małżonkom, siostram i córom wojowników służyły za lustra okrągłe tarcze ich mężów, braci czy ojców, a najbogatsze białogłowy posiadały na ten cel zrobione srebrne blachy, których powierzchnia na gładko wypolerowana, dawała jaki taki obraz rysów próżnej niewiasty.

Wszystkie te jednak namiastki prawdziwego zwierciadła były niczym, wobec niesłychanego odkrycia Sofrona...

– Cudowne, niezrównane!... – wołały dworki na wyścigi, przeglądając się skwapliwie w czarodziejskiej tafli, lecz Othe, której sprężysty umysł nie cierpiał nierozwiązanych zagadek, zapytała wynalazcę, w jaki sposób wszedł w posiadanie niezwykłej płyty.

Jednooki pokręcił się niespokojnie w miejscu.

– Najmiłościewsza królowo... – odparł, przyciśnięty do muru. – Są to dopiero pierwsze próby. Myślę, że w najbliższym czasie będę ci mógł przynieść tafelę tak wielką, że z bliska zobaczysz całą swą postać.

– Ale co to jest? Metal?

– Nie, najmiłościewsza królowo.

– Więc co?

– Przede wszystkim piasek.

– Piasek?! – zawołała w głos i zmarszczyła się dostojnie, sądząc, że uczony sobie z niej pokpiwa. – Dobrze – rzekła po chwili namysłu. – Każę ci tu przywieźć wóz piasku i w mych oczach skleisz z tego taką samą płytę.

Sofron aż przysiadł ze strachu. Zaczął się tłumaczyć, że nie każdy piasek nadaje się do tego celu, że prócz tego składnika potrzebne są także inne, że nadto niezbędny jest piec specjalnej budowy.

– Więc przyjdę do twojej pracowni. Tam masz wszystko pod ręką i będziesz mi mógł pokazać, jak się z piasku robi takie cuda.

– Dobrze, najmiłościewsza królowo – wykrztusił w końcu.

– Tylko czy twych oczu nie urazi widok mego ubóstwa... bo gdybym był bogaty, mógłbym zbudować piec trzy razy większy i...

– Rozumiem – przerwała mu domyślnie – potrzebujesz złota. Dostaniesz je, a gdy piec będzie gotów, dasz znać do pałacu.

I dotrzymała przyrzeczenia. Mimo narzekań skąpego z natury Boabasa, który między innymi godnościami także urząd skarbnika królewskiego piastował, kazała wypłacić Sofronowi dwie miary złotych sztabek... a tegoż dnia poleciła Annabalowi, by w największej tajemnicy otoczył szczególną opieką



dom uczonego wynalazcy i przeniknął tajemnicę wytwarzania czarodziejskich płyt z piasku.

I tej nocy pamiętnej, wyjmując lustrzaną taflę spod stosu tkanin, przypomniała sobie przebieg rozmowy z Sofronem, zanotowała w pamięci, że nazajutrz ma spytać Annabala o dotychczasowe wyniki jego „opieki”, a potem rozpoczęła ulubioną zabawę... Spomiędzy kilkunastu małych kolumn wybrała taką, która wysokością sięgała jej do szyi, oparła taflę o ciężki posążek Baala, który stał na szczycie kolumnienki i zbliżywszy twarz do gładkiej powierzchni, zaczęła przegląd własnej urody...

Oczy nie straciły dawnego blasku – stwierdziła z zadowoleniem, lecz dalsze spostrzeżenia nie były równie pomyślne. – Zmarszczka... od oka do skroni... tu druga... Na Aszerę! Czoło miałam zawsze gładkie, a dziś...

Wypiełgnowanymi starannie palcami rozcierała maleńkie bruzdy, które fałdowały niekiedy powierzchnię czoła. Wzdłuż policzków, z których ciepła kąpiel zmyła ślady malowidła i które były teraz przeraźliwie blade, zsunęła dłonie aż na brodę.

Tyję... Nie ma dwóch zdań, że tyję! – zauważyła bardzo kwaśno. – Tylko patrzeć, jak mi drugi podbródek urośnie.

Grymas niezadowolenia wywołał nowe zmarszczki.

Othe straciła resztki humoru. Przyjrzała się swemu odbiciu z profilu, naciągnęła skórę na policzkach, wreszcie rzekła z ciężkim westchnieniem:

Co się tu ludzić... Starzeję się... starzeję...

Opadła całym ciężarem na pobliski fotel. Ten sprzęt, jak wiele innych zawdzięczali Tyreńczycy Olbrzymom. Pod ich kierownictwem zdolni miejscowi rzemieślnicy fabrykowali najrozmaitsze przedmioty, przedtem na wyspie nieznanie, lecz

owe nowości nie przyjęły się ogólnie. Nie przyjęły się z powodu zajadłej nagonki zachowawczo usposobionych kapłanów i tylko pałac królowej oraz gmachy zajęte ongiś przez potężnych najeźdźców, były wyposażone w bojkotowane przez lud sprzęty.

I ten niewinny fotel skierował niewesołe myśli królowej w inną stronę.

– To byli jednak niegłupi ludzie – rzekła do siebie, zagłębiając się z przyjemnością w miękkie poduszki. – Gdyby nie opór kapłanów, można by było wyciągnąć wiele korzyści z ich pomysłów. Choćby broń palna.

Wsunęła dłoń pomiędzy poduszki oparcia i po chwili wyciągnęła stamtąd rewolwer. Rozpromieniła się nagle, pod wpływem fali rozkosznych wspomnień.

Rewolwer!

Otrzymała go od Henryka Olbrzyma tam, w swoim namiocie, rozpiętym nad brzegiem świętego jeziora, w czasie święta Aszery, „miłość rozdającej”. Wyludziła go właściwie dla kaprysu, dla zabawki, nie przeczuwając zupełnie, że ten mały, ciężki przedmiot ocali jej życie.

Czy tylko życie jej ocalił?... O nie! Stokroć więcej uczynił. Uczynił ją bohaterką, przewyższającą sławą nawet tajemniczą Mścicielkę, zrobił z niej bożyszcze ludu na całe lata, utwierdził jej mocno wówczas niepewne stanowisko.

Dla ambitnej znaczyło to więcej, niż ocalenie życia.

– To był najpiękniejszy dzień w moim życiu – wyszeptala i znów snuła barwne przedziwo wspomnień.

Hamilkar, syn Egota, wódz powstańców, odurzony wonią zdradzieckiego kadzidła i oszołomiony pieszczotami pięknej kusicielki przystawał na wszystko. Potakiwał machinalnie wywodom chytrego Sycheusa, który przy pomocy innych dostojników spisywał akt „Świętego przymierza”.

Potem miała miejsce właściwa uroczystość...

Nieprzebrane morze głów ludzkich zalało Plac Dwustu Kolumn. Na stopniach świątyni ustawiły się dwie lub trzy setki najlepszego żołnierza, a u stóp kolumn, tuż przed świętym chramem stał tron – lektyka.

(...Gdzieś coś zaszeleściło ledwie dosłyszalnie, lecz rozmazana królowa nie zwróciła na to uwagi. Pławiąc się we wspomnieniach, siedziała z zamkniętymi szczelnie oczami, lub spała, przeżywając we śnie dalszy ciąg owych zdarzeń pamiętnych...)

Więc przed świątynią ustawiono tron, bogato kwiatami przybrany. Othe, rozpromieniona, szczęśliwa, spoglądała z tej wysokości na swoje miasto, na lud, który kilka godzin temu śmiercią jej groził, a teraz płaszczył się u podnóża tronu... patrzyła na karne szeregi powstańców, zbratane z hufcami wojsk na cudzoziemską modłę przez Olbrzymów wyćwiczonych, patrzyła na mnogi zastęp dostojników, w bogate szaty odzianych i szukała wzrokiem dwóch wybrańców...

Stali po obu bokach jej olbrzymiej lektyki.

Z jednej strony Hamilkar, wciąż jeszcze niezupełnie przytomny, przyszyły małżonek, narzucony wolą rozmiłowanego w nim ludu, przyszyła ofiara swej żony i rywala. Ach, po co go wspominać! Tu zginął, w tejże komnacie.

– Nie jam cię zabiła – spłynęło cichuteńko z warg lekko rozchylonych.

– Aleś przyzwoliła i pomocną byłaś mordercy – odparł głos sumienia.

Nie! Lepiej o tym nie myśleć wcale. Przyzwoliła, to prawda; była pomocną mordercy, także trudno zaprzeczyć, ale czyż Hamilkar, zresztą najlepszy człowiek, najczulszy małżonek, nie odebrał jej tego, co najwięcej ceniła? Czyż nie zagarnął lwiej części sławy i miłości ludu?

Dlatego zginął!

(...Znowu szelest. Jedna z wzorzystych makat, zawieszonych na ścianie, do której królowa tyłem siedziała, zafalowała silnie...)

A w mózgu śpiącej otwierały się kolejno coraz to nowe szufladki pamięci i malownicza wstęga wspomnień rozwijała się nieprzerwanie...

Więc z drugiej strony stał on... Raes, syn Sycheusa, przyszedł kochanek, który zdawał się być człowiekiem silnym, lecz załamał się po spełnieniu pierwszej zbrodni... Stał wsparty na łokciu o drążek lektyki, mierząc nienawistnym wzrokiem Hamilkara.

Donośnym głosem czytał Sycheus treść „Świętego przymerza”, a kiedy skończył, rozległy się okrzyki radości.

Wiwatom nie było końca. Tłumy wołały: „Niech żyje Hamilkar”, „Niech żyje Othe, pierwsza królowa Tyru”, potem znów: „Niech żyje Hamilkar, nasz wódz, nasz bohater”... O tak! Najczęściej rozbrzmiewały okrzyki na cześć syna Egota i to było pierwszą zapowiedzią jego zguby...

(...Spoza makaty wysunęła się chuda, koścista dłoń, uzbrojona w sztylet...).

To prawda. Hamilkara najgoręcej pozdrawiano okrzykami na Placu Dwustu Kolumn w czasie święta zbratania wrogich dotychczas zastępów.

Nagle zadudniły ciężkie kroki żołnierskie na kamiennych płytach...

Okrzyk wściekłości wyrwał się z płuc setek tysięcy, dziesiątek tysięcy gardzieli.

Othe się obejrzała i ujrzała Olbrzyma imieniem Müller, otoczonego garstką halabardników. Jednym rzutem oka stwierdziła, że jest związany, bezbronny, zrezygnowany; musiał pojąć, że nadeszła nieunikniona chwila, która nikogo nie

minie prędzej, czy później; musiał być przygotowany na śmierć w mękach...

(...Brzeg tkaniny na ścianie odgiął się na bok, ukazując sylwetkę siwobrodego mężczyzny. Intruz obrzucił komnatę niespokojnymi spojrzeniami, zatrzymał wzrok dłużej na łożu, drgnął nerwowo, widząc, że jest próżne, aż wreszcie zobaczył ponad oparciem fotela łunę płomiennych włosów i czajonym krokiem ruszył w tę stronę...)

A dusza Othe płynęła wciąż jeszcze na złocistych skrzydłach marzeń sennych.

Tłum zawył dziko. Ponad ryki tłumu wybiły się piskliwe głosy niewieście:

– Przez nich zginęło moich dwóch syneczków! Tu, na stopniach świątyni znalazłam ich ciała...

– Ja brata straciłam!... Ja męża!... Ja syna!

– Śmierć Olbrzymom! Dajcie go nam! Na sztuki drzeć łotra!

– Hej bracia... sami go weźmy!

Zakołysały się fale głów. Jak lawina, jak trąba powietrzna, która porywa z sobą każdą przeszkodę, runęły zbite szeregi pospólstwa w stronę schodów.

Hamilkar skoczył naprzeciw. Rzucił twardy rozkaz. Pochyliły się długie orężę halabardników w stronę tłumów. Stojące po bokach oddziały wżarły się w ciżbę parą klinów.

Wówczas Othe powstała z rozjaśnioną twarzą. Oto nadarzyła się jedyna sposobność do podbicia serc tłumów. Hamilkar osłonił jeńca, ona zaś... wyda go na łup ludowi.

– Wydaję tego ciemiężcę w wasze ręce! – wołała co siły w płucach: – Postąpcie z nim tak, jak na to zasłużył!

Ale tu stała się rzecz nieoczekiwana przez nikogo. Więzień dawno już oswobodził swe ręce z więzów. Nie zrzucił postronków

wcześniej, by nie założono mu ich powtórnie. Teraz czując nieuchronną zgubę, postanowił drogo sprzedać życie, a przede wszystkim ukarać zdrajczynię...

Tygrysim susem obalił jednego wartownika, wyrwał mu halabardę i zaczął siać dokoła straszliwe spustoszenie. Szczupła eskorta legła pokotem, nim kto zdołał zastawić się orężem przed szalonymi ciosami. Padł Sycheus, który własną pierś chciał zasłonić królową, runął na wznak Raes, kopnięty w brzuch potężnym butem, droga do tronu była wolna, oczyszczona z obrońców. Tłum oniemiał, zastygł w oczekiwaniu. Hamilkar był zbyt daleko, by pospieszyć z skuteczną pomocą. Życie młodej władczyni zawisło na włosku.

Lecz Othe nie drgnęła. Czują w dłoni zimne żelazo rewolweru, który ukryła w fałdach luźnej szaty. Bez zmrużenia powiek czekała ataku.

Olbrzym przystanął, podniósł ciężkie drzewce, zamachnął się, przegiął w tył korpus.

Jeszcze trzy... dwa okamgnienia...

Błyskawicznym ruchem wyciągnęła rękę w stronę napastnika. W dłoni trzymała coś, co błysło w oślepiających promieniach słońca. Szarpnęła cyngiel... O bogini! Cyngiel się nie ugiał! Pozostał twardy, oporny, nie do przełamania... Co to? Broń palna zdradziła? Przeklęte narzędzie Olbrzymów nie chciało walczyć przeciwko swym panom?

Bogini ratuj! Śmierć! Śmierć! Śmierć!

Powieki zawarły się szczelniej jeszcze, zacisnęły się aż do bólu. W uszach świst... zapewne spadającej halabardy... Już koniec... Nie? Śmiech! Czyjś śmiech zjadliwie szyderycy, wzgardliwy, pełen nienawistnej mściwości. Jakiś łoskot... Może odrzuconej halabardy...

Powieki drgnęły leciutko.

Napastnik dobył sztyletu, podniósł go wysoko w górę, drugą ręką uchwycił kobietę za kark...

– Zginiesz! – zasyczał głos chrapliwy, starczy. – Zginiesz marnie, jak na to zasłużyłaś cudzołożnico, zdrabczyni, trucielko!

Gdzie tłumy, wojsko, Hamilkar???

Z zaschłej gardzieli wydobył się przeraźliwy okrzyk:

– Hamilkar! Hamilkar!

Znów głos syczący, dyszący żądzą zemsty:

– Strułaś go, nędznico... Umarłych wołasz?

Zlepione powieki odskoczyły od siebie jak piłki. Więc to nie Plac Dwustu Kolumn, lecz sypialna komnata. Więc to wszystko snem było, nie jawą. O bogini! Dzięki ci!

A jednak uścisk na szyi nie zginął. Trwał dalej spychając głowę coraz niżej, coraz niżej, bliżej ku falującym piersiom.

Rozpaczliwym wysiłkiem zwinęła się w bok, spojrzenie jednego oka padło na gładką taflę, dzieło uczonego Sofrona. Szklista płyta nie zawiodła jak broń palna w sennym widzeniu; oddała wiernie obraz tego, na co patrzyło jej wielkie, zimne i martwe oko.

Othe ujrzała nagle przed sobą starczą twarz, wykrzywioną ohydny grymasem. Te rysy nie były jej obce, lecz nie pora na przypomnienia. W mózgu krzyczała jedna jedyna myśl przeraźliwie trzeźwa, że ten człowiek, który się tutaj wdarł nocną porą... to wróg, którego zgładzić należy. „Moja śmierć albo jego!” skryształizował się niezbity pewnik i już wolna jej dłoń jęła się skradać wężowym ruchem ku zagłębieniu między poduszkami, gdzie spoczywał zbawczy rewolwer... Broń palna! Zawiodła w sennym widzeniu, lecz na jawie jest zawsze pewna, niezawodna. Wszak to wynalazek Olbrzymów.

Nie podnosząc lufy na wysokość oka, wycelowała z kolan w twarz napastnika i targnęła cynglem.

Huk wstrząsnął ciszą, zburzył ją ze szczętem. Rozległ się metaliczny dźwięk i czarowne zwierciadło rozpadło się na dziesiątki kawałków. Sztylet, wypuszczony z dłoni wzniesionej do ciosu, przebił kobierzec i utkwił w posadzce. Niedośzły zabójca osłupiał na moment, rozluźnił uścisk drugiej ręki. Othe wykorzystwała sposobność. Skoczyła na równe nogi i odwróciła się na pięcie. Krzyknęła.

Krzyknęła nie dlatego, że dopiero teraz poznała swój błąd, że zrozumiała, iż mierzyła nie w napastnika, lecz w jego niewinne odbicie w zwierciadle. Wydała głośny okrzyk, gdyż poznała intruza.

– Syfax!

– Jam jest – odparł grobowym głosem. – Stary pies mnie powitał radosnym skomleniem, a ubóstwiana niegdyś małżonka... kulą.

– A tyś nie przyszedł tutaj, aby mnie zabić?

– I zginiesz!

Gdzieś daleko trzasnęły drzwi pchnięte silną ręką. Ten odgłos nie uszedł uwagi królowej.

– Przyszedłeś mnie zabić – powtórzyła, podnosząc głos umyślnie. – Cóż ci takiego wyrządziłam, Syfaxie? Czy nie poleciłam ci zwrócić wolności, czy nie kazałam zwolnić cię od wszelkich danin, świadczeń, podatków?

Tętent szybkich kroków rozległ się wyraźnie. Starzec usłyszał go także.

– Nie pora na pogawędkę – warknął, podchodząc bliżej.

Ujrzała złowrogi błysk jego oczu i drapieżny skurcz palców, zgiętych na kształt sępich szponów. Obejrzała się w stronę fotela, gdzie pozostał rewolwer. Nie! To było niemożliwe. Zanim by go dosięgła, wpadłaby wprost w mordercze objęcia



przeciwnika. Raczej należało szukać ocalenia w ucieczce i u nadbiegającej odsieczy.

Starzec rzucił się naprzód. Chciała odskoczyć w bok, lecz zaczęła nogą o krawędź podpiętego dywanu. Nim zdołała odzyskać równowagę, Syfax runął na nią jak burza i na znak obalił. Uczuła na gardle stalowe kleszcze jego palców. Ręce uwikłała w fałdach szaty; była bezbronna.

– Na pomoc! – krzyknęła rozpaczliwie.

W oczach zamigotały jej krwawe pląty.

– Na pom... – nie skończyła. Głos zamarł w krtani.

Z otwartych do okrzyku ust wypełził język, krew w skroniach załopotała wściekle, w uszach zaszumiały potworne wodospady. Jeszcze mózg tylko pracował, ale coraz ociężalej, coraz leniwiej. Zdawało jej się, że zapada w czarną otchłań, w nicość beznadziejną.

– Giń!

– Precz!

Te dwa okrzyki przedarły się do jej świadomości; dwa krótkie, ostre jak sztylety słowa; usłyszała je jakby poprzez ścianę, a potem otoczyły ją znowu nieprzebite mroki...

Późno obudziła się z ciężkiego omdlenia. Przez zasłonięte okna wdzierały się już szparami pierwsze odblaski wschodzącej jutrzeńki i walczyły zwycięsko z żółtym światłem dogasających lampek oliwnych.

W obolałej głowie rozpierzchłe myśli powracały z wolna do swoich komórek. Z zakamarków mózgu wypełzły wspomnienia niedawnych przeżyć, wypadków, jakie się rozegrały około północy w tej komnacie.

– Więc nie zginęłam? – spytała, wsłuchując się z radością w słabe tętno własnego serca. – Tak... Ja żyję! – stwierdziła ponad wszelką wątpliwość.

Delikatna skóra na szyi rozorana ostrymi paznokciami napastnika, piekła żywym ogniem. Oderwała osłabione dłonie od pościeli i podniosła je ku górze. Ścierpła ze strachu. Ruch jej rąk wywołał jakiś podejrzany szmer. Coś się poruszyło na dywanie, leżącym u stóp łoża... Och! Tam przecież konał przed laty, otruty Hamilkar, zepchnięty z łoża przez mordercę Raesa... Może to on?

Długi czas przeleżała bez ruchu, dopiero dalekie odgłosy dobiegające z Placu Dwustu Kolumn napęłniły strwożone serce odwagą. Bez szelestu przysunęła się na krawędź łoża, ostrożnie uniosła głowę i spojrzała.

Na kobiercu leżał na wznak młody żołnierz w stroju gwardzisty. Był to ten sam zapaleniec rozmiłowany w swej władczyni, który wolał być prostym żołnierzem w gwardii, niż setnikiem przy halabardnikach. Nie spał; czuwał jak wierny pies u łoża swej pani, z wzrokiem utkwionym bezmyślnie w rzeźbiony sufit komnaty.

– Milkar! – przemówiła pieszczotliwie.

Stanął na baczność według Hansowej musztry.

– Nie spałem, najmiłościwsza królowo – jął się tłumaczyć, lecz ruchem ręki nakazała milczenie. Wspierając się na łokciu ujrzała dopiero teraz bezwładne ciało mężczyzny, rozpostarte obok fotela, na którym roiła piękne sny tak strasznie przerwane.

– Nie żyje?...

– Nie żyje – powtórzył.

– Tyś go zabił?

– Tymi rękami go zdusiłem, najmiłościwsza królowo – odparł, patrząc jej w oczy prosto, śmiało, bez cienia lęku.

Coś jakby niemy podziw zamigotało we wzroku kobiety.

– I nie boisz się?! Sumienie cię nie dręczy? Wszak

mogłeś go tylko ogłuszyć, związać, przytrzymać zanim straż nie nadbiegnie. Tyś młody, silny, a on?

– Najmiłościvsza królowo. Ten człowiek musiał zginąć, bo podniósł rękę na ciebie. Tak zginie każdy! – rzekł twardo.

Potrząsnęła głową niedowierzająco:

– I zabiłbyś drugiego... trzeciego?

– Trzeciego, dziesiątego, setnego.

Słuchała tych słów jak najpiękniejszej muzyki. Oto był człowiek naprawdę silny, nie niedołęga, jak Raes. Ale może to tylko przechwałki? Trzeba by wypróbować młokosa.

– Podejdź bliżej – powiedziała bardzo miękko.

Stanął o krok od łoża.

– Jeszcze bliżej... Usiądź na krawędzi.

Spełnił rozkaz z nieśmiałością, w której Othe dopatrzyła się dużego wdzięku.

– Rzekłeś Milkarze – zaczęła, ujmując jego dłoń delikatnie. – Rzekłeś przed chwilą, iż zabiłbyś bez namysłu każdego, który by ośmielił się podnieść na mnie rękę.

– Tak rzekłem – przytaknął poważnie.

– Więc zabiłbyś także takiego, który spiskuje przeciwko królowej i krecią robotą zagraża jej życiu.

– Wymień mi jego imię, o najmiłościvsza królowo, a dzisiejszy dzień będzie ostatnim dniem jego życia.

– Ejże! – przekomarzała się, przechylając głowę zalotnie.

– Wystaw mnie na próbę. Chcę dowieść czynem, że nie kłamię.

Spoważniała od razu. Ścisnęła mocno jego szorstką dłoń i pochylając się ku niemu, rzekła, kładąc nacisk na każde słowo:

– Dobrze. Wystawiam cię na próbę. Sam chciałeś. Życiu twej królowej zagraża: Shiram!

– Shiram? – powtórzył zdziwiony bezgranicznie.

Zaciekawił ją ton jego głosu:

– Czy ci się to dziwnym wydaje?  
– Najmiłoścowsza królowo. Gdyby nie on, zginęłabyś z ręki tego starca.

– Cooo? Nie rozumiem cię.

– Pozwól tedy, że opowiem za porządkiem.

– Mów, byle krótko.

– Miałem dziś służbę w głównej wartowni przy bramie.

Na krótko przed północą wpadł Shiram i kazał nam wszystkim szykować się do drogi. „Z polecenia najmiłoścowszej królowej mamy obstawić więzienia za miastem” powie...

– Co takiego?! Żadnego rozkazu nie wydawałam – zaniepokoiła się nagle.

– Wtem wzrok jego padł na mnie – ciągnął żołnierz swą opowieść: – uśmiechnął się jakoś dziwnie i wywołał mnie z szeregu. Wystąpiłem posłusznie... „Ktoś musi zostać przy świętej osobie władczyni”... z tymi słowy kazał mi iść za sobą. Minąwszy szereg sal, zatrzymaliśmy się przy „srebrnej kracie”. Shiram oddalił wartownika, który wzdragał się odejść przez chwilę, lecz w końcu ustąpił. Stanęliśmy wreszcie w komnacie, w której... w której...

– W której odwiedziła cię pewna kobieta w czasie pierwszej twjej warty – podpowiedziała z filuternym uśmiechem.

– Tak... Shiram zaprowadził mnie do ściany i pokazał, jak się otwiera zamaskowane przejście.

– Niemożliwe!... – wykrzyknęła przejęta zgrozą. – On zna to przejście?

– A którędy bym się tu dostał, najmiłoścowsza królowo?

– Prawda, prawda – powtarzała machinalnie, bijąc się z myślami. – Więc wskazał ci przejście tajemne.

– Więcej nawet, bo pokazał jak się ono otwiera. „Tu pozostaniesz” rzucił szeptem: „Mam przeczucie, że tej nocy może się coś wydarzyć. Wówczas będziesz mógł pobiec królowej z pomocą. Wybrałem ciebie właśnie, gdyż wiem, iż... iż... iż...”.

– Mów śmiało. Królowa ci to nakazuje.

– „Iż miłujesz ją i ona cię wzajem miłuje”.

– Tak powiedział?! Człowiecze, nie bredzisz ty czasem?

– Najmiłościwsza królowo. Rozkaż, a powtórzę mu w oczy.

– Bez tego się, widzę, nie obejdzie. Cóż jeszcze powiedział zuchwały Shiram?

– To wszystko.

Głos Othe brzmiał spokojnie, kiedy przemówiła:

– Shiram jest chory. Boabas dawno mi to już mówił. Trzeba go będzie wyprawić z miasta na świeże powietrze.

– Do Kotliny Powolnej Śmierci?

– Tak jest... Oszczędzi ci to zachodu.

– Nie pojmuję najmiłościwsza królowo.

– Nie pojmujesz! Czyżbyś już zapomniał, że chciałeś go zabić!

Gwardzista zaczerwienił się po uszy.

– Najmiłościwsza królowo. Ja proszę, byś Shirama nie zsyłała do Kotliny Powolnej Śmierci...

– Wstawiasz się za nim?

– Chcę tylko dowieść czynem, że to co przedtem powiedziałem nie jest czczą przechwałką.

– I zabijesz go własną ręką?

– Zabiję! – powtórzył z głuchą zawziętością.

Niespodziewanym ruchem gibkie ramiona Othe owinęły mu szyję, a małe usteczka wpiły się w jego wargi...

– Ty mój... kochanku... jedyny! – szeptała w krótkich przerwach pomiędzy gorącymi pocałunkami. – Morduj dla mnie... zabijaj mych wrogów... i bądź silny! Nie sięgaj nigdy myślą wstecz; to czynią słabi i doznają wyrzutów sumienia... Zawsze naprzód! Gdy zabijesz, myśl tylko, o słodkiej nagrodzie, jaka cię czeka w mych objęciach... Ty potężny... muskułarny... odważny!

Gdzieś, jakby na Placu Dwustu Kolumn zabrzmiał stłumiony pomruk tysięcznych tłumów, niby zapowiedź nadciągającej szybko burzy. Pomruk ten był jakby protestem przeciwko zbrodniczym naukom, jakie przewrotna kobieta wpajała w krewkiego młodzieńca. Pomruk ten mógł być wreszcie ostrzeżeniem dla obojga, że lada chwila olbrzymia rzesza runie na pałac ogołocony z załogi, że wybije godzina ostatecznej walki z stronnictwem kapłanów, walki bardzo nierównej i z góry przesądzonej.

– Kocham cię... i pożądam – szeptała Othe i spleceni w gorącym uścisku zapomnieli o wszystkich przecuciach, ostrzeżeniach, o zagadkowym postępku Shirama, który gwardię, żołnierzy najbardziej królowej oddanych, daleko poza obronne mury miasta wyprowadził. Odurzeni piesszczotami nie słyszeli odgłosów rosnącej wrzawy za oknami.

A na Placu Dwustu Kolumn brzemienne w skutki wydarzenia toczyły się wartkim, nieprzerwanym strumieniem...

Już Dido z włosom rozwianym ukończyła swe straszne oskarżenie, pomawiając władczynię Tyru, że oszukała Baala.

– Boga oszukała! – zawołał sędziwy arcykapłan.

– Boga oszukała! – powtórzyło kilkudziesięciu kapłanów, rozrzuconych po całym placu, niby czerwone maki wśród pstrego kobierca łąki. Ich purpurowe płaszcze odbijały

wyraziście od szarego tła pospólstwa. Ich usta wyrzucały wyczone przedtem słowa, które docierały do samych krańców olbrzymiej przestrzeni. Oddaleni od siebie wykonywali przecież te ruchy, gesty zgrozy, świętego oburzenia, budząc wśród swoich słuchaczy pożądany nastrój.

– Wykradła moje dziecię i zabiła je, żmija przekłeta! – zawodziła nieszczęśliwa matka, a słowa te arcykapłan na oczekaniu odpowiednio objaśnił:

– Ukryła swego synka, dając Baalowi w zamian dziecię Didony. Nas wszystkich podeszła bez trudu, lecz bóg się oszukać nie dał. Nie dziwcie się tedy, że góra płomieni ziejie dalej ogniem, że straszliwa lawa niszczy wasze plony, winnice, wioski na stokach położone.

Słowo w słowo powtarzali kapłani tym słuchaczom, którzy z powodu odległości głosu arcykapłana nie mogli słyszeć.

– Miast złożyć powinna ofiarę rozpoczęła walkę z Baalem!

U stóp pomnika Mścicielki, osłoniętego ze wszystkich stron ściętymi w lesie drzewkami, stało drewniane rusztowanie niby trybuna dla mówców. Stamtąd przemawiał arcykapłan, otoczony garstką najpoważniejszych kapłanów. Kiedy Dido zstąpiła na dół, ukończywszy swe oskarżenie, dał znak ręką, aby była cisza.

– Są tu tacy – zaczął podniesionym głosem – którzy więcej ufają bezwstydnemu rozpustnicy, niż nam, sługom Baala... Chcę ich przekonać dzisiaj... Patrzcie!... Czyje to dziecko?

Emnoch-ostrowidz wypchnął na front trybuny małego chłopca, który stał ukryty za plecami jakiegoś barczystego kapłana.

– Poznajcie go? Oto Hamilkar, syn dzielnego przywódcy

powstańców, o ile można wierzyć zapewnieniom jego rozwiazłej matki... W każdym razie jej dziecko... Oto ofiara, której Baal żądał, objawiwszy mi się w swej świątyni... Oto ofiara, którą przewrotna Othe skradła bogu, dając mu zamiast niej pomiot Olbrzyma Eryka.

Dido, której dziecko nazwano „pomiotem” chciała oponować, ale baczny na wszystko Emnoch-ostrowidz polecił ją natychmiast opiece kilku zaufanych ludzi.

Wśród morza ludzkiego zawrzało:

– Jest że to naprawdę Hamilkar? – dopytywali dalej stojący.

– Hamilkar! – wołali bliżsi.

Grupa zwolenników królowej nie tała zdziwienia:

– I Othe pozwoliła sobie wykraść syna?

– Pozwala lżyć się publicznie?

– Gdzie wojsko?... Gdzie gwardia?!

Ostatnie słowo dobiegło aż na trybunę. Arcykapłan wnet znalazł odpowiedź:

– Gwardziści opuścili miasto o północy. Wysłano ich do wiosek, by korzystając z waszej nieobecności, zabrali bydło, konie, wszystko, co się da przewieźć wozami. Nie zapłaciliście podobno wiosennej daniny...

Ta wiadomość nie wiele obeszła mieszczan, lecz łowcy, rybacy, pasterze, pszczelarze, górnicy i ci wszyscy, którzy przywędrowali na dzisiejszą uroczystość z odległych wiosek podnieśli niesłychany lament.

– Znowu daniny! Mało już wzięli?

– To nieprawda!

– Prawda! Idąc koło więzień przed świtem widziałem duży oddział gwardzistów.

– Nie łiesz?

– Na własne oczy widziałem.



– Dzieciom nie ma co do ust włożyć, a tu daniny i daniny.

Na ten moment czekali słudzy Baala. Jak na komendę zaczęli wołać, że wszelkie daniny idą na utrzymanie dworu, na spełnienie kosztownych zachcianek królowej.

Nieprzychylny nastrój dla Othe stał się wręcz wrogi.

Arcykapłan przypomniał sprawę oszukańczej ofiary, która ciężko obraziła boga i zamiast uśmierzyć jego gniew, zwiększyła go jeszcze.

– Rzucić chłopca w płomienie! – wrzasnął ktoś z podmówionych.

– Rzucić go w płomienie! – powtórzyło sto głosów, a potem niby echa nadpływały ze wszystkich stron wrogie okrzyki słuchaczy poszczególnych kapłanów:

– Nasze dzieci złożyliśmy w ofierze, niech i on zginie!

– W ogień z nim!

– W ogień!

Arcykapłan wznosił rękę...

– Stanie się według waszej woli. Sam złożę chłopca na ołtarzu ofiarnym.

– Kiedy? – spytał jakiś zuchwalec. – Żeby go ktoś znowu nie zamienił na inne dziecko.

Emnoch-ostrowidz zanotował sobie w pamięci twarz śmiałka, zaś sędziwy arcykapłan odparł z godnością:

– Słudzy Baala, to nie kłamliwa niewiasta. Dziś święto Mścicielki. Ofiara odbędzie się o zachodzie słońca... Rzekłem... Straż! Oddaję wam tego chłopca. Gardłem za niego odpowiadacie!

Przestraszony malec, widząc oczy pałające nienawiścią i zaciśnięte pięści, począł głośno płakać.

Emnoch-ostrowidz dał znak, że pora zaczynać drugą część uroczystości.

Pachołkowie przynieśli natychmiast małą lektykę, ustawili

ją przed trybuną i podnieśli daszek. Oczom stojących w pobliżu ukazała się młoda dziewczyna. Oczy miała przymknięte, a twarz bladą jak kreda.

- Kto to?
- Strój ma kapłanki.
- Czekał no, czekał no. Ja ją skądś znam.
- Atossa.
- Prawda! Atossa córka dziejopisa Salmona.
- Kto? Kto? – dopytywali się dalsi.
- Atossa.

Imię to biegło od ust do ust, lecz już uwagę przykuł młody mężczyzna, odziany w purpurowy płaszcz kapłana.

Wstąpił na trybunę i zawołał donośnym głosem:

– Ja, kapłan Ulam wnoszę przed twoje oblicze, o najdosłojniejszy... oskarżenie przeciwko świętokradcom, którzy splugawili święty chram Baala.

W dłuższym przemówieniu przedstawił Ulam historię wydania rozkazu, mocą którego wywiadowca nazwiskiem Annabal wdarł się do miejsc świętych. Czyn ten był nie tylko naruszeniem odwiecznych praw kapłanów, lecz co gorsza obrazą bogów... Potem opisał barwnie przebieg strasznego wydarzenia, którego ofiarą padła Atossa.

Sycheus-lekarz wlał tymczasem kilkanaście kropli tajemniczego płynu w usta nieszczęśliwej dziewczyny. Otworzyła oczy i po chwili spojrzała wcale przytomnie.

– Pożerał ją żywcem! – huczał Ulam. – Takimi ludźmi otacza się Othe, taką jest sama. Sycheusie, odwiń jej ramię i pokaż zebranym straszliwą ranę.

Wbrew przewidywaniom, ta część oskarżenia królowej, nie wywołała pożądanego efektu. Przede wszystkim zapalczywy Ulam, uniesiony zapałem oratorskim odbiegł w swym przemówieniu znacznie od tekstu uprzednio ustalonego. Dalej

stojący kapłani mówili całkiem co innego, ich zgodna do tej pory gestykulacja rozbiła się zupełnie i kiedy jedna rzesza wydawała okrzyki oburzenia, inna wyrażała swe współczucie dla doli Atossy. Widok jej rany nie wywołał zgoła żadnego wrażenia, gdyż po zdjęciu opaski krew trysnęła obficie i lekarz musiał zatamować jej upływ. Dalej... niewielu stosunkowo widziało nisko stojącą lektykę, a wreszcie treść samej sprawy niezbyt interesowała tłumy.

– Temu bydlu o podatkach gadać! – zauważył trafnie Emnoch-ostrowidz. – Błuznierstwa, świętokradztwa ich nie obchodzą.

Hazdrubal-łysy przysunął się do rozmawiających:

– Kiedy zaczniemy najważniejsze? – spytał cicho.

– Musimy przecież czekać na znak Sycheusa-garbatego.

– Pałac nie daje znaku życia.

– Shiram przysłał wiadomość przed chwilą, że Boabas śpi snem kamiennym.

– Niech śpi, póki go ostrza noży nie zbudzą... na krótko.

– A choćby się zbudził, to co?... Gwardia daleko, łucznicy, procarze, halabardnicy są z nami.

– Jeszcze nie są, lecz będą, kiedy ujrzą cud.

Ten czy ów obejrzał się mimowolnie w stronę pobliskiego pomnika.

– Że jej też nogi nie ścierną. Za długo to trwa, za długo. Jeszcze się biedaczce zawróci w głowie i spadnie z cokołu. Dopieroż byłby cud.

Arcykapłan zgromił jowialnego kapłana surowym wzrokiem. Emnoch-ostrowidz spoglądał z natężeniem gdzieś w dal...

– Jest! – rzucił szeptem – Sycheus-garbaty daje znak, że lawa...

– Wiem – przerwał arcykapłan i czym prędzej wzniosł dłoń

w górę. – Ludu tyreński! – zawołał przejmującym głosem. – Oto przebrała się miara naszej cierpliwości. Rządy rozpustnicy spowodowały gniew bogów. „Góra płomieni” zniszczyła wiele winnic, pól uprawnych i pastwisk... To dopiero początek tego gniewu... – odchrząknął i odpoczął chwileczkę, z czego nie omieszkiał skorzystać Emnoch.

– Wspomnij o podatkach, o najdostojniejszy – szepnął.

– Dobrze... Ludu mój! Powtarzam: to dopiero początek świętego gniewu bogów. Przyjdą jeszcze gorsze. Lawa zaleje całe miasto, morze wystąpi z brzegów, bogini ześle nieurodzaj i trąd, na który nie masz lekarstwa. Będziecie patrzeli na straszną śmierć waszych dzieci, waszych żon i rodziców, aż zmorzeni chorobą sami legniecie, wzywając śmierci, jako wybawienia... Jak przebłagać zagniewanych bogów? Nie wiem... Nie wiem, czy istnieje dość wielka ofiara, która by ten cel osiągnęła... Odpowiedź na to pytanie mogłaby dać chyba ta, która już raz nasz kraj od nieuchronnej zguby ocaliła. Lecz ona nie żyje.

– Mścicielka! – rzucił głośno ktoś z podstawionych.

– Mścicielka! – powtórzył chór głosów i wnet cały plac rozbrzmiał imieniem umiłowanej dziewczyny.

– Odrzucić zasłony z liści – komenderował Emnoch.

Obalono szybko ścięte drzewka, które gęstym pierścieniem otaczały pomnik córki Hannona, wraz z cokołem.

Wszystkie spojrzenia pobiegły w tym kierunku i przyłgnęły do rzeźby, przedstawiającej zwycięską Mścicielkę w postawie stojącej, z prawicą wspartą na włóczni.

– O podatkach... Koniecznie o podatkach – przypominał Emnoch, widząc, że arcykapłan otwiera usta do dalszej przemowy.

– Mścicielko! – wołał starzec: – Mścicielko! Oto lud

tyreński zapytuje cię przez moje usta, czy jest taka ofiara, którą można by przebłagać święty gniew Baala i małżonki jego Astoreth... Mścicielko! Wiem. Ty nie żyjesz... Opuściłaś nas niestety. Lecz daj znak. Daj jakiś znak!...

Umilkł. Cisza śmierci zapanowała dokoła. Ton przemówienia starca był tak niezwykajny, że wszyscy zastygli w oczekiwaniu czegoś strasznego, czegoś, co nastąpić musiało nieodwołalnie...

I nastąpiło!

Stało się.

Stała się rzecz, która przeczyła zdrowemu rozsądkowi, a której istnienie potwierdziły zmysły tysięcy zebranych. Najcenniejszy z pięciu zmysłów, wzrok, to potwierdził. Oczy wielotysięcznej rzeszy ujrzały nagle, że wyprostowana prawica posągu zgięła się w łokciu, przyciągając górną część włóczni do korpusu, następnie podniosła ten oręż ponad głowę i trzykrotnie nim w powietrzu potrząsnęła.

Na Placu Dwustu Kolumn grobowe milczenie trwało dalej. Wielu stało z ustami szeroko otwartymi, jak do wydania okrzyku przerażenia; lecz żaden nie krzyknął; może nie śmiał, może nie dowierzał, że zaschła krtań potrafi jakikolwiek dźwięk wydać. Inni, liczniejsi przecierali oczy kułakami, szczykali się mocno dla sprawdzenia czy nie śnią, spoglądali na siebie wzajemnie wzrokiem, w którym zabobonny lęk walczył o lepsze z bezgranicznym zdumieniem i znów kierowali spojrzenia w stronę marmurowego cokołu, gdzie działy się rzeczy niesamowite...

Usta posągu poruszyły się lekko. Spłynął z nich miękki głos niewieści, słaby nieco, jakby przytłumiony, lecz łatwo dosłyszalny przez szerokie kolisko wrytych w ziemię ludzi... łatwo dosłyszalny dzięki ciszy tak wielkiej, że podchwyciłbyś brzęczenie skrzydełek muchy.

– Wzywałeś mnie o najdostojniejszy – padały słowa, wymawiane powoli, wyraźnie. – Jestem... Bogini poleciła mi zstąpić na ziemię. Czego pragniesz.

Drugi z pięciu zmysłów ludzkich, słuch stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że martwy posąg przemówił... ożył.

Porozstawiani gęsto kapłani obserwowali z zadowoleniem oblicza stłoczonych słuchaczy.

– Cud! – szepnął arcykapłan przejęty swą rolą; szepnął więc za cicho...

– Cud!... – ryknął Emnoch na całe gardło, a za nim powtórzyli ten okrzyk liczni mówcy i sykaniem uciszili natychmiast nieśmiały pomruk rozmów.

Arcykapłan wyprostował zgiętą w pełnym szacunku ukłonie sylwetkę. Głosem drżącym od dobrze udanego wzruszenia powtórzył swe pytanie:

– Lud tyreński zapytuje cię przez moje usta, czy jest taka ofiara, którą można by przebłagać święty gniew Baala... Odpowiedz, Mścicielko.

– Jest.

– I po złożeniu jej „Góra płomieni” zaprzestanie wyrzucać z siebie lawę, która wszystko niszczy?

– Tak... Dziś jeszcze „Góra płomieni” zamilknie.

– Słyszeliście?! – huknął Emnoch-ostrowidz.

– Słyszeliście?! – dopypywali skwapliwie inni kapłani.

– Słyszeliśmy... Słyszeliśmy.

– „Góra płomieni” umilknie.

– Dziś się to stanie.

– Nasze plony ocaleją.

– I winnice...

– I miasto.

– Dzięki ci, Mścicielko!

– Dzięki ci.

Ożywiony posąg wznosił włócznię ponad głowę, a kiedy gwar rozmów ucichł jakby nożem uciął, zabrzmiały słowa, będące niejako dokończeniem ostatniego zdania uradowanych tłumów:

- Umilknijcie, jeśli złożycie ofiarę przebłagalną.
- Jakaż to ofiara?...
- Mów, wysłannico bogini.
- Powiedz o najdosłojniejsza kapłanko Astoreth.
- Poucz nas, pragnących przebłagać Baala.

Arcykapłan przyjął na siebie rolę pośrednika.

– Mścicielko! – zaczął – lud tyreński zapytuje cię przez moje usta jaka to jest ofiara, która by mogła odwrócić od nas gniew Baala. Oświeć nas i poucz.

Wszyscy zamienili się w słuch. Z szyjami wyciągniętymi, z dłońmi przy uszach, z drżeniem serc czekali na odpowiedź zjawy.

Arcykapłan rzucił spojrzenie pełne niespokojniejszej ciekawości w stronę trzech setek halabardników, ustawionych przed frontem pałacu. Niedowidząc, zagadnął szeptem Emnocha-ostrowidza, jakie wrażenie wywarł na żołnierzach widok „cudu”.

– Nadzwyczajne – brzmiała odpowiedź. – Zbaranieli ze szczętem. Gęby mają otwarte, a drżące dłonie ledwie są w stanie utrzymać oręż. Halabardy kiwają się jak młode palmy w czasie wichury.

- A setnicy?
  - Setnicy gawędzą coś z Shiramem.
- Mścicielka stuknęła włócznią o cokół.

– Słuchajcie! Słuchajcie!

– O najdosłojniejszy... Bogini dała mi odpowiedź na twoje pytanie. Bogini nie żąda wielkich ofiar od swego ludu.

Westchnienie ulgi wydarło się z tysięcy piersi, które oddech wstrzymywały przez długie sekundy oczekiwania...

– Ten tylko ma dać głowę, kto jest przyczyną gniewu Bogów... Ona!

Tu ostrze włóczni zatoczyło półkole i wskazało na pałac królewski.

- Othe?
- Othe...
- Słyszeliście?
- Tak, tak.

Arcykapłan znowu zabrał głos:

- Więc ukarż ją śmiercią, Mścicielko.
- Ukarż ją! – powtórzył chór zwolenników sług Baala.

Przebudzony do życia posąg potrząsnął głową przecząco:

– Nie!... to wasza sprawa... Bogini mnie zesłała, bym wam oczy otworzyła, bym wyjawiała, jak ofiara może niebios przebłągać, lecz walka z Othe, to wasza sprawa. Wyście ją uczynili królową, wam tylko przystoi błąd naprawić.

Posąg przybierał powoli pierwotną pozycję. Z prawicą wspartą na włóczni tężał, nieruchomiał, stawał się znowu marmurową rzeźbą.

– Mścicielko! – w głosie arcykapłana dźwięczała teraz rozpacz i prośba błagalna. – Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj twego ludu wiernego.

– Krzyczcie! „nie opuszczaj nas” – wołał Emnoch i inni kapłani.

Niby wicher z ciszy morskiej poczęty zerwał się pomruk tysięcy głosów:

- Nie opuszczaj nas, Mścicielko.
- Na kolana! – padł rozkaz z trybuny.



Najbliżej stojący zgięli posłusznie kolana, a dalsze szeregi naśladowały ten ruch w owczym popędzie i krąg schylających się postaci rósł coraz dalej, coraz dalej. Było to tak, jak kiedy duży kamień ręką wyrostka rzucony, padnie w sam środek spokojnej toni stawku; najpierw powstaje mały lej, potem drgające cząsteczki wody tworzą kolistą falę, której obwód rośnie szybko, aż brzegi muśnie jedwabistą pieszczotą, a zwierciadło całego stawku kołysze się długą chwilę.

– Mścicielko... Miej litość! Przez moje usta cały lud przemawia... Nie wydawaj nas na łup „Góry płomieni”.

Posąg poruszył wargami:

– „Góra płomieni” Zamilknie, jeśli ona da głowę. Zabijcie Othe.

– Nie zdzierzymy, Mścicielko. Opętała swymi wdziękami wielu dzielnych żołnierzy. Staną w jej obronie.

– Ci, którzy staną w jej obronie nie dożyją drugiej pełni miesiąca. Zginą od straszliwej zarazy.

– Słyszycie? Ci co staną w obronie Othe, zginą od zarazy przed pierwszą odmianą księżycą! – ryczeli słudzy Baala.

– Żołnierze – zaczął Emnoch szeptem.

Arcykapłan drgnął silnie.

– Co? Co? – dopytywał.

– Żołnierze padają na kolana. Zwycięzamy! Wspomnij jeszcze o podatkach, o najdostojniejszy.

– Mścicielko!... Oto lud twój ugina się pod brzemieniem olbrzymich danin. Podatki sypią się za podatkami. Kiedy my tutaj zebrani przyszedliśmy uczcić rocznicę twego odejścia, tam w naszych wioskach żołdacy Othe rabują nasz dobytek. Ostatnią krowę zabierają!

Głuchy jęk tłumów był najlepszym dowodem, że arcykapłan targnął właściwą struną.

– Zabijcie Othe! Idźcie śmiało. Bogini da wam zwycięstwo.

– Prowadź nas do zwycięstwa, Mścicielko. Stań na czele tłumów.

– Stań na czele i prowadź do zwycięstwa... Hej ludzie! Błagajcie świętą dziewicę, by wami przewodziła...

Dziesiątki tysięcy głosów powtórzyły prośbę arcykapłana. Dziesiątki tysięcy rąk wyciągnęły się w stronę cokołu.

Mścicielka wzniosła oczy w niebo.

– Zapytam boginię – rzekła.

Minęły sekundy oczekiwania długie jak wieczność, męczące jak praca skaźańca w kamieniołomach. Potem krótka odpowiedź:

– Bogini przyzwoliła. Za mną! Poprowadzę was do zwycięstwa.

Radosny okrzyk tłumów wzbił się pod niebiosa, uderzył w mury kamienic, gmachów i pałaców, przeniknął ściany, wtargnął do komnaty sypialnej królowej i zbudził tę, dla której był wyrokiem śmierci.

A zmartwychwstała Mścicielka zstępowała już z cokołu, podpierając się włócznią i stawiając stopy na trybunie, którą czym prędzej przysunięto.

Niesłyszany entuzjazm zapanował wśród zebranych. Cisnęli się, tłoczyli, gnięli nawzajem, byle znaleźć się jak najbliżej wysłanniczki bogów. Lecz dopchać się, było sztuką nielada. Wokoło Sofonizby wyrósł nagle liczny zastęp zwolenników kapłanów, uzbrojonych rozmaitym orężem.

W zamieszaniu nie dostrzegł nikt, że Emnoch-ostrowidz wymachuje liściem palmowym, dając tajemnicze znaki komuś, co stał opodal.

Jakoż niebawem wpadł na Plac Dwustu Kolumn jeździec

na rosłym koniu i jął się przeciskać ku trybunie.

– Ważna wiadomość! – wołał – ważna wiadomość!

– Hej, przepuście go, ludzie!

Jeździec dotarł nie bez wysiłków do celu podróży.

– Jakie wieści przynosisz? – spytał arcykapłan.

– Pomyślne, o najdostojniejszy. Sycheus-garbaty stwierdził co dopiero, że „Góra płomieni” przestała lawę wyrzucać. Niebezpieczeństwo zda się minęło.

– Jeszcze nie – wtrąciła Mścicielka głosem bardzo uroczystym. – Minie dopiero wtedy, gdy Othe ubędzie z liczby żyjących.

– Więc naprzód, na pałac! – ryknął Emnoch.

– Na pałac! – podchwycił zgodny chór kapłanów i ich pachołków.

– Na pałac!

Mścicielka podniosła włócznię. Rzuciła nowe hasło:

– Śmierć Othe!

Zafalowały tłumy niby łąn dojrzałego zboża, kiedy weń wichur uderzy, niby toń zatoki, w którą runie zwał skalny.

– Śmierć Othe!

Wezbrana rzeka ludzi runęła biegiem, w stronę pałacu, mając na czele Mścicielkę i kapłanów. Trzy setki halabardników stały na drodze. Żołnierze obrzucali niespokojnym spojrzeniem zbliżającą się żywą lawinę.

Młody setnik wyskoczył z szeregu i zakomenderował:

– Gotuj broń!

Halabardy wysunęły się naprzód leniwie, niechętnie, niepewnie.

Na piętrze rozwarło się okno i zajaśniała w nim plama twarzy bladej jak u trupa.

Oficer zobaczył ją widać, bo oddał ukłon trzcina.

- Żołnierze! – zaczął – królowa na was patrzy!
- Śmierć Othe! – zabrzmiał ryk tysięcy.

Shiram podszedł kocim chodem do wiernego tronowi setnika. Stał tuż za jego plecami.

– Żołnierze!... Złożoną przysięgę potwierdzimy własną krwią, lecz... – nie dokończył. Zatrzepotał rękami, jak raniony w locie ptak skrzydłami trzepoce i runął twarzą na kamienne płyty. W jego karku tkwił sztylet, wbity głęboko. Spod rękojeści sączyła purpurowa wstęga i krwi. Młody setnik przypieczętował więc własną krwią złożoną królowej przysięgę.

Tylko kilkanaście kroków dzieliło tłum od słabego muru niepewnych obrońców pałacu.

Mścicielka przypomniała swą groźbę:

- Zginie od zarazy, kto stanie w jej obronie.
- Nie chcemy ginąć! – odparł Shiram pośpiesznie. – Pragniemy żyć dla naszych żon i dzieci. Żołnierze! Broń do nogi! Zesłana przez bogów Mścicielka naszym wodzem!

– Żołnierze! – zabrzmiał głos niewieści z górnego okna pałacu, lecz utonął w ogólnej wrzawie; nikt go nie dosłyszał.

Halabardnicy rozstąpili się na dwie strony, czyniąc miejsce tłumowi i z okrzykiem: „Śmierć Othe”, niewstrzymany potok ludzki zaczął się wlewać przez szeroką bramę do pałacu ogołoczonego z obrońców.

Błada twarz cofnęła się szybko od okna w głąb komnaty.

## Rozdział X

### POTOP

Henryk, przez małych Tyreńczyków zwany Olbrzymem, poruszył się niespokojnie. Posłyszawszy trzask łamanych gałązek powstał z głazu, na którym siedział do tej pory i z przyzwyczajenia pochwycił obok leżący karabin.

Szelest powtórzył się znowu, tym razem gdzieś bliżej. Jakiś człowiek, lub zwierz jakiś, skradał się w tę stronę poprzez zbity gąszcz krzaków, porastających szczyty pierścienia górskiego.

Ze zmarszczonym czołem czekał Henryk nieuniknionego spotkania.

Widzi mnie już i zdziwiony waha się, czy wyjść na odkrytą przestrzeń – mruknął po chwili, kiedy szelest kroków nagle ustal. Przewlekający się moment niepewności zdenerwował go w końcu.

– Hej, człowieku! – krzyknął w języku wyspiarzy, złożony dłoń w trąbę przy ustach. – Nie zamierzam ci zrobić żadnej krzywdy... Wyłaż z krzaków.

Absolutna cisza była mu odpowiedzią. Tajemniczy osobnik nie dawał znaku życia.

– Słuchaj. Jeśli natychmiast nie wyjdiesz będę uważał, że masz wobec mnie wrogie zamiary i pošlę ci kulkę! Znasz chyba huczącą broń Olbrzymów, co?...

To poskutkowało.

Dwa bliźniacze krzewy rozchyliły się nagle i na odkrytą przestrzeń wstąpił człowiek w postrzępionym uniformie królewskiego gwardzisty.

– Henryk Olbrzym!... zawołał, a w jego głosie dźwięczało zarówno zdziwienie z powodu nieoczekiwanego spotkania, jak i zadowolenie, że spotkanym jest Henryk Olbrzym, a nie kto inny.

– Cieszy mnie to, że poznałeś kim jestem. Ja niestety nie przypominam sobie ani twej twarzy, ani imienia... Ktoś ty?

Nieznamy ruszył naprzód krokiem chwiejnym, ociążałym. Znać było, że tylko wysiłkiem woli trzyma się na nogach.

– Jestem dziesiątnikiem królewskiej gwardii – odparł bezbarwnym, znużonym głosem. – Na imię mi Hamilkar.

– Dziesiątnik gwardii królewskiej – powtórzył Henryk, marszcząc brwi nagle. – Królowa cię po mnie wysłała?

– Królowa – rzekł cicho, jakby z goryczą. – Othe już nie jest królową. Tak, Henryku Olbrzymie. Władzę dziś dzierżą kapłani, kapłani Baala... Ona... – tu łamiącym się i znękanym głosem opowiedział treściwie o napadzie na pałac, o ucieczce Othe przez tajemne przejście podziemne i tak swe opowiadanie zakończył: – Lękając się pogoni, uciekaliśmy dniem i nocą, póki nam konie nie padły. Potem szliśmy pieszo cały wczorajszy dzień, całą noc. Othe, wycieńczona z sił upadła w wąwozie. Ukryłem ją wśród gęstwiny bambusów, a sam poszedłem dalej szukać pewniejszej kryjówki... Z daleka ujrzałem dym...

– Widać dym z wąwozu? – zaniepokoił się Henryk.

– Widać... Dlatego właśnie dążyłem w tę stronę. Henryku... Musisz mi pomóc! Przeniesiemy ją tutaj. Ja sam nie podołam. Zrozum. Nocą dzikie zwierzęta pójda polować na antylopy, które w strumieniu pragnienie gaszą... Widziałem liczne ślady... Jakiś lew czy pantera ruszą naszym tropem. Othe zginie, Henryku, jeśli ty nie dopomożesz – rozpaczliwa, choć niema wymowa oczu wiernego żołnierza poparła gorąco wyrzeczone słowa.

Henryk nie odpowiedział od razu. Długą chwilę tarł w milczeniu swe wysokie czoło, które teraz mnogie bruzdy zorały, wreszcie nachmurzony rzucił szorstkim tonem:

– Dlaczego uciekacie w tym kierunku? Mało to lepszych kryjówek na wyspie?

Gwardzista zaczął mrugać na znak zdziwienia:

– Czemu pytasz o to? Nie rozumiem cię Henryku Olbrzymie.

– Nie rozumiesz, głupcze? Uciekając nad Zatokę Pereł ściągniecie mi na kark oddział wojska, który kapłani nie omieszkają wysłać w pogoń za znienawidzoną, a dziś pokonaną Othe... Pojmujesz teraz?

Hamilkar, który od chwili już odpoczywał na ziemi, dźwi-gnął się nie bez wysiłku. W zmęczonych oczach zagrały mu żywe blaski.

– Więc nie tylko odmawiasz pomocy opuszczonej przez wszystkich kobiecie, jeszcze nas odpędzasz z tych okolic... Czy tak?

Henryk miał już na ustach brutalne: „tak”, gdy wtem wzrok jego padł na dolinę zarośniętą gęsto bambusami, która leżała niemal u stóp górskiego wzniesienia. Ten widok przypomniał mu scenę, jaka się rozegrała w tym samym miejscu przed laty dziesięciu, czy jedenastu. Było to w czasie zaciekłych walk z powstańcami. Piegowaty Hans, niegdyś kochanek królowej i najwyższy wódz wszystkich sił zbrojnych pozostał na wybrzeżu Zatoki Pereł, zlecając dowództwo jemu, Henrykowi... Wówczas Othe ostrzegła go przed niebezpieczeństwem, jakie zagrażało Eli. Ta sama Othe rozstrzygnęła słynny spór w noc bogini, na jego korzyść, a potem, po ostatecznym pogromie Olbrzymów otoczyła go swą potężną opieką. Dzięki tej opiece

pozostał przy życiu on, ostatni rozbitek, ostatni z rodu znienawidzonych Olbrzymów. Dzisiaj Othe była biednym, bezdomnym stworzeniem, ściganym przez mściwych nieprzyjaciół. Z mnogiej rzeszy pochlebców, dworaków, z tysięcy karnych żołnierzy pozostał jej tylko ten jeden obrońca. Czy nie nadzedł więc moment spłacenia długu wdzięczności, długu zaciągniętego przed laty i stałymi łaskami królowej wciąż zwiększanego w ciągu dziesięciolecia?

– Odchodzę, Henryku Olbrzymie – zabrzmiał głos gwardzisty – powracam do Othe, by wraz z nią zginąć tej nocy od kłów dzikich zwierząt. Wolę to, niż męczarnie z rąk okrutnych kapłanów. Lecz śmierć nasza ciebie nie ocali. Idąc naszym śladem, wpadną na twój trop także. Odchodzę, Henryku Olbrz...

– Stój! – warknął tamten.

– Po co? Czas ucieka szybko. Ranna zorza płonęła na niebie, kiedy opuściłem Othe. Zanim do niej powrócę będzie...

– Czekaj... Chcę wam dopomóc.

– Naprawdę? – ucieszył się wyspiarz. – Pójdiesz ze mną?

– Nie... Sam pójść nie mogę... Muszę pozostać przy dzieciach, przy małżonce. Ale mam dwoje służby. Tych ci powierzę.

– Nie masz jakiegoś konia lub muła? Nie wiem, czy Othe zdoła przejść taki kawał drogi, zwłaszcza pod górę.

– Dobrze. Dostaniesz także muła. Zaczekaj tutaj, albo nie... Zejdź do wąwozu; tam ich przyprowadzę. Staraj się też ślady pozacierać za sobą.

Mrucząc jakieś przekleństwa pod nosem zaczął się Henryk zsuwać po stromym zboczach góry, potem znajomą ścieżką podążył w stronę chaty, którą przedtem zamieszkiwał Syfax



i powszechnie za zmarłą uważana Mścicielka.

– Gdzie moja małżonka? – zagadnął parę służących, zajętych suszeniem ryb, wczoraj złowionych.

– Poszła z dziećmi kąpać się w morzu – brzmiała zgodna odpowiedź.

– Dobrze. Osiedłajcie szybko najsilniejszego muła i za mną.

Odprowadził ich do wąwozu i powierzył Hamilkarowi, który tam już czekał. Potem powrócił nad zatokę.

Zaślonięty rozłożystym krzakiem banana patrzył długą chwilę z ojcowskim rozczuleniem na dziecinne igraszki małej Elzuni z siedmioletnim Tobiaszem, który imię po dziadku odziedziczył. Eli brodziła w wodzie po kolana, odpowiadając cierpliwie na ustawiczne pytania dzieci. Jej piękne, puszyste włosy, mieniły się w słońcu, jak szczerze złoto. Niekiedy spoglądała przed siebie, gdzieś w, dal, kresu zda się nie mającą, gdzie niepokalany błękit kopuły niebios dotykał szafirowej toni oceanu i wówczas coś, jakby ciężkie westchnienie podnosiło jej piersi.

– Tęskni – szepnął Henryk. – Widok morza zbudził uśpioną tęsknotę... Och, droga towarzyszo życia, cóżbym ja dał za to, gdybym cię mógł kiedyś wywieźć z tej wyspy przekłetej! Ale cóż. Siedem dni tu już jesteśmy, siedem długich dni wypatruję oczy ze szczytu góry, nadaremnie. Ani śladu żagla, czy upragnionej smugi dymu z komina. W zamian za to wiadomość o upadku Othe i zwycięstwie kapłanów – dodał z goryczą.

Opuścił kępę krzewów bananowych, zszedł trochę niżej i usiadł na szerokim głazie.

– Tatus – zakrzyknął mały Tobiasz, pędząc na wyścigi z siostrzyczką w stronę ojca. Eli, która nadeszła chwilę później,

spojrzała natychmiast przygnębienie zaradnego zazwyczaj i energicznego męża.

– Odejdźcie, dzieci – rzekła swym łagodnym, miękkim głosem. – Tatuś chce odpocząć po pracy – a kiedy odeszły posłusznie, zaczęła gładzić dłońmi zwichrzone włosy małżonka. – Znowu się troskasz, najdroższy? – spytała, nie przerywając delikatnej pieśczoły. – Niepotrzebnie, Henryku, najniepotrzebniej w świecie. Kiedy owego wieczoru, który na zawsze utkwiał w mej pamięci, zacny sąsiad przyszedł nas ostrzec przed niebezpieczeństwem, jakie grozi naszemu drogiemu Tobo, drżałam jak w febrze, a ty mnie uspakajałeś. To samo było w czasie naszej uciążliwej podróży, w czasie pierwszych dni pobytu nad Zatoką Peret. Dzisiaj zaś, kiedy jesteśmy prawie pewni, że nie wysłano pościgu, gdy, co ważniejsza, już drugą noc nie widzieliśmy złowróźbnej łuny nad wyspą, ja ciebie muszę uspokajać. Henryku! Pomyśl tylko. Wulkan ucichł, zapewne na długie lata. Barbarzyńskie ofiary kapłanów Baala straciły rację bytu. Za kilka dni powrócimy do opuszczonego domu. Lękasz się prześladowań Tyreńczyków za to, żeś dziecka nie poświęcił? Czyż wiele rodzin wyspiarzy nie postąpiło podobnie? Myślisz, że będą karani? A choćby. Najważniejsza rzecz, że naszemu Tobo już nic nie grozi... – Zresztą, dodała wesoło, przypomniawszy sobie łaskawość, jaką królowa darzyła zawsze ostatniego z rodu Olbrzymów. – Zresztą ona nie pozwoli ci żadnej krzywdy wyrządzić. Ona nas zasłoni przed mściwością kapłanów.

– Ona – powtórzył w posępnej zadumie – myślisz zapewne o Othe.

– Oczywiście.

– Droga Eli – rzekł, ujmując łagodnie dłoń żony. – Wolę niczego przed tobą nie ukrywać.

Drgnęła nagle, tak ją przestraszył ton jego głosu.

– Stało się coś niedobrego? – spytała.

– Stało się nieszczęście. Kapłani obalili tron Othe i sami zagarnęli władzę w swe ręce.

– Niemożliwe! Skąd wiesz o tym?

– Stało się jeszcze coś gorszego. Oto strącona z tronu, opuszczona przez wszystkich królowa, powzięła niefortunny zamiar ucieczki w stronę Zatoki Perel, przez co naprowadzi pościg na ślad naszej kryjówki. Czy zdajesz sobie sprawę, co z tego może, wyniknąć?

– Ale skąd masz te nieprawdopodobne wiadomości, Henryku?

W krótkich słowach opowiedział to wszystko, co słyszał przed niespełną godziną z ust żołnierza, imieniem Hamilkar. Pożałował swej szczerości, gdy spostrzegł bladłość swej małżonki, lecz usprawiedliwił się sam przed sobą, że należało ją przygotować na najgorsze ewentualności.

– Jestem ci bardzo wdzięczna, że nie taisz przede mną grozy naszego położenia – rzekła wreszcie, odgadując myśli mężowskie. – Co począć teraz? Opuśćmy co prędzej tę zatokę. Uciekajmy, *darling*.

– Dokąd? – rzucił bezdźwięcznie.

– Dokąd, dokąd. Czy ja wiem w końcu, dokąd? Posuwajmy się szczytami górskiego pierścienia.

– A Othe pozostawić jej losowi?

– Trudno, mój drogi. Musisz myśleć przede wszystkim o swoich dzieciach. Może, co jest bardzo prawdopodobne, siepacze kapłanów uprowadzą ją do miasta i nawet im przez myśl nie przejdzie, że Henryk Olbrym z rodziną ukrywa się gdzieś w pobliżu. Przecież nie nas, lecz jej szukają.

– A jeśli Othe lub Hamilkar, sądząc, że w ten sposób

uratują własną skórę, powiedzą im o naszej obecności nad Zatoką?

– Więc nie ma ratunku – szepnęła.

– Tatusiu! Tatusiu! – zabrzmiał W tej chwili okrzyk małego Toby.

– Nie przeszkadzaj, aniołku – rzekła matka głosem bardzo smutnym. – Baw się z piaskami.

– Ja chciałem tylko coś spytać tatusia.

– Później zapytasz.

– Czemu później?

– Pozwól mu przyjść. Nie odpędzajmy ich od siebie... teraz, bo może – nie skończył, lecz domyśliła się, co chciał powiedzieć i nagle wybuchnęła serdecznym płaczem.

Małec zbliżył się niepewnym krokiem

– Czemu mamusia płacze? – spytał. – Czy Toby był niegrzeczny? Albo ta mała?

Tak zawsze nazywał siostrzyczkę.

– Nie, Toby... Nie przez was mamusia płacze.

– Więc dlaczego?...

– Dlaczego? – powtórzył Henryk i w nagłym przystępie rozdrażnienia zawołał. – Dlatego, że Bóg nas opuścił, dzieci-no! Zapomniał, że stworzył tę wyspę przeklętą, że na niej zostawił ludzi, którzy Go...

– Henryku! – przerwała żona i znaczącym spojrzeniem wskazała mu synka, który słuchał z otwartymi od zdumienia usteczkami.

– Przepraszam cię, *darling*. W tych strasznych warunkach, w tej niepewności, w jakiej żyjemy od dwóch z górą tygodni, trudno panować nad językiem. Przyjdź bliżej, Toby – dodał, zwracając się do dziecka. – Usiądź tatusiowi na kolanach. Taaak... Chciałeś o coś zapytać...

– Chciałem, tatusiu, ale zapomniałem.

– Tak prędko? Aaa, nieładnie!

Malec zmarszczył czoło komicznie, jakby natężał pamięć, która tak kiepsko dopisała.

– Wiem już – wykrzyknął po chwili i zaklaskał w dłonie na znak radości. – Chciałem się ciebie spytać, tatusiu, czy ten okręt po nas jedzie.

– Jedzie, kochanie... jedzie – potakiwał pośepnie.

Nie czynił tym razem wymówek żonie, jak kiedy indziej bywało. Ona to bowiem tęskniąc za ojczyzną wpoila w serduszką dzieci nadzieję szczęśliwego jutra i całymi godzinami opowiadała im nieprawdopodobne historie o wielkim okręcie, który zawiezie ich wszystkich do dalekich, przepięknych krajin, gdzie pozostaną na zawsze.

– Więc czemu się smucisz, tatusiu, skoro okręt po nas już jedzie?

– Bo jeszcze jest bardzo daleko, maleńki i – dorzucił szeptem – i kiedy zawita do tej zapowietrzanej wyspy, my zgnijemy dawno w więzieniu kapłanów Baala.

– Daleko? Gdzież tam daleko! Dojeżdża do zatoki... Chodź ze mną, to zobaczysz.

– Co on mówi?! – zdumiał się Henryk. Eli przestała płakać.

– No chodź... Pokażę ci.

Henryk zerwał się sprężysto. Był święcie przekonany, że malec wziął jakąś kłodę drzewa za okręt, lub po prostu którąś z przelicznych raf, widocznych w czasie odpływu morza. Przecież dopiero co opuścił szczyt górskiego wzniesienia, skąd całymi dniami wypatrywał niecierpliwie śladów dymu lub żagla na widnokręgu, wypatrywał na próżno... Ale natura ludzka ma to do siebie, że wbrew głosowi rozsądku, wbrew wszystkim pewnikom czepiamy się rąbka najbardziej niepewnej nadziei i trzymamy się jej kurczowo do ostatniej chwili.

Więc nie wierząc ani trochę dziecięcej gadaninie, szedł Henryk przecież, a raczej biegł z bijącym sercem w kierunku skalnej bariery, która od tej strony widok na wąski wyłot właściwej zatoki zasłaniała.

Nagle stanął jak wryty i potężny okrzyk radości wyrwał mu się z piersi.

Po gładkiej toni zatoki pomykała ku brzegowi średniej wielkości szalupa. Ośmiu majtków zanurzało i podrywało wiosła z matematyczną dokładnością, potem zaskoczeni zdziwioną miną sternika odwrócili głowy, nie przestając dalej wiosłować. To co ujrzeli zdumiało ich także, choć żeglarzy nie byle co potrafi wprawić w zdumienie... Oto rosły mężczyzna, w dziwnym stroju jakiegoś starożytnego wojownika, oraz urodziwa niewiasta w niemniej przedpotopowej koszuli z włosem rozpuszczonym luźno, ściskali się na brzegu, obejmowali, na przemian tańczyli jakiś taniec opętańców, całowali dwoje małych dzieci, dwa psy, płatające się pod nogami, i znowu sobie padali w objęcia. Płacz szczęścia, wybuchy śmiechu szalonej radości, głośne słowa modlitwy, okrzyki powitania, jakimi zwariowana czwórka pragnęła uczcić przybywających marynarzy, wreszcie przeraźliwe naszczekiwanie wiernych psów, które brały żywy udział w radosnym szale swych panów... wszystko to napępniało niesłychaną wrzawą spokojne ustronie nad Zatoką Perel.

– Powariowali, czy jak? – mruknął któryś z majtków i wnet posypały się komentarze.

– Co za stroje cudaczne?

– Ale kobitka niczego sobie.

– A mówiłem, że wyspa musi być zamieszкана.

– No pewnie... Taki szmat ziemi i niezamieszkanym by był?

– Po jakiemu oni gadają... Słuchajcie... Czy mnie słuch myli? Toż on krzyczy najwyraźniej: „witajcie!”

- Więc nasi. Słowo daję!
- Hm... Nasi, u diabła, ale co znaczy ta maskarada?
- Niedługo się dowiesz, stary.
- Żeby tych wariatów tylko za dużo nie było. Jeszcze by nas tak poprzebierali i dopiero kłopot...

- Ha, ha, ha, ha, ha... To by się kapitan zdziwił.

- Tobie, John, pasowałaby ta nocna koszula.

Przy akompaniamencie takich rozmów łódź dotarła do brzegu. Poważny sternik uwolnił się z trudem z serdecznych uścisków na pół przytomnego ze szczęścia Henryka.

- Dobrze, dobrze – rzekł, mierząc dziwnych wyspiarzy badawczym spojrzeniem. – Najpierw chciałbym zadać kilka pytań... Całe szczęście, że pan włada językiem angielskim, bo my tu z sobą tłumaczy nie wieźli.

- Pytaj pan, proszę.

- Czy ta wyspa należy do Wielkiej Brytanii?

- Nie.

- Tylko do kogo?

- Do kogo? Przede wszystkim do Pana Boga, litościwego Stwórcy, który was tu z nieba chyba zesłał.

- Nie mówiłem, że wariat? – parsknął śmiechem jeden z majtków.

Sternik ofuknął go i zrobił minę urażoną:

- Bez kawałów, panie wyspiarz. Pytam powtórnie, do kogo należy ta wyspa.

- Do żadnego z państw kolonialnych... Ot wyspa niczyja, na którą nas, rozbitków, przeklęte losy zagnały.

- Aha... Więc to wyspa niezamieszкана.

- O, tego nie mówiłem... Ludności ma jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy, jeśli się nie mylę...

- He?... Sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, a wyspy nawet nie ma mapie? Za kogo nas pan bierze?

– Panie sterniku, to bardzo długa historia. Wzięlibyście nas za obłąkanych, gdybym wam zechciał opowiedzieć, przez kogo ta wyspa jest zamieszкана. Jeśli pozostaniecie tu kilka dni, to się sami prze...

– Kilka dni? – przerwał sternik. – Ani się nam śniło! Napełnimy beczki słodką wodą i wracamy natychmiast na statek. Dość czasu straciliśmy na opłynięcie tej części wyspy.

– Nigdzie nie można było lądować – dorzucił znowu jeden z majtków. – Wciąż tylko rafy, wiry, ostre grzebienie podwodnych skał, a poza nimi olbrzymia, prawie prostopadła ściana górzystego brzegu...

– Mieliliśmy już zamiar zawrócić...

– Och, Boże! – zawołała Eli z przestrachem i wzniosła oczy ku niebu w niemej podzięcie, że natchnęło tych ludzi wiarą, iż znajdą przecież miejsce odpowiednie do lądowania oraz upragnioną wodę.

Baryłki zatoczono do pobliskiego strumienia, który biorąc swój początek w źródłach tryskających gdzieś w puszczy, płynął przez wąwóz u stóp tak zwanej Białej Bramy, potem przecinał bagnistą kotlinę zarośniętą bambusami (gdzie Hamilkar pozostawił Othe) i przecisnąwszy się poprzez wąski jar, uchodził do Zatoki Pereł. A kiedy marynarze byli zajęci napełnianiem beczek, Henryk opowiadał sternikowi swe dzieje, począwszy od przybycia na tę wyspę, przez geografów nieznaną, przez żeglarzy omijaną skwapliwie.

– Hm, bratku. Toś ty należał do załogi Emdenu? To pewnie nie wiesz, że nasza flota zatopiła w końcu ten przeklęty korsarski statek, co?

– Nie, sterniku... Nie mam pojęcia, jakie były dalsze koleje strasznej wojny światowej.

– Zatopił go krążownik „Sidney” przy brzegach Australii.



Tak, bratku... Pewnie i tego nie wiesz, że twoja ojczyzna dostała porządne cięgi od Wielkiej Brytanii?

– Myślisz o Niemczech?

– A o kim by innym?

– Niemcy nie były nigdy moją ojczyzną. Jestem Polakiem. Służyłem w niemieckiej flocie wojennej z musu... Więc Niemcy pobite. Słyszysz, Eli? Wojna skończona. Eli, wojna skończona! Możemy wracać do Europy.

– Ci biedacy naprawdę o niczym nie wiedzą – rzekł sternik, pochylając się do ucha najbliższego kolegi. –

– Tak, bratku – dodał głośno, – Wojna skończona, z czego ty, jako Polak, możesz się cieszyć najwięcej, bo odzyskałeś ojczyznę.

I w krótkich, lapidarnych zdaniach opowiedział stary wilk zdumionemu do ostatnich granic Henrykowi, jak cudownym zrządzeniem losów runęła potęga trzech olbrzymich państw zaborczych, jak powstało szereg nowych państw, tzw. sukcesyjnych, a między nimi najpotężniejsze... Polska.

– Tak, tak, rozbitku – kończył sternik. – Jeśli masz jeszcze starą mapę Europy, to wrzuć ją w morze. Nie zajdziesz według niej daleko. Gdy przybędziemy na statek, pokażę ci nową kartę, a na niej Poland, twoją zmartwychwstałą ojczyznę.

Bezmiernie wzruszenie nie pozwoliło Henrykowi na zadawanie innych pytań, które cisnęły się przemocą na wargi. Dopiero, kiedy sternik zauważył, że pora wracać na statek, zapytał, czy nie można by poczekać jakąś godzinę i zabrać jeszcze czterech osób:

– Mam na myśli niewiastę imieniem Othe, do niedawna władczynię tej wyspy, obecnie ściganą przez zwycięskich kapłanów Baala, dalej jej wiernego żołnierza, Hamilkara oraz

parę moich służących. Jeśli ich nie zabierzemy, zginą z rąk mściwych kapłanów.

Brodacz potrząsnął głową przecząco:

– Nie mamy na tyle miejsca w łodzi – rzekł. – Bądźcie zadowoleni, jeśli was pomieszczę... Gdy jednak staniecie na pokładzie „King Henry”, proście kapitana, by wysłał szalupę po tych wyspiarzy z cudacznymi imionami...

– Prawda, że cudaczne... Hamilkar, Baal, Othe, czy jak jej tam eks-cesarzowej.

– Kapitan przystanie z ochotą...

– Więc jazda, chłopcy! Mamy przed sobą dwie godziny dobrego wiosłowania, a może przyjdzie nam jeszcze dzisiaj tę samą drogę dwa razy odrabiać.

– Po co? – wtrącił jakiś bardziej leniwy majtek. – Czy „King Henry” nie może podjechać i zarzucić kotwicy w tej zatoce?

– Słusznie.

– To mi pomysł.

– W drogę, chłopcy... mówię. Południe dochodzi.

Beczki napełnione wodą toczyły się z góry własnym ciężarem. Pośpiesznie załadowano je do szalupy, którą zepchnięto z brzegu i kwadrans później rozbitek Henryk, przez Tyreńczyków zwany Olbrzymem, opuścił wraz z rodziną wyspę, na której znalazł złotowłosą Eli, swe szczęście, na której jednak przeżył także wiele chwil ciężkich, o czym świadczyły wymownie srebrne nitki, tu i ówdzie wśród bujnej, czarnej czupryny rozsiane...

Szalupa, popychana jednostajnymi uderzeniami ośmiu wiosł mknęła szybko, mimo dość znacznego obciążenia i niebawem wypłynęła z zatoki na pełne morze; potem okrążyła cypel skalistego półwyspu, kierując się w południową stronę.

– Tatusiu – spytał mały Toby. – Tym małym statkiem pojedziemy?

– To jest łódź, dziecino. Ona nas zawiezie do dużego okrętu, który stoi na kotwicy opodal.

– Co to jest kotwica? – zagadnął znów malec i swoim zwyczajem rozpoczął nie kończącą się litanie naiwnych pytań, zaprzatających jego dziecinny umysł. Henryk odpowiadał cierpliwie na wszystkie, ten czy ów marynarz dorzucił niekiedy kilka rubasznych uwag od siebie, Eli odmawiała szeptem modlitwę dziękczynną i szalupa pomykała chyżo ku zaśnieżonemu jeszcze występem wyspy, okrętowi.

Hamilkar zdumiał się, kiedy po przybyciu z małą karawaną do chaty Syfaksa, Henryka ani jego rodziny nie zastał. Zdumiał się i zasepił, gdy nad brzegiem strumienia odkrył ślady przetaczanych beczek, odbicia licznych, a bardzo wielkich stóp, w niezwykle jakieś sandały obutych, gdy wreszcie na skrawku piaszczystego brzegu zatoki znalazł dość głęboki trójkąt, wryty dziobem zepchniętej na wodę szalupy.

Odplynął wielką łodzią, którą bracia Olbrzymy po niego przysłali – czytał w śladach. – Uciekł więc, a nas na łup śmiertelnym wrogom pozostawił. Ha... każdy myśli najpierw o własnej skórze.

Ale młody gwardzista nie należał do ludzi, którzy pod obuchem ciosów nienawistnego losu opuszczają ręce bezradnie. Pomimo ogromnego zmęczenia, które znakomicie sprzyjało nastrojowi ducha, otrząsnął się szybko z apatycznej rezygnacji i z wrodzoną sobie energią zaczął wprowadzać w czyn plan dalszej akcji.

Należało przede wszystkim wpoić przekonanie w oddział

pościgowy, że Othe opuściła wyspę razem z Henrykiem, za-  
trzeć wszelkie ślady dalszego pobytu nad Zatoką Pereł, potem  
szukać jakiejś bardziej pewnej kryjówki na szczytach górskich  
i tam przeczekać, póki samotne zazwyczaj ustronie znowu nie  
opustoszeje.

Hamilkar wydał w tym celu odpowiednie instrukcje parze  
służących Henryka Olbrzyma, pragnąc sam pozostać przy  
wyczerpanej z sił królowej.

Tamci dwoje zeszli więc na dół, aż do miejsca, gdzie na tle  
piasku widniał wyraźny ślad przez szalupę pozostawiony,  
porozrzucali gdzieniegdzie kokosy, banany oraz puste łupiny,  
obok znaków wrytych butami tajemniczych żeglarzy, wyci-  
snęli umyślnie na mokrym piasku odbicia własnych stóp i  
zeszli w wodę, aby żadne ślady kroków ludzkich nie wiodły w  
przeciwnym kierunku. Teraz czekała ich druga połowa zada-  
nia. Należało brodzić jakiś czas w zatoce, dużym łukiem okrą-  
żyć zdradliwą plażę, dotrzeć do skalistego półwyspu i tamtędy  
powrócić skacząc po głazach, które potrafią milczeć i żadnych  
znaków powrotu ludzi nie zdradzą.

– Dobrze – mruknął Hamilkar, obserwując z góry poru-  
szenia pojętnych służących. – Teraz trzeba odpędzić niepo-  
trzebnych świadków.

Z tymi słowy przeciął postronki, którymi były powiązane  
muły oraz kozy i zaczął małe stadko odpędzać na dół, w stronę  
morskiego brzegu. Tu czekała go jednak dziwna niespodzian-  
ka. Posłuszne zazwyczaj zwierzęta uparły się iść w kierunku  
wprost przeciwnym. Obiegając żołnierza, który z rozstawio-  
nymi szeroko rękami zagradzał im drogę, pięły się z gorącz-  
kowym pośpiechem w górę, ku jej szczytom.

– O bogini! – zawodził zmartwiony. – Te głupie bydłeta  
naprowadzą nam wrogów na kark. Nie mówiąc już o śladach,

samym bekiem i kwikiem wskażą tamtym naszą kryjówkę. Trzeba je będzie sprowadzić na dół na postronku.

Wydało mu się nagle, że ziemia zdrząła pod stopami, lecz nazbyt był zajęty swą czynnością, by zwrócić na to uwagę. Schylał się ustawicznie po kamyki lub małe okruchy skalne, i tymi pociskami obrzucał zbuntowane stadko.

Dopiero głośny okrzyk dziewczyny, która za służebną Eli złotowłosej służyła, zmusił go do odwrócenia głowy.

Zdumiał się tak bardzo, że głos mu uwiązał w krtani. Oto palmy, oliwki, a nawet kępa bananów, rosnących w odległości kilkudziesięciu metrów od brzegu morskiego, były zanurzone w wodzie do połowy. Tam gdzie para służących brodziła przed chwilą zaledwie po kolana, była teraz prawdziwa głębia. Mężczyzna płynął w stronę uciekającego w głąb brzegu, a dziewczyna, krzycząc rozpaczliwie, wdzierала się na szczyt skały, która przedtem stanowiła najwyższy punkt półwyspu, teraz zaś była małą wysepką, zewsząd oblaną wodą.

– Przyływ morza – szeptał gwardzista, który całe życie spędził w mieście i tylko z opowiadań rybaków wiedział coś niecoś o przyływach czy odpływach.

– Nie lękaj się – krzyknął w stronę przerażonej dziewczyny. – To minie niebawem. Trzymaj się tylko mocno.

Ale był to niezwykły jakiś przyływ. Ocean nie był wcale wzburzony, małe, opasłe fale ledwie że pluskały, ziemia nie drżała w posadach i tylko jeden wyraźny ruch można było naocznie zauważyć w przyrodzie, a ruchem tym była stała ucieczka brzegu przed zalewem oceanu.

Cienka wstęga strumienia stała się nie wiedzieć jak, ani kiedy, deltą potężnej rzeki, której wierzchołek dosięgał już wąwozu. Niżej położone drzewa znikaly jedne za drugimi. Palmy, które rosły najbliżej dawnego brzegu, były zanurzone

po korony swych olbrzymich liści, banany zginęły bez śladu, potężny bumerang południowego półwyspu, który Zatokę Pereł tak długo przed oczyma żeglarzy zasłaniał, wyglądał obecnie jak szereg wysepek, których rozmiary kurczyły się w oczach. Na najwyższej klęczała służebna Eli. Przestała już nawoływać, zawodzić, błagać o ratunek i w niemej rozpaczycy spoglądała na powódź, która wzrastała w złowrogiej ciszy...

– Wyspa tonie... Zapada się na dno morskie.

Hamilkar nie był pewien, czy sam wyrzekł te słowa, czy mu je podpowiedział jakiś ostrzegawczy głos. Preraźliwy lęk padł mu na duszę, obezwładniając siłę mięśni, paraliżując mózg i energię. Obląkanymi spojrzeniami obrzucał znikające pod wodą głazy, krzewy, drzewa, wreszcie dolne części zbocza górskiego, przenosił wzrok na skałę, gdzie służebna dziewczyna znalazła nietrwale schronienie, odmierzał machinalnie malejącą odległość pomiędzy linią wody, a chatą Syfafa.

Żałosne beczenie kozy przywróciło mu przytomność umysłu, podpowiedziało jedyną radę, jaką można było wynaleźć naprędce. Wspaniały instykt ostrzegł zwierzęta przed niebezpieczeństwem i kazał im szukać ratunku na szczytach górskiego pierścienia. Tam więc należało śpieszyć, nie czekając, aż powódź podmyje płytkie fundamenty domeczku.

– Co się stało? Pościg? – spytała Othe, kiedy drzwi wyleciały z łoskotem i na progu stanął błąd jak ściana gwardzista.

Nie dał odpowiedzi. Pochwycił wpół przestraszoną niewiastę i wywlókł ją na dwór.

– Oto pościg gorszy stokroć od siepaczy kapłanów! – wykrztusił urywanym głosem i wskazał dłonią na ocean.

Wspinanie się po stromym zboczu nie należało do łatwych zadań, zwłaszcza przy osłabieniu Othe. Miejscami musiał ją Hamilkar przenosić na rękach, innym razem wypadało nakładać

sporo drogi, by obejść prostopadłą ścianę skalną lub nieprzebytą gęstwinę kolczastych krzaków. Słońce minęło środek nieba, kiedy osiągnęli wreszcie szczyt góry. Wyczerpani z resztki sił, legli na ziemi i osowiałym wzrokiem spoglądali na zwycięski pochód oceanu.

Znikła już bez śladu skalista wysepka, gdzie się schroniła służebna Eli, małżonki Henryka Olbrzyma, znikła olbrzymia palma, na którą wdrapał się służący, znikły wreszcie warzywa, krzaki i młode drzewka, rękami Syfaksa poniżej chaty posadzone.

– To dziwne – szepnął Hamilkar, patrząc dla odmiany w przeciwną stronę. – W dolinie ani śladu powodzi. Przecież jej poziom znajduje się obecnie znacznie niżej, niż powierzchnia morza.

Othe szybko mu rozwiązała tę zagadkę:

– Czy zapomniałeś o wodospadzie, koło którego przechodziliśmy rano? – spytała.

Zrozumiał. Dno kotliny zarośniętej bambusami nie było bynajmniej płaskie. Składało się właściwie z dwóch bagnistych zagłębień, przedzielonych od siebie szerokim wałem ziemi. Wał ten powstał w ciągu stuleci z mułu, przyniesionego z głębi wyspy przez wartki strumień, którego koryto podniosło się w ten sposób dość znacznie, a ostry początkowo spadek stawał się coraz łagodniejszy w miarę zbliżania się do zewnętrznej pierścienia gór: Ospale więc sączyła się wstęga wody, tworzyła miejscami małe stawki, przeciskała się nie bez trudu wąwozem, wyciętym wśród ścian niemal prostopadłych, aż natrafiwszy na granitowy próg, przeskakiwała go i spadał piękną kaskadą z wysokości kilkudziesięciu metrów. Tu wyzłobiła sobie głęboki lej i biegnąc bez żadnych przeszkód prostym korytem, uchodziła do Zatoki Perel.

Toteż, gdy skutkiem powolnego zanurzania się wyspy, ocean wtargnął na wyżyny, których jego fale nie muskały

nawet w czasie najsroźszych monsunów, wspomniany próg nie pozwolił masie wód runąć do kotliny, gdzie rozbiwszy z łatwością kruche koryto strumienia, zalały w okamgnieniu nisko położone moczary.

– Co to?! – wykrzyknął Hamilkar, podnosząc się na kolana z leżącej pozycji. – Tam coś błyszczcy.

Othe spojrzała bez zbytniego zainteresowania we wskazanym kierunku. Młody gwardzista miał dobre oczy. Wśród szmaragdowego tła rozwiniętych kiści bambusów, zamigotało coś w słońcu jak złoto, znikło na chwilę i znowu zabłysło, tym razem w kilku miejscach jednocześnie.

– Wiem już. To zbiry kapłanów Baala... – Głos Othe nie zdradzał żadnej bojaźni. Brzmiała w niej raczej nuta zupełnej apatii.

Hamilkar z dłonią na rękojeści sztyletu ją obrzucać okolicę niespokojnymi spojrzeniami.

– Ukryjmy się w zaroślach, najmiłościwsza królowo – zaczął szeptem, jak gdyby ci ludzie mogli dosłyszeć jego słowa na taką odległość. – Tu nas szybko wypatrzą.

Zbocze góry po tej stronie nie jest bardzo strome. Wedrą się łatwo. Niech lepiej sądzą, że nas morze zalało. Uchodźmy najmiłościwsza królowo, póki czas.

Zerwał się usłużnie, chcąc ją podnieść z ziemi.

– Ani krokiem nie ruszę – rzekła stanowczo. – Gdzież się skryję?... Ale ty, Milkarze ratuj się, jeśli potrafisz – dodała łagodnie. – Szkoda twego młodego życia. Poczekaś tutaj z miesiąc, przez ten czas zapomną o tobie. Powrócisz do Tyru... ożenisz się...

– Nigdy, najmiłościwsza królowo! – wybuchnął. – Wszyscy cię opuścili, ja jeden pozostanę. Mamy zginąć, zginiemy razem.



– Nie nazywaj mnie królową... Przestałam nią być na zawsze.

Z wysokości szczytu górskiego śledzili z mierną ciekawością pochód pościgowego oddziału. Wynurzył się właśnie z gęstwiny krzewów bambusowych i posuwał się szybko w stronę wąwozu. Hamilkar naliczył trzy setki konnych. Na czele jechała starszyzna, wśród której rozpoznał swym byстрыm wzrokiem po kapiącym od złota stroju, przywódcę gwardii, Shirama, oraz garstkę kapłanów, po szpiczastych nakryciach głowy.

– Czy mi się zdaje, czy jest między nimi niewiasta...

– Tak, najmił...

– Prosiłam, abys poniechał tego śmiesznego tytułu.

– Tak... Ooother – poprawił się nieśmiało. – Poznałem z daleka po czarnych włosach, luzem na płaszcz puszczonech.

– Jedzie pośrodku, jakby nimi przewodziła.

– Któż to być może?

– Może moja następczyni... Kto wie, Milkarze.

Nie domyślili się oboje, że owa niewiasta rzeczywiście dowodzi oddziałem, że jest to Sofo, córka Hannonna, zwana powszechnie Mścicielką.

Po łatwym zwycięstwie nad pierwszą królową Tyru, zażądała dla siebie trzech setek najlepszego żołnierza i śpieszyła śladami znieawidzonego Henryka Olbrzyma, by dopełnić strasznego ślubu, by zasłużyć w zupełności na miano bezlitosnej mścicielki... Ponieważ, jak donieśli łowcy, Othe, która prawie cudem uszła zagłady w mieście, miała uciekać w towarzystwie jednego tylko żołnierza w tym samym kierunku, najbardziej zawzięci kapłani, jak Ulam, Emnoch-ostrowidz, dwóch Sycheusów i Hazdrubal-łysy, przyłączyli się do wyprawy Mścicielki, chcąc dwie pieczenie upiec przy jednym ogniu.

Zmęczonym koniom dawno już się należał zasłużony wypoczynek i Sofo właśnie miała rzucić rozkaz zatrzymania się, kiedy Emnoch wypatrzył na szczycie góry dwie ludzkie sylwetki.

- To oni! – wrzasnął Ulam, podcinając konia.
- Nie ujdą nam teraz.
- Poznaję Othe... – skandował Emnoch, podskakując w siodle.

- Stójcie!... Na boginię... stać! Ani kroku!

Głos Sycheusa-garbatego zabrzmiał tak jakoś dziwnie, że nawet Ulam ściągnął koniowi cugle. A uczony karzelek zeskoczył z grzbietu swego wierzchowca i rzucał w strumień suche listki, jakie szybko na ziemi pozbierał.

- Widzieliście coś podobnego? Woda płynie pod górę!

Nie była to przesada. Liście rzucone na powierzchnię wody płynęły powoli, lecz zdecydowanie w kierunku środka kotliny, zamiast ku morzu...

Nagle ziemia zatrzęsała się pod nogami. Gdzieś w pobliskim wąwozie rozległ się huk, jakby walącej się góry, trzask łamanych drzew i szum, wściekły szum, którego odgłos zapanował niepodzielnie nad wszystkim. U wewnętrznego wylotu wąskiego jaru ukazała się nagle ściana spienionej wody, wysoka na pięciu roślących chłopów.

Rozszerzonymi od zgrozy oczyma spozierał Hamilkar wraz z Othe na śmiertelny wyścig pościgowego oddziału z rozszalałym żywiołem. Wyspa, która zanurzała się do tej pory powoli, może na metr w minucie, zapadła się teraz w ciągu sekundy na dobre dziesięć metrów. Próg w wąwozie przestał być przeszkodą i wąskim wyłomem, jaki był jar wycięty erozyjną pracą strumienia w górskim pierścieniu... runął ocean w głąb wyspy. Potężna rzeka spienionej wody rozsadziła momentalnie

koryto, zniosła wał przedzielający kotlinę na dwie części i w błyskawicznym tempie zalała oba błotniste zagłębienia. To ocalało owe trzy setki żołnierzy, lecz czy na długo.

Rwący potok podmulił szybko prostopadłe ściany jaru, zmełł głązy, kamienie i drzewa w swych tysięcznych wirach, rozszerzył trzykrotnie pierwotne łożysko. Potworne masy wody zapełniały z szaloną szybkością niższe miejsca kotliny, a środkowy strumień puścił się w pogoń za ludźmi. Wnet kopyta najbardziej zmęczonych koni zaczęły przyskać fontannami kropel i grzęznąć w ziemi, która była przecież tylko naniesionym w ciągu wieków mułem. Niebawem sięgała woda kolan końskich... podbrzuszy... piersi. Wąska drożyna nie mogła pomieścić wszystkich. Zalana wodą nie różniła się w niczym od głębokiego teraz koryta dawnego strumyka, od zdradliwych moczarów. Więc nagle większa część koni zapadła po szyję i dała się unosić prądowi...

– Shiram spadł z konia – obwieścił Hamilkar, a Othe do-rzuciła twardo:

- Dobrze mu tak, zdrajcy!
- Jeszcze tylko z dwudziestu nie zanurzyło się po szyję.
- Oby się zanurzyli najprędzej.
- Ona spadła także.

Znowu ziemia zadrżała w posadach i góra wody, znacznie większa od pierwszej, runęła przez wąwóz w głąb wyspy...

– Wszystko skończone – rzekł młody gwardzista i nie mogąc dłużej patrzeć na straszną tragedię, odwrócił głowę.

Stanął jak wryty. Uszczypnął się w rękę, nie dowierzając wzrokowi...

- Othe! Patrz! – wybełkotał drżącym głosem...

Spojrzała ku morzu i jak biczem smagnięta zerwała się na równe nogi. Od strony południowej zbliżał się wielki okręt,

sunąc bokiem wzdłuż brzegu tonącej w głębinach oceanu, wyspy. Czarny pióropusz dymu tryskał z komina, który wyspiarka wzięła za grubą pionową belkę...

– To okręt Olbrzymów! Patrz, Milkarze... Takich dzieł nasz lud nie stworzył nigdy, dzięki przeklętym kapłanom.

– Królowo! – wykrzyknął, zapominając o zakazie – jest przecież wdzięczność na świecie. Henryk Olbrzym przybywa ci na ratunek.

Ostatnie słowo wypadło jakoś ciszej, bo oto ku rozczarowaniu łatwowiernego żołnierza okręt zaczął się odwracać tyłem do nieznannej wyspy, jak gdyby zamierzał uciec od niej czym prędzej.

Nie widzą nas... Pobiegnę dalej. Nie pytając o zgodę, puścił się Hamilkar pędem w stronę wąwozu. Tam wznosiła się skała panująca wzrostem nad całym szeregiem wyższych lub niższych szczytów górskiego pierścienia.

Tam też podążył, pragnąc być widzianym z odpływającego okrętu. Osiągnął szczyt wreszcie i podniósł dłonie.

Ziemia zakołysała się tak gwałtownie, że Othe została rzucona na wznak. Kiedy usiadła ponownie, nie ujrzała już Hamilkara. Znikł, jak znika także potężna skała, na której stał przed małą chwilką. Podmyta piekielnym prądem stoczyła się zapewne w oszalałą rzekę i pociągnęła za sobą ostatniego obrońcę królowej. Powierzchnia oceanu podnosiła się teraz z przerażającą szybkością. Kotlina po drugiej stronie gór wyglądała jak wielkie jezioro. Wierzchołki drugiego pasma gór, znacznie niższego od nadbrzeżnego pierścienia, znikaly jeden po drugim. Bezlitosna powódź musiała już zalać stopy, puszcę i miasto. Wydało się Othe, że słyszy ryk przerażonych zwierząt i rozpaczliwe okrzyki ginących ludzi. Kiedy przymknęła znużone śmiertelnie powieki, ujrzała oczyma duszy

obraz tonącego Tyru, ujrzała swój lud, szukający daremnie schronienia na dachach domów, świątyń, pałaców.

– O bogini! Zabierz mnie – jęknęła. – Ja także chcę zginąć.

Dźwignęła się, postąpiła kilka kroków, chcąc skoczyć w spienione nurty, lecz osłabione nogi odmówiły posłuszeństwa. Potknęła się i upadła na ziemię, a uderzywszy głową o głaz, straciła czucie.

Wschodzące słońce obudziło ją z omdlenia i kamiennego snu. Szybko przypomniała sobie wydarzenia ubiegłego dnia. Najpierw Hamilkara. Poświęciła mu kilka łez i zaczęła wzrokiem szukać okrętu. Lecz na próżno. Odplynął od przekłętej przez bogów wyspy, nie chcąc dzielić jej smutnego losu. Żaden dymek nie plamił nieskalanego błękitu nieba. Potem skierowała swe spojrzenia w drugą stronę. Wyspa przestała istnieć, jako wyspa. Pozostał tylko wąski pierścień skał, jakby atoli, pierścień przecięty wąwozem przez który przyszła zagrażała na białe miasto Tyreńczyków, na ostatnią kolonię potężnej ongiś Kartaginy.

– Zginęli wszyscy – wyszeptała zbielełymi wargami i wybuchnęła rozdzierającym płaczem. Zapomniała, że gdyby nie osunięcie się dna morskiego, ci, których teraz oplakiwała, zabiliby ją bez litości. Zapomniała o tym i przebaczyła wszystko swym niedawnym wrogom.

– O, cóż bym dała za to, żeby można ich wskrzesić westchnęła szczerze. Ponure więzienie w podziemiach świątyń, tortury, upokorzenia, nawet śmierć z ręki kapłanów wydały jej się nagle mniejszym złem od kary, na jaką ją losy skazały. Czuła, że nie zdobędzie się już drugi raz na odwagę by sobie życie odebrać, przeczynała, że długi okres czasu żyć będzie

samotna, słaba, niezaradna, na tym wąskim skrawku ziemi jaki pozostał z olbrzymiej wyspy.

Koło południa głód dał jej się dobrze we znaki. Zaczęła się rozglądać za jakimś pożywieniem, lecz w najbliższej okolicy nie było bananów, ani kokosowej palmy, ani drzew owocowych.

– Muszę coś znaleźć! – zawołała z rozpaczliwą stanowczością. – Choćby kilka jaj ptasich, choćby garść jagód, muszę znaleźć, zanim głód nie wydrze mi resztki sił w nogach.

Zachodzące słońce przystroiło purpurą urwiska szczytów górskich, które skutkiem zapadnięcia się wyspy sterczały za ledwie na kilkanaście metrów ponad zwierciadło oceanu. Szkarłatne blaski różowiły blade, wychudzone policzki rudowłosej niewiasty, co siedziała z podwiniętymi nogami koło kępy kolczastych krzaków i zajadała żarłocznie niedojrzałe cierpkie jagody. Była to Othe, pierwsza i ostatnia zarazem królowa Tyru, nawrócona grzesznica, kończąca właśnie pierwszy dzień nowego życia.

Zapadła noc. Spokojna toń oceanu zagrała miliardem barwnych światełek, zapalone przez nieprzeliczone rzesze fosforyzujących żyjatek, skały zmieniły purpurową szatę na szczerosrebrną, a snop zimnego światła księżyca padł na kłęzącą sylwetkę niewieści. To Othe, władczyni zatopionej wyspy, czyniła pokutę za swe liczne przewiny.

Szeptła żarliwą modlitwę do krwiożerczego Baala i Astoreth, Opiekunki Miasta, modliła się wytrwale aż do chwili, kiedy pызaty miesiąc ukończył połowę swej nocnej wędrówki po niebie. Wtedy upadła na twarde posłanie gładów i zasnęła tak lekko, jak nigdy nie zasypiała wśród puchów królewskiego łóża w cudnym pałacu.

## SPIS ROZDZIAŁÓW

I. Baal żąda ofiary	5
II. Kara i nagroda	12
III. W podziemiach świątyni	33
IV. Dziwne sny	54
V. Ofiara z ludzi	76
VI. Sofo Mścicielka	88
VII. Złe wieści	105
VIII. Męka pragnienia	126
IX. Rocznicza śmierci Mścicielki	146
X. Potop	182